

MARIKA
KRAJNIEWSKA

No, Asia!



MARIKA
KRAJNIEWSKA

*No,
Asia!*

Copyright © Maria Krajniewska, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadząca: Adriana Biernacka

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: Aleksandra Deskur

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki: Anna Damasiewicz

Fotografie na okładce:

© photographee.eu, © flibustier,

© Ian Andreiev | Depositphotos

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

PROLOG

Kowbojskie kapelusze i marlboro. Te dwa elementy łączyły pierwszą ją i drugą ją – dwie kobiety siedzące w milczeniu na ganku drewnianego, pokrytego zieloną farbą domu. Ganek otulał ciepłem, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Wcześniej również się na nim dużo działo i czuło się, że się jest u siebie, ale potem to poczucie przynależności do miejsca znikło. Szybko i niezauważalnie. Jednak to było potem, które szybko stało się „wtedy”. Teraz pierwsza ona poprawiła kapelusz, ponieważ zanadto zsunął się na kark i łaskotał tuż przy kołnierzyku. Zaciągnęła się papierosem i wypuszczając dym, spojrzała na tę drugą. Druga ona udawała, że nic się nie dzieje. Miała uśmiech na twarzy, był on jednak zamglony. Wewnętrznie prosty i zupełnie nieskomplikowany. Nie mówił wiele, ale wystarczająco. Pierwsza ona wiedziała wszystko, druga ona nie chciała wiedzieć więcej. Dym papierosowy zniknął w pomarańczowej poświacie zachodzącego słońca. W powietrzu wyczuwało się kurz. Znajoma woń, dająca poczucie bezpieczeństwa.

Maria siedziała na walizce, lekko uderzając lewą stopą o przesuszoną ziemię. Tuż przy drzewku akacji, które jakiś czas temu straciło swoje kwiaty, tak jak traci się głowę w imię wyższych uczuć i spraw. Czuły się bezpiecznie, może za sprawą

świadomości, że za chwilę to wszystko przestanie trwać i rzeczy, ludzie – wszystko wróci na swoje miejsca. Samochód Mrs. Smoke nie rzucał się w oczy. Nawet waniliowy zapach, który roztaczała i zawsze był wyczuwalny w promieniu najbliższych kilkuset metrów, teraz zasnął, nie dając znaku życia.

– Daj mu go, proszę – powiedziała Maria, zdejmując kowbojski kapelusz. Nie patrząc na Steffi, położyła nakrycie głowy na poręcz ganka.

Kiwnięcie głową oznaczało zgodę, ale Maria tego nie zauważyła. Wstała jednak, chwyciła walizkę i powolnym krokiem, bez słowa ruszyła przed siebie.

– Puść mu też dymka – rzuciła, zbliżając się do furtki, pod którą kołował już wóz Mrs. Smoke.

Steffi została sama. Spokój, jaki odczuwała, był ciszą przed burzą. Kolejną tego lata, kolejną w jej życiu. Wciągnęła w płuca zakurzone powietrze odchodzącego upalnego dnia. Podniosła się z miejsca, podeszła do drzwi. Klucz w zamku przekręciła po raz ostatni. Sprawdziła, czy aby na pewno dom został zamknięty, i włożyła klucz pod wielką glinianą donicę stojącą tuż przy drzwiach. Donicę pustą, bez rośliny, bez ziemi, bez życia.

Minęła tabliczkę z napisem „Sprzedane”, by ruszyć przed siebie środkiem pustej drogi, ściskając w ręku kapelusz. Drugi wciąż spoczywał na jej głowie.

Gdy ktoś odchodzi, w jego miejsce pojawia się ktoś nowy. Ta prosta myśl wywołała szeroki uśmiech na jej twarzy. Steffi przystanąła, spojrzała na zachodzące słońce, lekko przysłaniając oczy.

– Jeden – powiedziała po cichu – dwa, trzy, cztery – zaczęła liczyć coraz głośniejszym głosem – pięć, sześć, siedem – krzyczała na całego, śmiejąc się wniebogłosy – osiem, dziewięć, dziesięć! – Wstrzymała na chwilę oddech, a potem szepnęła: – Już, szukaj!

Ruszyła biegiem. Przed siebie, nie oglądając się wstecz. I tylko

czarny kot wyszedł na chodnik, by odprowadzić ją wzrokiem. Ktoś otworzył okno. Ciszę przerwały dźwięki radia. Subtelne słowa sączyły się w duchocie letniego wieczoru: „Take my hand, take my whole life too”^[1].

^[1] Elvis Presley, *Can't Help Falling In Love*.

ROZDZIAŁ I

Wise men say only fools rush in...

Elvis Presley, *Can't Help Falling In Love*

Decyzja nie została podjęta pochopnie. Tak sobie wmawiał, siedząc na lotnisku, zagryzając okrągłego pączka z dziurką, nie zważając na całą lawinę okruszków ani cukru pudru zagnieżdżających się w fałdkach swetra, ani na tłuste plamy po tychże smakołykach, na stałe wcierające się w dżinsową tkaninę na jego udach. To dobre posunięcie, powtarzał sobie z każdym gryzem, bezwiednie się oblizując i nie zdając sobie sprawy z tego, że takie zajadanie stresu może się źle skończyć. Z drugiej jednak strony, jak miał sobie ten fakt uświadomić, skoro całym sobą wierzył szczerze, że on to akurat jest ostatnią osobą, która by się stresowała? Zresztą czym? Taką decyzją? Przecież to nie koniec świata. Nic się złego nie dzieje ani nie zadzieje. Rany boskie, też mi coś! W trakcie rozważań skończyły mu się pyszki, a wypada nadmienić, że było ich dziesięć – niemało nawet jak na rosłego mężczyznę u progu swej życiowej decyzji, którą – jak nagle sobie uświadomił po zjedzeniu ostatniego kawałka – podjął i owy próg przekroczył. Oto znalazł

się w punkcie bez powrotu, choć próbował się oszukiwać, że wcale tak nie jest.

Wpatrywał się w jedno miejsce. Był nim dziób samolotu, raz jednego, raz kolejnego. Nie liczył ich, tylko obserwował niewidzącym wzrokiem. Gdyby spojrzał nieco szerzej, zauważyłby pluchę, prawie zimową aurę, która z piękną słoneczną jesienią, tak krótką tego roku, nie miała już nic wspólnego. Choć wciąż królował październik, było mu jakoś zimno i niemrawo. Wzdrygnął się, gdy uświadomił sobie, że miejsce w poczekalni obok niego zostało przez kogoś zajęte. Poczł wilgoć na nadgarstku i odwrócił się w kierunku jeszcze przed chwilą wolnego krzesła.

– Ochlapałam cię, przepraszam. – Głos miała łagodny, ale też pewny siebie, z delikatną chrypą, jeszcze niedawno stwierdziłby, że seksowny. Zdjęła szary, długi płaszcz i powiesiła go na oparciu siedzenia przed sobą.

– Nie szkodzi – wydukał. – Byłem pewny, że to Anastazja.

– Kim jest dziewczyna o tak pięknym imieniu? – zagadnęła nieznajoma o wąskich oczach, lekko unoszących się po zewnętrznej stronie, i pełnych ustach, pomalowanych delikatną różową szminką. Twarz miała pociągłą. Taką zupełnie inną, przemknęło mu przez myśl. A zaraz potem pojawiło się kolejne pytanie: inną niż czyja? Zanim zdążył sam sobie udzielić odpowiedzi, pospieszył z wyjaśnieniami na zadane mu na głos pytanie.

– Anastazja to moja córka. Kręci się gdzieś tu, czekamy na lot.
– Zamknął się, zdając sobie sprawę, że w tym miejscu, na lotnisku, na nic innego czekać by nie mogli, więc jego wyjaśnienia brzmią w jakiś sposób żałośnie i z pewnością lepiej dla wszystkich będzie, jeśli się przymknie, zresztą z jakiej racji rozmawia z nieznajomą, atrakcyjną kobietą, kiedy to...

Ano właśnie! Kiedy co?!

Paweł odruchowo sięgnął do tłustej torebki papierowej, by

zagłuszyć pączkiem kielkujące w głowie myśli, i o mało nie wpadł w panikę, zauważając, że torebka od jakiegoś czasu jest już pusta. Nawet poderwał się z miejsca i stanął na równe nogi, gotowy do walki o kęs słodkiego pączka, zachowując się trochę jak podczas ataku astmy; nie władając sobą, otwierał i zamykał usta, wciągając powietrze.

– Nic ci nie jest? Może cukierka? – Nieznajoma wyciągnęła z torebki małe pudełeczko przypominające starodawne papierośnice, otworzyła je i podała Pawłowi.

Był wdzięczny i skorzystał z pudrowych dropsów, mając nadzieję, że przestanie się trząść.

– Boisz się latać? – spytała i gdy usiadł na wcześniej zajmowanym przez siebie miejscu, położyła dłoń na jego ramieniu. Wzdrygnął się, jakby poczuł lepka mackę ośmiornicy, i znów wstał.

– Nie, nie boi się. – Anastazja zjawiała się w samą porę. Uśmiechała się od ucha do ucha, napawając się komicznym widokiem swojego ojca nieradzącego sobie ostatnimi czasy z pewnymi sytuacjami. Akurat ona doskonale rozumiała przyczynę takiego nieradzenia, ale ojciec nie dawał sobie tego wytłumaczyć.

Usiadła, przeprosiła nieznajomą i spojrzała prosto w oczy taty.

– Ona nie będzie miała nic przeciwko, zresztą nawet jeśli się coś nie uda, to zawsze możemy wrócić. Obiecuję, że będzie dobrze – oznajmiła, a on uświadomił sobie, że ta rozmowa mogłaby mieć miejsce, owszem, ale pod warunkiem, że to on skierowałby usłyszane słowa do niej, a nie na odwrót. Kto to widział, by prawie nastoletnia córka uspokajała rodzica, który to sam, samiusieńki, bez niczyjej pomocy i bez przymusu podjął drugą być może najważniejszą decyzję swojego życia.

– A niech mnie! – wykrzyknął. – Nie o to chodzi!

– Jasne, tatulku, nie o to, a teraz chodź, zapowiedzieli nasz

lot.

Walizki mieli już odprawione, musieli dopłacić za dodatkowy bagaż. Wziął niewielką torbę, ona sięgnęła po swój ulubiony plecak, z którym nie rozstawała się od siedmiu już lat. Zrobił go dla niej, kiedy miała trzy latka i zaczęła wręcz błagać ojca, by ją wreszcie wysłał do przedszkola. Zwłaszcza że znajdowało się ono po drugiej stronie ulicy, a panie pracujące tam wydawały się takie miłe. Wiedziała to, ponieważ codziennie o spacerowej porze, przed obiadem, wdrapywała się na parapet w kuchni i patrzyła na swoich rówieśników, których rodzice odznaczali się zdecydowanie wyższym stopniem zaufania do placówek wychowawczych. W kolorowych czapkach, koniecznie na sznurek zawiązywany pod brodą, trzymając się za ręce lub gęsiego, dumnie kroczyli na podwórko lub plac zabaw do pobliskiego parku, a panie – jedna z przodu, druga z tyłu – zachowywały się nad wyraz opiekuńczo. Przynajmniej tak to wyglądało, gdy się klęczało na zimnym parapecie z oskubaną starą farbą i miało się nos przyklejony do szyby. Tato uszył jej więc plecak, w którym mogłaby trzymać swoje skarby i brać do przedszkola wszystkie niezbędne jej rzeczy, bo przecież musiała ich potrzebować, skoro od ósmej do szesnastej miała być poza domem, i to dzień w dzień. I gdy już miała swój plecak i machała mu na do widzenia, kiedy wychodził z przedszkola dziesięć po ósmej, to on sam w porze przed obiadem przyciskał nos do szyby w kuchni i wypatrywał różowej czapki w paski, z wielkim pomponem, którą też sam jej uszył, by wyglądała jak landrynka na tle zimowych szarości miasta.

Ruszyli ku bramce, by wsiąść do samolotu, nie oglądając się za siebie, jak sobie wspólnie przyrzekali. Anastazja bała się, że ojciec złamie przysięgę, nie odważy się na niespojrzenie wstecz. Ona natomiast, głodna przygód i poznania nowego, była gotowa na wszystko. Przed nią wreszcie roztaczała się znakomita sposobność poznania ostatniego i jedyne go elementu układanki, która nazywała się „tato”. Jego życie, prawdziwe życie, które wiódł przed jej narodzinami, nie zaaranżowany

świat, jakby wraz z pojawieniem się jej na świecie wkroczył razem z nią na scenę, by po odegraniu przedstawienia zejść, pójść do charakteryzatorni i zmyć z siebie sceniczny makijaż i wrócić do siebie... Tyle tylko, że przedstawienie wciąż trwało, a on grał, nie pokładając sił, wciągając i ją coraz bardziej w ten wyimaginowany świat.

– No tak! – krzyknął nagle i ponownie poderwał się z miejsca, niemal uderzając głową o półkę na bagaże. Lecieli już jakiś czas, oboje w milczeniu, skupieniu, każde pogrążone we własnych myślach.

– No przecież! – potwierdziła Anastazja, choć nie bardzo na razie wiedziała, o co chodzi ojcu, ale jego entuzjazm zbliżony do tego, który towarzyszył okrzykowi „Eureka” w pradawnych czasach, bardzo jej się spodobał. Spodziewała się nie lada odkrycia.

– Tak – powiedział już ciszej Paweł i zrobił tajemniczą minę... a przynajmniej spróbował taką zrobić, ale wyszedł bliżej nieokreślony grymas. – To dobra decyzja, chociażby dlatego, że będziesz miała dwie babcie. – Uśmiech od ucha do ucha spowodował, że Anastazja nie zgasła tego entuzjazmu, choć miała na to ochotę. Wałkowali ten temat całe lato, odkąd ojciec wrócił z Warszawy do Sankt Petersburga, w którym to ona z kolei mieszkała całe swoje życie. Z nim, bez matki, przy nieocenionej co prawda, ale tylko pomocy ciotki. Był czas, gdy próbowała na ciocię mówić „mama”, ale ojciec szybko jej wytłumaczył to i owo, więc przestała, a wraz z tym przestała mieć też chęć, by opiekował się nią ktoś poza ojcem. Wystarczał jej, bywał nawet czasami taki „zbyt”. To wtedy, gdy kumulowały się w nim pragnienia zostania ojcem numer jeden i wcielenia się w rolę matki, której Anastazja nigdy nie poznała. Wtedy bywał nie do zniesienia. Teraz przyszły inne obawy, że dwie babcie, o których wspominał tata, nie pierwszy raz zresztą, więc cóż to za odkrycie, będą robiły dokładnie to, co on.

Anastazja nie potrzebowała uzasadnienia, nad którym tak

dzielnie rozmyślał Paweł. Skoro przyszła chęć opuszczenia kraju i zamieszkania w innym, to sama już ta chęć jest wystarczającym ku temu powodem. Paweł natomiast najwyraźniej tego uzasadnienia potrzebował. Bo za wszelką cenę musiał zdać sobie sprawę, dlaczego taka chęć po tylu latach przyszła. Znalezienie odpowiedzi nie było trudne. Była ona znana chyba każdej z zainteresowanych stron, lecz Paweł szukał innej niż ta, która pojawiała się w głowach wszystkich jako ta pierwsza, podstawowa i niepodważalna.

Wyciągnął telefon i zerknął na wyświetlacz.

– Nie dostaniesz teraz żadnej wiadomości – wyjaśniła Anastazja. – Masz włączony tryb samolotowy.

Paweł kiwnął głową, jakby faktycznie zapomniał o trybie, ale też jakby spodziewał się wiadomości. Było to kiwnięcie dość istotne, ponieważ dopuszczało przyznanie się do tego przed sobą samym. Anastazja zachichotała i odwróciła wzrok, by nie wprawiać ojca w konsternację. A on powędrował po raz kolejny za myślą, że przeprowadzką wygrywa dla swojej córki lepsze rodzinne życie – z babciami, których przedtem nigdy nie miała.

Myśli podążały swoim torem. Zmierzały w stronę lekkiego podenerwowania, które brało się z prawdziwego powodu, zakopywanego głęboko pod natłokiem innych. Usilnie próbował nie dopuszczać ich do głosu. Po co to komu, zastanawiał się, jest jak jest.

– O nie! – wykrzyknął znów, budząc siedzącego przed nim jegomościa, trzymającego dla niepoznaki rozłożoną gazetę, choć okulary dawno spadły z jego nosa, a pochrapywanie zdradzało, że daleki był od lektury.

– Co znowu? – Anastazja nawet nie oderwała oczu od otwartej książki trzymanej tuż przed nosem, jakby zamiast czytania zajmowała się podziwianiem fikuśnych liter.

– Czym ja się tam zajmę? – W głosie Pawła pobrzmiwała komiczna nuta zdenerwowania, takiego prawdziwego,

wydobywającego się z mrocznych zakamarków rozumu, które uaktywniało się zawsze wtedy, gdy się wyłaziło wbrew jego woli ze strefy komfortu, panikarza paprykarza, jak często mawiał sam Paweł, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że powieła powiedzonko swojej matki.

– Tym samym, tato.

Spokój córki wcale nie koił, wręcz przeciwnie, działał jakoś irytująco, bo przecież skąd ona – smarkuła – miała wiedzieć, jak ważne jest utrzymanie rodziny, i to na obczyźnie!

– Na jakiej obczyźnie? Ty do domu wracasz – wtrąciła Anastazja i wówczas Paweł pojął, że ona wcale nie czyta w jego myślach, to on wypowiada na głos brednie, zupełnie mimowolnie, jak paranoik. Po chwili uświadomił też sobie, że córka wykazała się ogromną dawką miłosierdzia, gdyż przemilczała łaskawie „smarkułę”, którą ślina przyniosła mu na jego własny język.

– No tak – burknął lekko zawstydzony, wyprostował się na fotelu, potem znów się skulił, jakby jednak postanowił się schować przed samym sobą lub przed całym światem, i przymknął oczy.

– Nie jedziesz pod most przecież – wyliczała Anastazja, wciąż wpatrując się w tekst książki, jakby widziała co najmniej dinozaury, a nie litery. – Po co im te ogoniaste i kreskowane badziewia?

– A po co wam te kropki nad literkami i twarde, miękkie znaki? – wypalił Paweł.

– O! Teraz to już „wam”? – Anastazja zachichotała. – Przed chwilą z ojczyzny jechałeś na obczyznę, a teraz to już „wam”?!

Zamknęła książkę, oparła głowę na ramieniu ojca i przymknęła powieki.

– Mamy gdzie zamieszkać, mamy dwie babcie, które tęskniły za tobą przez całe twoje życie, a na dodatek jest Joanna, która

co najmniej cię lubi po koleżeńsku. Mamy od czego zaczynać, tata.

– Po koleżeńsku co najmniej... – powtórzył po cichu, a uśmiech na twarzy córki wyraźnie się powiększył. Uznała jednak, że nie będzie już ojcu dokuczać komentarzem cisnącym się na usta. Tymczasem Paweł sięgnął do kieszeni kurtki, współdzielącej z nim fotel w samolocie, i wyciągnął notes. Ołówek, wetknięty w gumkę przeznaczoną do tegoż, był małych rozmiarów i wyraźnie było widać, że korzystano z niego dość często. Pustą stronę Paweł otworzył szybko, była bowiem zaznaczona tasiemkową zakładką, napisał kilka słów, a potem wyrwał zapisaną kartkę i po jej złożeniu wsunął ją do kieszeni spodni. Nastazja patrzyła jednym okiem na ruchy ojca, czytając po cichu pojawiające się na kartce słowa:

„Po koleżeńsku co najmniej, z osłoniętymi szalikiem ustami, których nie widzę, lecz wiem dobrze o tym, że są w swym zdziwieniu zatroskane. Zatroskane po trosze sobą, lecz też poniekąd mną. Mina zdumienia i uwielbienia, koleżeńskiego, rzecz jasna, koleżeńskiego co najmniej, zdradzałyby wielki niepokój, lecz zasłoniła się rumieńcem skwapliwym, zachłannym, nierównomiernym, zlewając się z różem wełny szalika”.

ROZDZIAŁ II

...but I can't help falling in love with you.

Elvis Presley, *Can't Help Falling In Love*

To był błąd z rodzaju tych wielkich i niewybaczalnych. Na całe szczęście jej dzieło zostało zauważone w porę. I to przez kogo! Najbardziej wścibską osobę wszech czasów. Czy powinna jej podziękować za tę cechę charakteru, na którą utyskiwała już kolejny rok swojego dorosłego życia? Pytanie z tych retorycznych, ale jednak Joanna wciąż nie potrafiła znaleźć na nie odpowiedzi, a owszem, szukała. Szukała, stojąc przed lustrem i wycierając wacikiem najpierw rozmazany tusz, którego najbardziej zachwalana w reklamach cecha – wodoodporność – rządziła się własnymi prawami i bliżej nieokreślonym widzimisię tegoż. W zależności nie wiadomo od czego raz była na poziomie bliskim zeru, a za innym razem, tak jak chociażby w tej chwili, sięgała zenitu i nie dała się poskromić. Ani ta wodoodporność, ani sam tusz, rozpływający się wylewnie dookoła oczu, na natłuszczonej kremem-cud skórze powiek i pod oczami. Co ją podkusiło, aby się natłuszczać, wiedziała doskonale. I pluła sobie w brodę, że dała

się ponieść jakimś miałym emocjom, chęci na lepszy wygląd, bo co? Bo on miał przyjechać? No błagam!

– No Asiu! Nie upilnowałaś wtedy, nie upilnujesz i teraz – skrzeczała matka, jak zwykle zresztą. Pojawiała się znieczeka, jak tylko ona potrafiła, i Joanna z dokładnością co do kropki nad „i” mogła przewidzieć, z czego będzie się składał potok jej kolejnych słów.

– Joanna – burknęła, poprawiając matkę, nie wierząc, by tym razem przyniosło to jakikolwiek rezultat. – Mariolka z Lidla, ty tylko popatrz... a Żaneta, ta z urzędu... – kontynuowała pod nosem, pocierając wacikiem zaczerwienioną skórę wokół oczu.

– Mariolka z Lidla, ty tylko popatrz, znowu ma nowego narzeczonego, ona to ich zmienia jak rękawiczki, a ty, no co z tobą nie tak?

– Ona ich zmienia? A może to oni ją? Mamo! – Pożałowała swoich słów, zanim je wypowiedziała. Tak się działo zawsze, najpierw gadała, później myślała o konsekwencjach, które były przecież niezmiennie od dziesięcioleci.

– Ty nie wiesz, co ty mówisz, córko – oznajmiła rodzicielka z pełnym przekonaniem i już miała zacząć opowieść o Żanecie z urzędu, lecz nagle podbiegła do okna, nasłuchując. – Gwiżdże ktoś, córka! Chłop jakiś może! A, zobaczmy!

Gdy odchyliła firankę i otworzyła okno, momentalnie przestała się ekscytować, a jej usta utworzyły dziubek zniechęcenia, pełnego niesmaku.

– Dlaczego ona gwiżdże? – zapytała w otwarte okno na cały głos. – Przecież są na tym świecie domofony.

Joanna podeszła do okna i spojrzała w dół. Maria wyglądała jak zwykle elegancko. Długi, żółty, wełniany płaszcz nadawał jej ekstrawagancji, a delikatny brązowy kapelusz, spod którego wystawały gustownie upięte siwe włosy, i botki o tym samym odcieniu, na niewielkim obcasie, dopełniały całości. Usta

pociągnięte pomadką, delikatne brwi. Joanna westchnęła. Nie potrafiła ani tak, ani inaczej, i w ogóle miała tego wszystkiego już serdecznie dość. Tym wszystkim były szminki, cienie do powiek, tusze, do których nie dają instrukcji obsługi, i cały ten przymus społeczny, jaki zaczynała odczuwać, odkąd zaczęło się lato. To lato! I choć na chodnikach pełno było żółto-pomarańczowych liści, a słońce zdecydowanie straciło na sile, przymus zaczął dopadać ją coraz bardziej.

– Jeszcze chwila! – bardziej syknęła przez okno, niż krzyknęła, i nie doczekawszy się odpowiedzi, pobiegła do łazienki.

– Nie chciałam się spóźnić, nie przystoi... – zaczęła Maria, składając dłonie w tubę, by jej głos był donośniejszy i przebił się przez szum północnego wiatru.

– A tak gwizdać to przystoi? – warknęła matka Joanny, po czym znów dodała: – Domofon jest przecież!

– Tak jest zabawniej! – krzyknęła Maria, uśmiechając się od ucha do ucha. – Chcesz spróbować?

Matka wywróciła oczami i czym prędzej zamknęła okno, zasłaniając je firaną oraz zasłoną (i gdyby miała żaluzje, to pewnie i je by zaciągnęła) na znak swojej dezaprobaty.

– Czy ona musi tu przychodzić? – zapytała, wchodząc tym razem bez pytania do łazienki. Joanna powinna być do tego przyzwyczajona, ale nie była. Nie umiała też się temu przeciwstawić raz a dobrze, i to ją denerwowało jeszcze bardziej.

– Dlaczego mnie o to pytasz? – burknęła.

– Ponieważ przyszła do ciebie, jak mniemam. To nie ja się stroję i gdzieś wychodzę, nie mówiąc nawet własnej matce dokąd.

– Jak się nie stroję, to mówisz, że faceta nie znajdę, a jak się stroję, to też niedobrze?

– Nie histeryzuj, dziecko. Z matką już zupełnie czasu nie spędzasz. Niby żyjemy pod jednym dachem, ale jak pies

z kotem. Doprawdy, wiesz, ta Żaneta z urzędu, to mało tego, że sobie z zagranicy znalazła męża, to jeszcze utrzymuje rodziców, i to oboje!

– Żaneta? Z zagranicy? Tego, co to pod barem tam stoi? – Joanna zerknęła przez okienko w łazience, wychodzące na podwórko blokowiska. – Tam jakby tak ukraiński słyhać.

– Nic nie wiesz o życiu – warknęła matka i poczłapała do kuchni.

Joanna odetchnęła z ulgą i przypudrowała twarz. Sięgnęła po tusz, lecz ostatecznie i definitywnie zamiast go użyć ponownie, schowała go do najgłębszej szuflady, tam gdzie trzymała leki.

Gdy wyszła z bloku, na ławce przy obnażonym krzaku bzu siedziały Maria i Genowefa, a z ich twarzy nie schodziły grymasy i przez chwilę Joanna się zastanawiała, czy coś je boli, czy się uśmiechają. Po chwili pojęła, że chyba to drugie, i zapewne ten uśmiech jest w jakiś sposób związany z nią.

– Mogę w ogóle nie jechać z wami – burknęła Joanna na powitanie.

– Chyba nie – odezwała się Gienia, trzymająca ręce w kieszeniach kurtki.

– Nie, nie możesz – potwierdziła Maria, machając miniaturową torebką z czerwonej sztucznej skóry.

– Mogę! – Joanna poczuła się jak mała dziewczynka i nawet nogą szurnęła, jakby chciała tupnąć; siłą powstrzymała się od tego ruchu. Miała trzydzieści pięć lat, to nie był zatem dobry pomysł.

Maria szturchnęła łokciem Gienię i zachichotała. Starsze panie wstały, trzymając się siebie nawzajem, i ruszyły naprzód. Joanna przez chwilę stała w miejscu, wreszcie wypaliła:

– A po co tam my wszyscy, jak jakiś komitet powitalny?

– No Asiu! Nie marudź, chodź – Maria odwróciła głowę

i puściła do niej oko, nie zatrzymując się wcale. Joanna westchnęła zbyt głośno, by uszło to uwagi babć, i grzecznie podreptała za nimi.

– Gienia! – zagadnęła najmłodsza z kobiet, chcąc załagodzić swoją buńczuczność, by zapobiec dalszym żartom, jakich się spodziewała w związku z sytuacją, która dla niej była ewidentnie niecodzienna... ale ryknęła tonem dyrektorskim tak, że momentalnie poczuła się nie jak Asia, nie jak Joasia, nawet nie jak Joanna, ale zgodnie z ksywką, która przyjęła się i do niej, niestety, pasowała jak ulał: Mała Mi. – Jakiego zwierza targasz w kieszeni? – dokończyła na fali wredności, której nie umiała zmienić na zawołanie.

– Ważkę – odparła Genowefa głosem pełnym spokoju i ufności, nawet nie odwracając się w stronę rozmówczyni. Tym samym dała jej zapewnienie, że nedorzecznie oraz nieco chamsko potraktowała bliźniego swego.

Mała Mi westchnęła i na wydechu poprosiła:

– Pokaż – Po chwili czym prędzej dodała, jakby doganiając słowem słowo: – Proszę, oczywiście proszę.

Marysia szturchnęła Gienię pod żebro, co wywołało syknięcie tej drugiej. Oj, jak ona tego lubiła. A Maria ubóstwiała. Był to, jak tłumaczyła, rodzaj okazywania sympatii, a komu jak komu, ale Gieni będzie okazywać swoje uczucia zawsze. Na nic wypominanie ich relacji sprzed wielkiej przyjaźni, na nic tłumaczenia, że może i owszem było to miłe, ale jakieś dwadzieścia lat temu, a nie teraz, gdy skóra i kości, i reumatyzm, i wszystko inne.

Gienia wyjęła z kieszeni kamień. Jego spód był jeszcze przybrudzony ziemią. Musiała się spieszyć, malując na wierzchu ważkę. Była piękna, łąpała na Joannę wielkimi oczami, a jej odwłok zaginał się w dół, na spód kamienia.

– Urocza – szepnęła Joanna, oddając kamień, lecz Genowefa pokręciła głową.

– To dla ciebie, weź.

– O tak, ważki to zmiany – przytaknęła Maria. – Weź, weź.

Wymowne spojrzenie obu starszych pań mówiło samo za siebie.

– Widzisz, co chcesz zobaczyć – powiedziała Marysia, machając ręką.

Tuż przy nich zatrzymał się stary, żółty volkswagen touran, odmalowany niefabrycznie na taki kolor, by był lepiej widoczny na polskich szarych drogach. Jego dach ozdobił wdzięczny napis „Patrycja”, fioletowego koloru. Hultaj, bo tak auto miało na imię (tak, tak, samochody należące do domu opieki „Patrycja” nie pozostawały bezimienne, a to za sprawką patrycjuszy, którzy – jak mniemała Mała Mi – do reszty zdziecinnieli lub nie mieli czym się zająć na stare lata. Tak mawiała dopóty, dopóki sama nie zaczęła wydzwaniać do Stacha i tonem Alexis z *Dynastii* żądać: „Podstaw Hultaja”), był wyczyszczony na największy połysk, jak zawsze.

– Elegancki jak zwykle – rzekła Maria, gdy już usadowiła się za Stachem w Hultaju i pociągnęła nieco zbyt teatralnie usta szminką.

– Wymaga tego okazja – odpowiedział kierowca, zerkając we wsteczne lusterko.

– Czy nie możecie się powstrzymać przy ludziach? – Gienianie wytrzymała i wydeła pomarszczone usta, dzięki czemu przypominała teraz Benjamina Buttona z okresu wczesnego dojrzewania. Stachu znów się śmiał. Robił to wyłącznie oczami, ponieważ gęsta siwa broda przechodząca w wąsy (lub odwrotnie) zasłaniała pół jego twarzy. Gdyby zamiast powiedzenia „pluć sobie w brodę” można było stosować „śmiać się w brodę”, to z pewnością dotyczyłoby ono Stacha. Jednoznacznie i definitywnie.

Joanna spojrzała z rezerwą na Gienię, a potem szybko

przeniosła wzrok na Marysię. Ta jak gdyby nigdy nic patrzyła się przez okno, marszcząc surowo brwi.

- Nic nie rozumiem - burknęła Joasia, i faktycznie nie rozumiała. Jednak to nie słowa Gieni wprawiały ją w dezorientację, tylko jej własne myśli, krążące nawet nie w jej głowie, ale jakby nad nią, zupełnie na podobieństwo jesiennych liści, wirujących w chaotycznym tańcu na wietrze. Chaos to dobre określenie, przyszło na myśl Joannie, która czuła coraz większy... strach?! Nie, to niemożliwe. Owszem, bywało tak, zwłaszcza w dzieciństwie, zwłaszcza w drodze do szkoły, do tablicy, do domu, do sklepu, na chór, tak, ale przyzwyczała się do niego, zadomowiła się w nim, a on w niej - już jakiś czas temu. Ten czas, który leci jak szalony i który nie wiedzieć kiedy buchnął jej sprzed nosa trzydzieści pięć lat jej życia, z których ona pamięta tylko i wyłącznie to, że się bała. Ciagle i permanentnie. Ale żeby znów go poczuć? Ten strach, tak w trzewiach? To niemożliwe.

- Ważkę weź - mruknęła Gienia, odwracając głowę do siedzącej z tyłu Joanny. Ta spojrzała na nią zdziwiona, wyrwana z gonitwy swoich obrzydliwie strasznych myśli. - Wiercisz się jak wrzód na tyłku. Weź ważkę do ręki. Kamień - wyjaśniła, widząc coraz większe zielone oczy Małej Mi. - Uspokoi cię.

- Wrzody się nie wiercą - skarciła przyjaciółkę Marysia, poprawiając kapelusz i zerkając w lusterko wsteczne, szukając, trochę bezwiednie, wzroku Stacha.

Joanna sięgnęła do kieszeni i teraz to ona ścisnęła kamyk, tak jak to miała w zwyczaju Gienia, a czynność ta Joannie kojarzyła się niestety wyłącznie ze starością, reumatyzmem i innymi bliżej nieokreślonymi „starczymi” sprawami. Wzdrygnęła się na samą myśl, lecz kamyka nie puściła. Mało tego, ścisnęła go mocniej, a ten, rozgrzany jej dotykiem, podziałał kojąco. Ciepło rozeszło się po całym jej ciele i nie miało nic wspólnego z ogrzewaniem w Hultaju, które podkreślił brodaty kierowca.

Joanna wyjęła telefon i zerknęła na wyświetlacz. Żadnej nowej wiadomości. To dobrze, przekonywała samą siebie. To bardzo dobrze. Kliknęła w aplikację z notatkami i – jak jej się zdawało – bezmyślnie wystukała: „Cóż, nie spieszyłeś się za bardzo. Za chwilę jednak będziesz. Czego chcesz? Spokoju może. Bo trudno znieść ten trzepot w piersi”. Spojrzała w okno, na przyklejony do szyby żółty liść. Podniosła dłoń, by oprzeć ją na szybie na jego wysokości. Uśmiechnęła się do siebie, do liścia, do jesieni, a może do zmian, a potem skasowała wszystko, co napisała, i schowała telefon do kieszeni.

– Dlaczego garnitur? – zapytała nagle Joanna.

– Z szacunku – odezwała się Marysia, wchodząc w słowo Staszewski, kiedy ten ledwie co zdążył otworzyć usta.

– On sam może się wypowiedzieć – burknęła Gienia. To był doskonały moment, aby oddać przyjaciółce szturchnięciem w żebro, żałowała tylko, że nie było to wykonalne. Uniosła palec i pchnęła Marysię, czym naraziła się na złowrogie spojrzenie tejże. – Tak sędzę – dodała pospiesznie, jakby miało to złagodzić urazę.

– No, może. – Maria poprawiła kołnierzyk, który nie wymagał poprawienia, i odwróciła się do okna.

– No właśnie, może.

– No, skoro może, to może odpowie? – zaproponowała Joanna, nie bardzo rozumiejąc, co się właściwie dzieje.

– Może, przecież mówię. – Maria nie próbowała nawet odpuścić.

Gdyby nie milczenie samego zainteresowanego, pewnie by się dalej licytowały, która zakończy tę wypowiedź. Pojawił się też inny, dodatkowy bodziec, który kazał im się lekko zaniepokoić. Dźwięk klaksonu dobiegający z tyłu już nie jawił się im jako wystąpienie solowe. Do ich uszu zaczynały dobiegać nieskładne duety, a nawet zmotoryzowany kwartet. Maria odwróciła się, by

spojrzeć w tylną szybę.

– Jedź, Stachu, co tak stoisz? Hultaj się popsuł? – spytała, szarpiąc go za ramię.

– Mryśka... – zaczęła ostrożnie Gienia.

– No jedź, bo oni zaraz tam z tyłu zwariują, światło już się drugi raz na zielone zmieniło – ponaglała.

– Mryśka! – wrzasnęła Gienia, a Joanna podskoczyła na fotelu.

– Ty też chcesz dołączyć do chóru anielskiego na tej pieprzonej warszawskiej ulicy? – Marii udzielił się nastrój, więc nie wytrzymała. Spojrzała na Gienię, a gdy zobaczyła jej pobladłą twarz, momentalnie przeniosła wzrok na Stacha.

Był blady. Nieruchomy. Głowę miał lekko schyloną do kierownicy, a z kącika ust kapała mu ślina.

– Stachu... – powiedziała Maria bezgłośnie, wycierając rękawem łzy.

ROZDZIAŁ III

Shall I stay?

Would it be a sin

Elvis Presley, *Can't Help Falling In Love*

– Siadaj! – rozkazała Maria, gdy wspólnymi siłami położyły nieprzytomnego Stacha na tylnym siedzeniu Hultaja. Joanna wsiadła za kierownicę z zapalem i pełna werwy. Cieszyła się w duchu ze swojego opanowania. Jej strach, taki nonsensowny, zupełnie nie na miejscu, znikł, a jego miejsce zajęły pewność siebie i jakiś rodzaj spokoju, który czasami pomaga nam iść do przodu w trudnych, zaskakujących sytuacjach. Zapewne adrenalina, ale jak zwał, tak zwał. Spojrzała we wsteczne lustro. Gienia i Maria usadowiły się i zatrzasnęły drzwi.

– Do szpitala! – wrzasnęła Maria. – Szybko!

Przekręcenie kluczyka w stacyjce okazało się nie takie trudne, ale potem, gdy Joanna nawet wyłączyła światła awaryjne, gotowa, by ruszyć, naraz sobie zdała z czegoś sprawę:

– Ja nie mam prawka – wymamrotała.

– Nie zawracaj sobie głowy formalnościami, jedź! – Marysia całą sobą pragnęła wyjść z siebie i stanąć obok, albo przycupnąć co najwyżej, byle się rozdwoić, bo w ten sposób, jak miała wrażenie, mogłaby bardziej pomóc nieprzytomnemu Stachowi. – Ależ nas załatwił! – wymamrotała pod nosem, czując narastający gniew, który chętnie by skierowała w odpowiednią stronę, tyle że nie za bardzo wiedziała, który kierunek byłby tym właściwym.

– Ale ja naprawdę nie mam prawka! – Joanna odwróciła głowę, bojąc się patrzeć na Stacha.

– No i co z tego! – Głos Marii brzmiał jak koguci śpiew o poranku, irytująco i alarmująco jednocześnie.

– Nie mam też umiejętności! – warknęła Joanna, sięgając po telefon. – Wezwę karetkę.

– Oszalałaś, zabijesz go! – Maria zaczęła gramolić się z auta, żywo gestykulując.

– Nie patrz tak na mnie, wiesz, że ja nie umiem. – Gienia podniosła obie ręce, jakby chciała w jednej sekundzie zbudować niewidzialny, ale solidny mur, który oddzieli ją od koszmaru, w którym się znalazła.

– Wezwę. – Joanna czekała na połączenie.

– Wyjdź! – rozkazała Maria i szybko zamieniła się z nią miejscami. Chwyciła kierownicę i zamknęła oczy. Nie było to łatwe. Nie było to nawet trudne. To było nie do zrealizowania.

Najpierw poczuła dreszcz. Taki sam jak kiedyś. Odgoniła szybko wspomnienia; umiała to robić na zawołanie. Ponownie spojrzała we wsteczne, żeby widzieć Stacha. Jego brak, który mógł za chwilę tu się pojawić, jeżeli ona – Marysia – nie zmusi się do tego, by ruszyć z miejsca. W tym momencie nie dochodziły do niej żadne dźwięki z zewnątrz. Była zakleszczona w swoim własnym świecie, który napierał i dusił coraz intensywniej. Wtedy było tak samo. Wtedy, gdy obiecała sobie,

że nigdy więcej nie znajdzie się za kierownicą żadnego pojazdu, nawet roweru. Fakt, że tamto wtedy to nie była jej wina, nie pomagał. Wówczas najpierw widziała jakby wodę. Zasłaniała jej widok. Było to zbawienne, ponieważ gdyby nie połączenie kropel potu i łez, zobaczyłaby o wiele gorsze obrazy. Choć z drugiej strony, może by to nie było takie złe? Móc sobie wyobrazić to, co leżało na ulicy; móc sobie to odtworzyć jeden do jednego, a nie wyolbrzymioną wersję podpowiadaną przez własną wyobraźnię, w ślad za którą dudniły słowa psychoterapeutki, które tamta wypowiadała, zapalając papierosa i machając nogą: „Dzieci zawsze wybiegają na ulicę za piłką, to normalne”. I Maria nie wiedziała, czym jest to „normalne”. Siedziała wtedy w wozie, zanim nie przyjechała policja; siedziała w wozie, zanim policja nie odjechała. A potem, gdy się ściemniło, wysiadła, zatrzasnęła drzwi, zabrała z tylnej kanapy śpiącą Glorię i szła, trzymając ją na rękach, kolejne kilometry, aż nad ranem dotarła do domu. Nie pamiętała, czy po samochód ktoś wrócił. Udawała, że ma silnie rozwiniętą niepamięć. I tak było łatwiej.

Oddychała płytko i szybko. Pozwoliła, by pot spłynął po jej czole i ją zaślepił. Zupełnie tak jak wtedy. I gdy przestała widzieć nieruchomą twarz we wstecznym lusterku, rozmytą przez spływające krople, zmieniła bieg i wcisnęła gaz.

– No nareszcie – szepnęła Genowefa, robiąc w powietrzu znak krzyża.

– Nie przedrzeźniaj! – Maria wracała do siebie.

– Kogo? – Przyjaciółka się rozejrzała, spoglądając pytająco na Joannę.

– Alicji – burknęła druga ze staruszek, skupiona na drodze.

– Myślisz, że ona się tam modli? – przyłączyła się Joanna, wspominając zapał swojej bylej pensjonariuszki do wszelkich religijnych obrządków.

– Z pewnością – rzekła Gienia, pokazując palcem w stronę Marii. – Jeśli tylko widzi, co ona wyprawia na drodze. Masz,

wsadź sobie to do gęby!

Szybkim ruchem sięgnęła po leżący w Hultaju ołówek i w poprzek włożyła go przyjaciółce w usta. Trzymając się kurczowo kierownicy, Marysia nie miała odwagi wyjąć przedmiotu spomiędzy warg, więc próbowała go zignorować, choć nie było to łatwe. Dobrze, że Stachu tego nie widzi, przeszło jej przez myśl, ale zaraz się zreflektowała i wcisnęła mocniej pedał gazu.

– No, od razu lepiej – rzekła Gienia, a widząc ogromny znak zapytania malujący się na twarzy Joanny, pospieszyła z wyjaśnieniem: – Jak sobie włożysz ołówek do ust, to ciało, rozszerzając te usta, daje sygnał do mózgu, że się uśmiecha, więc mózg reaguje i leci dalej z endorfinami i innymi pomagierami, i zaraz przychodzą spokój, radość, opanowanie, rozumiesz? Nie rozumiesz? No cóż. – Genowefa westchnęła. Chciała gadać, dużo gadać, najlepiej same głupoty, byleby nie kierować wzroku na Stacha i nie sprawdzać co chwila, czy żyje.

– ...je? – zapytała Marysia, próbując wypluć ołówek.

– Tak, żyje. Jedź.

Joannie nie udało się jej uspokoić. Maria zerkała we wsteczne lusterko raz po raz, zastanawiając się, dlaczego do diabła nigdy nie powiedziała temu facetowi, że jest najprzystojniejszym starym dziadem, jakiego w życiu spotkała.

Gdy wjechała pod szpital i wysiadła z Hultaja, poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Bluzka przyklejona do jej pleców nie zapowiadała możliwości wyschnięcia – nigdy. Płaszcz, niegdyś ulubiony, teraz krępował jej ruchy, kołnierz dusił niczym wąż z obrazka, jaki widziała w gazecie, kiedy była małą dziewczynką.



Stacha już nie było. Zabrali go i pognali w otchłań szpitalnych OIOM-ów. Gienia poczłapała za ratownikami, próbując dogonić Joannę, która dotrzymywała im kroku i jako jedyna przytomnie myśląca osoba z całego towarzystwa zadawała istotne pytania i udzielała niezbędnych odpowiedzi.

A Maria stała przy Hultaju, zaparkowanym tuż przed izbą przyjęć, blokując wjazd dla karettek, które na szczęście w tym momencie nigdzie się nie spieszyły. Stała z opuszczonymi rękoma i ołówkiem trzymanym w poprzek w ustach, zupełnie nie wiedząc, co ze sobą począć.

Początek października obfitował w słońce, tak jakby wmawiając wszystkim dookoła, że złota polska jesień nie jest pojęciem metaforycznym, a pytania o nią nie należą do tych z gatunku retorycznych. Słońce grzało, usilnie starając się nie udać na zimowy sen na tarczy, nie miało też zamiaru powoływać się na żadną klauzulę sumienia, czyli iść zgodnie z modą zapoczątkowaną przez aptekarzy. Maria splunęła na samą myśl o tym, zaparkowała Hultaja na przyszpitalnym parkingu i usiadła na ławce, starając się w ogóle nie spoglądać w stronę drzwi prowadzących na izbę przyjęć. Nie wiedziała za bardzo, na czym się skupić, toteż pozwoliła, by jej umysł robił kogel-mogel myślowy, zabawiając się jej kosztem.

– Nic mu nie będzie – usłyszała znajomy głos.

Gienia zgarnęła żółte liście z ławki i przycupnęła obok. Maria pokiwała głową, nadal się nie odzywając.

– Pyta o ciebie – przekazała Genowefa z szerokim uśmiechem.

– Co się tak szczerzysz? – Przyjaciółka wróciła najwyraźniej do siebie, nawet jej wzrok się wyostrzył, spojrzenie nabrało blasku, a kąciki ust delikatnie się uniosły, powiększając zmarszczki w dolnej części twarzy.

– A bo ja wiem? – Genowefa parsknęła. – Może dlatego, że umiem – oznajmiła, zupełnie nie zamierzając bawić się w wymianę docinków. Marysia wyglądała jej na pogubioną. –

No, idź do niego – powiedziała łagodnie. – Nie będę się z was nabijać, zobaczysz – uspokajała, lekko ją podjudzając.

– Nie tego się boję, Gieńka. – Ton Marysi był poważny, ale spokojny.

– Ty się czegoś boisz? – Tym razem druga ze staruszek roześmiała się na dobre, ale po chwili spoważniała, obserwując przyjaciółkę. Ta drżała na całym ciele, siedząc w ciepłym płaszczu na słońcu.

– No – burknęła Maria.

– A to niespodzianka!

– Srutu pierdutu. – Tym razem burknięcie było nad wyraz emocjonalne.

– Twoja elokwencja jest powalająca, moja droga, ale nie ochronisz się nią niczym wielkim murem, zresztą ten już jakiś czas temu runął, o ile mnie pamięć nie zawodzi. – Genowefa za wszelką cenę próbowała wytrącić Marysię ze stuporu zakotwiczonego w lęku i wypchnąć ją na szerokie wody spokoju oraz wiary w to, że wszystko będzie dobrze. – Idź – powtórzyła wreszcie, lekko podnosząc głos.

– Ty się chyba zapominasz. – Wreszcie Marii udało się sklecić zdanie składające się z więcej niż dwóch słów o wątpliwym znaczeniu. – Ostatnio takim tonem mówiłaś do mnie jakieś pół wieku temu. I ten czas minął bezpowrotnie.

– Tak, tak, miało to związek z moim bratem, twoim byłym mężem i mężem Alicji. Przypadkiem była to jedna i ta sama osoba...

– Ta jedna i ta sama osoba była nieźle zrypana, poza tym od dawna nie żyje, więc może nie przywołujemy tych wątpliwych wspomnień.

– No to idź już do Stacha. On po pierwsze jeszcze żyje, po drugie czeka na ciebie, po trzecie, jeśli wyzbędziesz się tego gówna – Genowefa nie wiedzieć czemu kolejny raz wykonała

w powietrzu znak krzyża – to może was czekać jeszcze chwilunia wspólnej przyszłości.

– Czym jest to gówno, okraszone znakiem krzyża? – Maria najwyraźniej poważnie się zainteresowała.

– Strachem – szepnęła Gienia, jakby wypowiedzenie głośno i wyraźnie tego słowa wiązało się z bardzo poważnymi konsekwencjami.

– I chciałaś go ze mnie wypędzić jak szatana?

– No a czym on jest? – Genowefa wskazała rosnącą nieopodal jarzębinę. – Idź do niej, przytul się, podziękuj i weź trochę jagód do kieszeni, zaraz ci strach odejdzie.

– Daj spokój. – Marysia machnęła ręką, ale widząc natarczywe spojrzenie przyjaciółki, posłusznie wykonała polecenie. W tej kwestii żadne dyskusje nie wchodziły w grę, przekonała się już o tym nie raz. Poczłapała zatem pod drzewo i pod wielce zainteresowanymi spojrzeniami przechodniów wlaźła za metalową barierkę oddzielającą ścieżkę od trawnika, rozłożyła szeroko ręce i objęła chudy pień.

– Głośniej! – krzyknęła Genowefa – Wszechświat musi cię usłyszeć!

– Ona to robi specjalnie – mruknęła pod nosem Maria, jakby chciała się poskarżyć starej jarzębinie, a potem odfuknęła: – Wszechświat czyta mi w myślach!

– No, jeśli tak jest, to na twoim miejscu faktycznie bym się bała! – Genowefa nie dawała za wygraną. Odwróciła się jednak od Marii, jakby całą sobą chciała zakomunikować, że nie zna tej wariatki, co gada z drzewem. Zanim jednak to zrobiła, krzyknęła jeszcze raz: – Głośniej! Pokaż, jak potrafisz!

– O drzewo kochane, moc z tobą, pomóż mi pozbyć się tego strachu, który we mnie siedzi, pozwól, że wezmę twoje owoce, aby oczyściły mnie z lęku. Amen! – krzyknęła Marysia, wtulona w jarzębinę. – Zadowolona? – krzyknęła jeszcze głośniej.

Potem zerwała kiść owoców, powąchała, schowała do kieszeni i odwróciła się do ławki, na której już nie było Gieni. Kilka osób zatrzymało się za to nieopodal, gapiąc się na jej poczynania. Mężczyzna w średnim wieku z wystającą z kieszeni małą czterdziestoprocentowego napoju zaczął nawet wylewnie bić brawo, a przechodzień po sześćdziesiątce pospieszył do Marysi, by wziąć od niej numer telefonu.

– Moja mama nie pozwala mi rozmawiać z nieznajomymi – fuknęła staruszka, odpędzając się od jegomości jak od stada komarów, i czym prędzej powędrowała do szpitala.



Uśmiechał się! On się uśmiechał! Szeroko, niewymuszenie. Wiedziała to, bo patrzyła nie na usta, ale na oczy. Standardowo, tak jak należy patrzeć na Stacha. Leżał w szpitalnym wdzianku, czekając na lekarza, który zinterpretuje badania. To oczekiwanie mogło być nieznośne, ale nie było. Maria też się uśmiechała, a zza uchylonych drzwi w tę niemą scenę wpatrywały się dwie pary innych oczu, których właścicielki próbowały powstrzymać chichot. Przegrały z kretesem, wybuchając śmiechem i uciekając jak małe dziewczynki, które nabroily, ale ich występki raczej można było zaliczyć do tych z kategorii zabawnych, nie wrednych.

– Za uszy was wytargam! – krzyknęła Maria, ale za drzwiami nikogo już nie było. – Jak dzieci – wymamrotała, podchodząc do łóżka Stacha i siadając na skraju. – A ty co się tak cieszysz? – Uniosła brwi i wysiliła się na poważną minę świadczącą o tym, że już za chwilę, już za momencik wystartuje z reprimendą, po której adresat poczuje się co najmniej nieswojo. – Nie miałeś lepszego pomysłu na dzisiejsze popołudnie? Całkiem znośna pogoda, mogłeś mnie chociażby na spacer zaprosić. Sprawdzilibyśmy, czy najśłodsze okienko na Wilsona już

zmieniło asortyment na zimowy. Pączka bym zjadła. Ze śliwką, gdyby kogoś to interesowało. Ale nie, musiałeś mieć wylew. I to w samochodzie, na środku ulicy! W Warszawie! Ty to naprawdę masz pomysły.

Maria rozkręciła się na dobre, a z każdym jej kolejnym słowem żartobliwy ton, który początkowo przyjęła, zmieniał kierunek, aż zupełnie spoważniał, nabrzmiał goryczą i ogromnym niepokojem.

– Wszystko jest już w porządku – odezwał się Staszek i oboje zdali sobie sprawę, że role się nagle odwróciły. To Maria była teraz pacjentką, której to on musiał ukoić zszargane nerwy.

– No i super – palnęła, intensywnie mrugając, by zbierające się w kącikach oczu łzy nie znalazły ujścia.

– No pewnie. – Stachu wciąż nie dawał za wygraną i nie przeganiał przywdzianego uśmiechu. – Naprawdę się cieszę, że już po wszystkim.

– A skąd wiesz, że po wszystkim? – Maria złagodniała.

– Bo też mam wielką ochotę na pączka ze śliwką, a tu mi takiego nie dadzą, więc...

– Co: więc? Chcesz wiać ze szpitala? Co to, to nie.

– A co z Pawłem? – Stachu nagle spoważniał.

– O rany! – Głos należał do Joanny. W ślad za nim dobiegły ich niezbyt wyraźny szept i szmer, aż drzwi otworzyły się szerzej i do pokoju weszły pozostałe pasażerki Hultaja.

– Podśluchiwałyście! – rzuciła Maria, układając usta w dziubek wyrażający irytację.

– No i co nam zrobisz? – Jej przyjaciółka pokazała język wszystkim zgromadzonym, obracając się dookoła własnej osi, choć wystarczyłoby zaadresować ten wątpliwej urody gest wyłącznie do Marysi.

– Piłaś? Nie jedź! – oznajmiła Maria i ruszyła do drzwi. – A ty

leż i się stąd nie ruszaj, bo zobaczysz! – Te słowa skierowała do Stacha i opuściła pokój chorych.

– Jak to: nie jedź?! – Genowefa poczuła się wyeliminowana z rozgrywek. Jakich, jeszcze nie wiedziała, z pewnością jednak coś wymyśli na uzasadnienie obecnego samopoczucia. – To też mój wnuk! Tak samo jak twój! – krzyknęła, wybiegając z sali, w której teraz Joanna została sam na sam z rozbawionym Stachem.

– Ja chyba nie nadażam – odezwała się. – Ale na wszelki wypadek pójdę, zobaczę, czym ten wyścig się zakończy.

Opuściła pokój równie szybko i energicznie jak jej poprzedniczki, wprowadzając tym samym kierującego się do Stacha lekarza w lekkie zdumienie.

– Czym pan tak skutecznie przepłoszył te miłe panie? Zdradzi mi pan swój sekret? Ta umiejętność jest, wydaje mi się, bardzo przydatna. Do zastosowania w przypadku niektórych osób z najbliższego otoczenia – powiedział, gdy wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Po chwili uchylił je jeszcze, by sprawdzić, czy na pewno wszystkie panie poszły sobie na dobre.



– Co ty wyprawiasz? – Genowefa nie mogła dotrzymać Marii kroku. Przemierzały szpitalne podwórko w tempie błyskawicy. Tak im się przynajmniej wydawało; przechodniom ten widok mógł kojarzyć się jednoznacznie z postacią Benny’ego Hilla z serialu komediowego pod tym samym tytułem.

– Jade! – krzyknęła Maria, odpędzając się rękoma od czegoś niewidzialnego, z pewnością nie od Gieni, ponieważ ta znajdowała się daleko za uciekającą Marysią.

Nagle Genowefa zmieniła front. Przestała się odzywać, zatrzymała, rozejrzała się i pobiegła w zupełnie innym

kierunku.

Tymczasem Maria wsiadła do Hultaja, przekreśliła kluczyk w stacyjce i poczuła na plecach strużki potu. Trzęsącą się ręką zmieniła bieg na wsteczny i bardzo ostrożnie wyjechała z miejsca parkingowego. A potem, nie zważając na to, że siedzi w aucie za kółkiem, za którym nie miała już nigdy siedzieć, ruszyła przed siebie, aby opuścić wreszcie teren szpitala. Jak tonący brzytwy uczepliła się myśli, że oto w imię pamięci Alicji, swojej przyjaciółki, musi pędzić na lotnisko, by odebrać jej wnuka, który wreszcie po kilkunastu latach tułaczki wracał do rodzinnego kraju. Co najzabawniejsze, nikt, nawet sama Maria, w innych okolicznościach nigdy nie nazwałby wyjazdu Pawła tułaczką – ale jakże to określenie pasowało w tej chwili do wewnętrznego monologu Marysi!

Joanna, która właśnie schowała telefon do kieszeni, przyglądała się całemu zamieszaniu z lekkim zdumieniem. Chciała biec za odjeżdżającą staruszką, lecz zaraz przystanęła w osłupieniu i z wysoko uniesionymi brwiami gapiała się na to, co rozgrywało się nieopodal na jej oczach.

Hultaj toczył się właśnie w stronę bramy wyjazdowej z przyszpitalnego parkingu, do której już zdążyła podbiec Genowefa, i w momencie, gdy Maria miała minąć budkę ochroniarza, druga z kobiet rzuciła się na środek drogi, odgradzając Hultajowi drogę ucieczki. Marysia ostro zahamowała, otworzyła okno i puściła wysokiej klasy wiązanke przekleństw pod adresem „wariatki”, „niezrównoważonej”, a nawet nie wiedzieć czemu „siksy”, blokując drogę taksówce, która od jakiegoś czasu próbowała wjechać na teren szpitala. Przy akompaniamencie krzyków Marii i Genowefy wciąż stojącej na środku jezdni, z rękoma rozłożonymi szeroko, najwyraźniej na znak protestu, z taksówki wysiadł Paweł z młodziutką dziewczuszką, której wyraz twarzy zdradzał skrajne emocje.

– No Asiu?! – wykrztusił wreszcie Paweł, spojrzawszy raz na jedną, raz na drugą starszą panią. Dostrzegłszy w oddali

Joannę, uczepił się jej wzrokiem, szukając w niej wsparcia i wyjaśnienia, lecz ta tylko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się szeroko. Naprawdę się cieszyła, że go widzi.



„Uśmiech przysiadł na moim ramieniu. Twój, nieskrywany. Ten, za którym tęskniłem najbardziej. Gdybym go przepłoszył jak ważkę, gdy byłem mały i nieostrożny, nie miej mi tego za złe, po prostu wybacź”. – Paweł bazgrał ołówkiem po kartce, siedząc na tylnym siedzeniu w Hultaju, patrząc na usypiającą powoli Warszawę i po raz pierwszy podając w wątpliwość obrany cel swojej wędrówki. Ale ta niewiedza była przesłodzona jak kawa z wiadra z petersburskiej kawiarni z pyszkami. Przesłodzona przelotnymi spojrzeniami Joanny i szczebiotaniem Anastazji.

ROZDZIAŁ IV

There must be peace and understanding sometime

Strong winds of promise that will blow away

All the doubt and fear...

Elvis Presley, If I Can Dream

W pokoju panował półmrok. Wciąż było czuć lekko „strychowizną”. Takie określenie przyszło do głowy Anastazji, najsłabiej znającej język polski.

– Całkiem nieźle – skwitowała Mała Mi, wcielając się w swoją rolę, adekwatną do ksywki, niezwłocznie po opuszczeniu Hultaja, porzuconego przez Marysię na tyłach domu spokojnej starości „Patrycja”.

Strychowizna miała w sobie coś swojskiego i chyba oddawała w całej rozciągłości sens sytuacji, w jakiej się nagle wszyscy znaleźli. Paweł wrócił do ojczyzny i wylądował na poddaszu. Anastazja została przesadzona do zupełnie innej gleby z poleceniem: rozkwitaj tu, bo stare czasy się skończyły. A Mała Mi wolała być Małą Mi, a nie Joanną, nie mówiąc już o Asi, bo bez pancerza jakoś tak było tchórzliwie i niekomfortowo.

Strychowizna nie przeszkadzała w niczym. Wręcz przeciwnie. Czując ten specyficzny zapach, składający się z mieszaniny starości, kurzu oraz rześkości będącej efektem nadmiernego wietrzenia, Paweł miał wrażenie, że faktycznie wrócił do korzeni. I to poczucie napawało go radością. Nie spodziewał się tego. Spodziewał się jednak czegoś, czego nie doświadczył. Rozmowy, spojrzeń, może nawet splecienia dłoni; nareszcie! Przyznał się do tego przed sobą samym i poczuł tęsknotę. Za Joanną, której dystans był zrozumiały, ale niemile widziany. Mogłaby chociaż dać mu buziaka na dobranoc. Mógłby sam ją pocałować, w końcu był facetem, ale z jakiegoś powodu zrezygnował, choć taki pomysł pojawił się w jego głowie.

– Nie jest jeszcze za późno – powiedziała Anastazja, przeciągając się w swoim łóżku. Zajęła to stojące przy oknie. Wpatrywała się w księżyc w nowiu. Paweł przeniósł wzrok na córkę i znów się zastanowił, czy nie myśli na głos.

– Na co, córcia? – zainteresował się, by się upewnić, czy nie jest przypadkiem typem słownego lunatyka.

– Na ciebie i Joannę. Słuchaj, a o co chodzi z tą Małą Mi?

– Musiałabyś obejrzeć *Muminki* – westchnął Paweł z lekkim uśmiechem. To zadziwiające, jak ta ksywka pasowała do Joasi. Jak ulał, mógłby powiedzieć, gdyby ktoś się pytał, oczywiście.

– *Mu...* co? – wyraziła zainteresowanie Anastazja, odwracając się od księżyca. Przyciągnęła kołdrę pod brodę i wpatrywała się w ojca.

– To bajka – zaczął Paweł, zdając sobie nagle sprawę, że dzieciństwo jego córki było pod względem kinematografii bardzo ubogie. Choć książek było pod dostatkiem, to jakimś cudem udało im się ominąć twórczość Tove Jansson szerokim łukiem. Do nadrobienia, pomyślał, do nadrobienia. Lecz w tym momencie usłyszał dźwięki czegoś, co mógłby zaklasyfikować jako heavy metal, takie, które w jego mniemaniu można by określić mianem przeraźliwych, i cała nadzieja

w zainteresowanie córki *Muminkami* legła w gruzach. No tak, westchnął, dziesięć lat. Wydał usta i wgapiał się w rozentuzjasmowaną dziewczynkę, która wyskoczyła z łóżka jak z procy i szczebiotała przez telefon jak najęta, żywo przy tym gestykułując.

– Ciotka pozdrawia – oznajmiła, gdy odłożyła telefon i wskoczyła z powrotem do łóżka. – Fajnie tu – dodała, zamykając oczy, a potem, jakby sobie o czymś przypomniała, uzupełniła: – Mogłeś do niej zadzwonić, w końcu żyliśmy wszyscy razem prawie na co dzień.

W jej głosie pobrzmiwała nuta dorosłości i lekkiej pretensji. Pochodziła z pewnością od Leny, ciotki Anastazji, która faktycznie każdego dnia pomagała Pawłowi w opiece nad córką. Mógł pomyśleć, mógł nie zapominać tak szybko, mógł nie być samolubny do reszty. Świadomość tego ostatniego wprowadziła go w melancholijny nastrój, a z takimi momentami radził sobie najgorzej. Rozejrzył się po pomieszczeniu. Co prawda nie znalazł tego, czego potrzebował, by nieco oszukać samego siebie i wprowadzić się w błogi nastrój, bo pyszki razem z poprzednim życiem pożegnał na zawsze, zdecydował się jednak dokładniej przyjrzeć otoczeniu.

Poddasze miało w sobie coś ze wsi. Ta konstatacja załaskotała delikatnie w brzuchu, jak pojedynczy motyl, który nagle wydostał się z siatki skrzętnie pilnowanej przez łowcę. Poczuł się z tym dziwnie, bo najpierw przyjemnie, a potem wstrętne. No bo jak można się cieszyć na wspomnienie, którego nie pielęgnowało się z premedytacją? Jak można się złościć na wspomnienie, które złość zakopuje i zdeptuje jak obślizgłą ropuchę, taką, co to wlaźła niepostrzeżenie do buta? Odciał się od swojego polskiego życia grubą krechą i wmawiał sobie, że wcale mu nie żal. A po jakimś czasie, wcale nie tak długim, uwierzył w to swoje udawanie. Czuł się jak w kokonie, bezpieczny i samowystarczalny. Nie musiał nic. Chodziło tu o myślenie i rozdrapywanie. Rany zablizniały się w tempie,

które nazwałby zatrwajającym, gdyby tylko pozwolił sobie na zwrócenie na nie uwagi. Nie pozwolił jednak. I dopiero teraz, siedząc w półmroku poddasza zamienionego na kawalerkę dla Małej Mi, w której nigdy nie zamieszkała, zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, że od przeszłości nie da się uciec, że nadchodzi czas zmartwychwstania wspomnień, a im trzeba stawić czoło. A może zrobić to, co kiedyś? Oddzielić grubą krechę kolejną swoją przeszłość? Kuszące, ale nie było takiej możliwości. Teraz nie był sam. Liczyła się przede wszystkim Anastazja. Ta, dla której już raz zapominał o przeszłości, nadal nie mając pewności, czy słusznie. Nie wymaże z pamięci niczego, co wiązało się z jej dorastaniem, zresztą po co? Żeby nie przypominać sobie o tym, że jego matka o nim zapomniała? Nie był do końca sprawiedliwy w ocenie i właśnie dlatego tak bardzo chciał sobie nie przypominać.

Paweł wstał z kanapy. Rzucił okiem na posapującą Anastazję i wyjrzał zza drzwi. Zszedł po schodach na piętro. Dom wydawał się pogrążony we śnie.

Z poddasza mógł bocznymi drzwiami wyjść na zewnątrz. Kawalerka wyremontowana przez patrycjusza stała się dzięki temu niezależnym mieszkaniem. Schody wykonał Stachu, samodzielnie. Były proste, ale schludne i niezwykle przydatne teraz, kiedy mieszkanko wreszcie znalazło lokatorów. Paweł jednak nie chciał wychodzić na zewnątrz. Powoli stawiał kroki na skrzypiącej podłodze, wpatrując się w drzwi po obu stronach szerokiego korytarza. Nie wszystkie były domknięte. Niektóre pozostawały w małym rozwarciu, jakby mieszkaniec skrywający się po drugiej stronie bał się ostatecznego oddzielenia. W tym miejscu prywatność często schodziła na dalszy plan. Tu wkradał się lęk. Taki pierwotny, o życie i jego koniec, który – nie ma co ukrywać – zbliżał się wielkimi krokami. Strach nie pozwalał domknąć drzwi. Nie pozwalał spokojnie udać się na spoczynek. Skłaniał ku niegaszeniu lampki nocnej i długotrwałemu przesiadywaniu przy książce, choć oczy się zamykały; noc, która już nadeszła, była zbyt

straszna, by się zapomnieć i poddać Morfeuszowi.

I właśnie tu, w tym domu dla starych ludzi, mieszkała osoba, do której przez chwilę, krótką, ulotną, miał szczęście mówić „babciu”. Była jego superbohaterką. Pamiętał o tym zawsze, choć nie zawsze do tej pamięci sięgał. Nawet nie z premedytacją, zagubiony w iluzjach i pomówieniach, chęciach i niechęciach. Był po prostu zmęczony oskarżeniami matki, cudzymi decyzjami z przeszłości i tym całym nikomu niepotrzebnym bełkotem osób dorosłych, którego najpierw nie rozumiał, a później to już zrozumieć nie chciał. Kwitował to w myślach krótkim zdaniem. Babka z jakiegoś powodu opuściła ojca, a matka z tego właśnie powodu – lub zupełnie innego – nie trawiła babki. A o właściwe powody nikt nigdy nikogo nie pytał. I on sam nie zdążył, choć całą historię poznał za sprawą swojej córki, która zmusiła go do sięgnięcia po stos listów od Alicji. To były bajki pisane, jakby nadal był małym chłopcem. Tym, z którym po krótkotrwałej znajomości pożegnała się, chowając ich wspólnego przyjaciela – Elvisa, psa z kulawą nogą. Bajki przenosiły go w jej krainę, pełną czarów. I kiedy razem z córką oglądał film o Alicji na motywach powieści Lewisa Carrolla, był przekonany, że widziana na ekranie Alicja to właśnie jego babka.

Idąc ciemnym korytarzem, schodząc po drewnianych schodach z duszą, skrzypiących niemrawo, jakby jakiś starzec mruzczał coś niezrozumiale pod nosem, Paweł się zaśmiał. Uświadomił sobie bowiem, że właśnie przeniósł się do krainy czarów swojej babki i czuje się tu zupełnie nie na miejscu. Choć miejsce to wybrał sam, z własnej nieprzymuszonej woli. Mniejsza jednak z tym.

Machnął ręką i nagle zamrugał.

Stała przed nim zjawa. Miała rozpuszczone siwe włosy, spływające falami po ramionach, i długą białą suknię. Chociaż nie, to oczywiście koszula nocna, lecz jakaś taka wiktoriańska, przeszło przez myśl Pawłowi i poczuł przemożną chęć dotknięcia

materiału, by poczuć jego strukturę pod palcami. Nie zrobił jednak tego, ponieważ włosy na rękach mu się zjeżyły, a po plecach przeszedł dreszczyk. Był zaskoczony; zjawa najwyraźniej nie. Przeszła obok niego, jakby go wcale tu nie było, i zniknęła w mroku korytarza.

– Jezus – mruknął Paweł, wciąż przekonany, że to sen na jawie. Zastanowił się przez chwilę, czy nie wrócić do mieszkanek na poddaszu, ale zrzucając swoje przywidzenia na karb podróży i emocji z nią związanych, zdecydował, że najpierw pójdzie po rozum do głowy, a potem jednak zejdzie na dół i zrobi rundkę po całym ośrodku. Może nawet wyjdzie do ogrodu. A co będzie sobie żałował!

Zupełnie zapomniał, że koszulka z krótkim rękawem nie jest odpowiednia na jesienną aurę. Dlatego gdy tylko otworzył drzwi, momentalnie je zamknął i już miał wbiec schodami na górę, kiedy przed nim ponownie stanęła zjawa.

– Cześć – odezwał się (gdyż wcześniej poszedł po rozum do głowy i teraz nie dał się zaskoczyć).

Nawiązanie konwersacji z kobietą z pewnością rozgoniłoby niedorzeczne przypuszczenia, lecz ta zdawała się go nawet nie zauważać.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – spróbował ponownie.

Zjawa stała przed nim i skupiała wzrok w jakimś punkcie poza Pawłem. Wydawało się, że patrzy jakby przez niego. Odwrócił się i nie zauważając z tyłu zupełnie nic prócz zamkniętych drzwi, wrócił do poprzedniej pozycji i otworzył usta... lecz zjawy już nie było.

– Coś mi się stało – wydukał Paweł i tym razem czym prędzej powędrował na strych. Włosy na rękach wciąż sterczały niepokojąco, a położywszy się do łóżka, znów wstał i upewnił się, czy zamek w drzwiach jest faktycznie przekreślony. Potem zaś, śmiejąc się z samego siebie, zamknął oczy. Postanowił za żadne skarby ich nie otwierać aż do rana, by jakimś trafem nie

ujrzeć zjawy przy jego łóżku.



Joanna kroczyła. Sformułowanie „iść” w tym przypadku zupełnie nie pasowało i Joanna zdawała sobie z tego sprawę. Kroczyła więc, wykonując przy tym zamaszyste ruchy rękoma. Całymi ramionami zataczała nimi półkola, wsłuchując się, czy przypadkiem te nie wydają świstu, zupełnie jak witki i cienkie gałązki na działce u babci przy energicznym machaniu nimi. To była fajna zabawa. Bawiła się tak ze swoim bratem ciotecznym, z którym spędzała wakacje i dzieliła poczucie wolności. Teraz, machając energicznie własnymi witkami, świstu nie słyszała, co wprawiało ją w konsternację, gdyż właśnie na ów świst liczyła. Chciała poczuć się wolna i spokojna, lecz niestety – cały jej wysiłek zdawał się na nic. No, wiadomo, że Maria w tym momencie powiedziałaby jej, że takim zachowaniem chce zagłuszyć strach, a Genowefa kazałaby jej podejść do brzozy czy innej jarzębiny, wziąć ją w obroty i głosić wdzięczność i miłość do kory, liści, gałęzi i innych pączków, których teraz ni widu, ni słychu, bo zima przecież idzie.

Joanna się zatrzymała. Dostała zadyszki i to jeszcze bardziej ją rozzłościło. Splunęła nawet w krzaki z tych emocji i już miała je zidentyfikować, ale darowała sobie czym prędzej, słysząc pogwizdywanie pełne podziwu.

– Całkiem nieźle! – Mężczyzna miał czerwony nos, bynajmniej nie od zimnego powietrza, i trzęsące się dłonie, również nie z tego powodu.

– Co „nieźle”, co „nieźle”? – warknęła pytająco Mała Mi. Znów się nią stała. Chyba z samego rana, gdy tylko otworzyła oczy i dotarło do niej, że po pierwsze musi iść do pracy, po drugie będzie siedziała w swoim gabinecie, a nad nią będzie się przechadzał w tę i w tę Paweł, a po trzecie, że zanim to

wszystko nastąpi, będzie musiała obcować ze swoją rodzicielką, a to już było doprawdy nie do zniesienia. Zwłaszcza teraz! Tak, tak. Teraz. A teraz oznaczało czas, gdy musi przed nią udawać. Że nic nie czuje. Przed nią musi udawać jeszcze bardziej niż przed samą sobą. Jakie to wszystko jest skomplikowane! Joanna, gubiąc się w tych rozważaniach, przebywanie w domu ograniczyła do minimum i oto łapiąc dech przy krzaku, któremu się dostało przez jej niepohamowane emocje, gapiała się na pijanego jegomościa.

– Nieźle plujesz! – oznajmił pełen podziwu, czemu dał wyraz swoją teatralną mimiką.

– Przypominasz mi Gerarda Depardieu. – Chciała zbyć rozmówcę intelektualną zagrywką, ale ten ni stąd, ni zowąd odparował:

– Po czy przed?

– Czym? – chciała doprecyzować Joanna, kryjąc zaskoczenie.

– Obywatelstwem i przeprowadzką – wyjaśnił pijaczynka, drapiąc się trzęsącymi rękoma po brodzie, jakby faktycznie poruszona kwestia niezmiernie go nurtowała.

Joanna wpatrywała się teraz w niego jak wół w malowane, a po chwili odrzekła:

– Zdecydowanie po. Chyba zmiana kraju na ten bardziej wschodni pobudziła jego chęć do używek, więc w tym zakresie podobieństwo jest uderzające.

Chciała kontynuować, lecz rozmówca wszedł jej w słowo z całą stanowczością.

– Sprzeciw! – burknął. – On jest teraz otyły! – Dobór słów doprawdy powalił Joannę na łopatki. Patrzyła na mężczyznę szeroko otwartymi oczami, a chęć ponownego splunięcia w krzaki przybierała na sile z sekundy na sekundę. – Wypraszam więc sobie. Ja przynajmniej codziennie ćwiczę na siłowni. – To wyznanie zupełnie do gościa nie pasowało.

– Chyba podnoszenie butelki do ust. Raz prawą, raz lewą.

Odwróciła się i już miała się oddalić.

– Brak ci kultury osobistej – usłyszała.

Obejrzała się, oniemiała ze zdziwienia. Omiotła pijaczyne wzrokiem od stóp do głów, upewniając się w przekonaniu, że stoi przed nią – należy tu dodać, że ledwie stoi – nadmiernie skacowany jegomość w ubraniu raczej nieznanym takich urządzeń jak pralka. Nie pomyliła się, co to, to nie, więc o co w tym wszystkim chodzi?

– Ja cię skomplementowałem, choć to ty oplułaś roślinność miejską. A ty mnie obrażasz, zamiast porozmawiać jak równy z równym. Przecież nie proszę cię o darowiznę na rzecz zaspokojenia pierwotnej potrzeby pragnienia ani nic z tych rzeczy. A zresztą! – Machnął trzęsącą się ręką, odwrócił się i poszedł, rzucając na odchodne żalosne „żegnaj”.

– Ja pierdołę – wymamrotała Mała Mi, postanawiając, że zastanowi się nad tym wszystkim później. W tej chwili stać ją było tylko na ponowne splunięcie i zamaszyste kroczenie dalej, byle wreszcie zamknąć się we własnym biurze. Na klucz!



– Nie ma mnie! – warknęła, gdy do jej uszu dobiegło pukanie do drzwi. Była już po bezpiecznej, jak jej się wydawało, stronie mocy. I bardzo chciała się tym ponapawać. Nie dana jednak jej była chwila samotności. Nerw zaatakował. Tak momentalnie, jakby sobie wcześniej gdzieś przycupnął nieopodal i wyczekiwał stosownej chwili. Powieka drgnęła, kolana się lekko ugięły.

– Nie ma mnie – powtórzyła kilkakrotnie Joanna, tym razem szeptem. Wstała zza biurka i powłócząc nogami, skierowała się w stronę drzwi. Trzeba było je przecież otworzyć. Trzeba było się przecież uśmiechnąć i zamienić parę słów. Z nim. Otworzyła

więc, usiłując zachować spokój. Jej wzrok powędrował do góry, wszak jej niski wzrost wymagał trenowania mięśni karku przy każdej niemal konwersacji. Matka się nie liczyła. Nawet patrycjusze przewyższali ją o głowę.

Teraz jednak, patrząc nieco powyżej linii horyzontu, nie widziała nic. Choć właściwie widziała: złotą poświatę.

– Co tu robisz? – spytała, patrząc tym razem przed siebie na uśmiechniętą od ucha do ucha Ulkę.

– A Stacha szukam.

Jej radość nie sprawiała radości Małej Mi, zwłaszcza że wizyta dziewczynki była dla niej raczej z tych smutnych. Nie tylko ze względu na pobyt Stacha w szpitalu, ale też dlatego, że kierowniczką z samego rana nie zrobiła nic, by zatroszczyć się o zdrowie swojego woźnego, bądź co bądź przyjaciela, zatelefonować i zapytać o jego stan. Poczucia winy nie lubiła. I to bardzo.

– Chory – burknęła, karcąc się za to w myślach. Rozmawiała w końcu z dzieckiem i jakkolwiek by nie patrzeć, powinna być łagodna jak baranek i cierpliwa jak... Jak kto? Nie знаła ani takich osób, ani zwierząt. Słowa „cierpliwość” nie znosiła tak samo jak „czekanie” czy „kożuch na mleku”.

– Leży sobie w domu? Może ja mu rosół ugotuję? – Ulka wyraźnie się zamyśliła i odwracając się powoli, by odejść, zrobiła minę zbitego psa.

Małej Mi naraz coś przyszło do głowy.

– A wiesz, tam na poddaszu masz koleżankę. Nową. Całkiem nową i niepowtarzalną. – Zachwalała Anastazję jak towar z najwyższej półki, choć wcale nie znała tej wyglądającej na miłą dziewczyny, ale przecież one wszystkie na pierwszy rzut oka wyglądają niewinnie i tak milutko, a potem dopiero dają się we znaki. Na bank będzie wredną córeczką tatusia, która znienawidzi ją, Joannę, gdy tylko ta będzie częściej pojawiać się

w życiu jej ojca.

Stop! Wróć! Co to za brednie z tym ojcem i tym częściej i tym, że pojawiać się w życiu?! Joanna wzdrygnęła się mimowolnie. Jej powieka wciąż nie przestawała latać, a brzuch wydał z siebie coś na kształt zawadiackiego bulgotania. Tak właśnie. Tak się Joannie skojarzyło. Zresztą chyba nie tylko jej, ponieważ Ulka znów się rozpromieniła i strzelając piegami, odparowała:

– Bulgoczesz tak radośnie! – Zachichotała przy tym i wskazała dłonią w górę, w kierunku stryżkowego mieszkanka. – Tam jest koleżanka?

– Aha.

Joanna pokiwała głową, próbując wykrzesać z siebie choć namiastkę radości. Nie miała zamiaru dorównywać siłą tej emocji Ulce, ale postanowiła chociaż spróbować. Raczej słabo to wyszło, grymas przypominający uśmiech pojawił się jednak na jej twarzy i chyba zaniepokoił Ulkę albo nawet przestraszył, bo dziewczynka naraz zaczęła się spieszyć, jakby coś sobie przypominała, a jej twarz – już nie wesoła – wyglądała na zafrasowaną.

– Ale Stachu wyzdrowieje? – spytała po cichu.

– Gwarantuję! – Mała Mi rzucała słowa na wiatr i doskonale o tym wiedziała. Taka właśnie była. Cała ona. – Przecież ktoś tu musi mnie pilnować i temperować mój charakterek – dodała, chcąc rozweselić zazwyczaj pogodną Ulkę.

– No i świetnie – skwitowała ta bez przekonania. Wyglądało, jakby miała wreszcie odejść, ale zawahała się na chwilę i dodała: – Nie widziałaś nic dziwnego?

– Codziennie i notorycznie widuję takie rzeczy – odparowała Mała Mi, przyciskając kciuki do skroni. Zaczynała ją boleć głowa. Był to chyba najbardziej nieznośny ból, ten migrenowy. Na taki się właśnie zapowiadało. – Przecież pracuję w domu wariatów! – dorzuciła tak na wszelki wypadek.

– Czyli wiesz, kto po nocy gubi ubrania? – upewniła się Ulka. Zaczęła skubać skórkę przy paznokciu. Mała Mi jak dotąd nie dostrzegła u dziewczyny takich objawów.

– Ubrania? Nic nie znalazłam.

– Ja mam skarpetkę. Z dziurą. – Pospiesznie wyjęła wymiętą czerwoną część garderoby raczej damskiej i zaprezentowała piętę. Z dziurą. Dużą, po całości.

Joanna uniosła brwi.

– Skąd wiesz, że w nocy? I czy jest tego więcej?

– Od rana aż huczy tu od ploteczek. Ktoś znalazł sweter z dziurą pod pachą, ktoś inny dresy z podziurawioną nogawką.

– Jak dresy, to obstawiam Matyldę, tylko ona tu z zapalem uprawia jogę.

– Ona też znalazła, ale beret.

– Z dziurką?

– Tak, zamiast szypułki. – Ulka wywróciła oczami jak stara małeńka.

– Zamiast czego? – Joanna poczuła, że męczy ją ta rozmowa. I nie było w tym żadnej winy dziewczynki. Każda rozmowa w tej chwili męczyłaby ją nad wyraz i kompletnie.

– No, antenki – roześmiała się Ulka, a Mała Mi wyobraziła sobie beret na głowie staruszki, z którego wystawała antena satelitarna. Tą staruszką z wyobraźni była Alicja.

Splunęłyby teraz chętnie, ot co. Zamiast tego przetarła rękawem czoło i lekko skonfundowana na wspomnienie wczorajszej aplikacji maseczki przeciwzmarszczkowej, skrzywiła się.

– Jednak nic nie wiesz?

Ulka była zawiedziona. Czuła, że ta tajemnicza sprawa jest naprawdę tajemnicza i rozwiązanie jej już postawiła sobie za

cel. Joanna była w tym temacie zielona, a wsparcie ze strony nowej koleżanki mogłoby się przydać, dlatego pomachała znudzonej Małej Mi i pobiegła na poddasze.



Anastazja przywitała piegowatą Ulkę z entuzjazmem. Polubiły się oczywiście od pierwszego wejrzenia. Ulka niezwłocznie wtajemniczyła ją w sytuację z dziwnymi znaleziskami.

– W nocy? – dopytał Paweł. Wyglądał na zdezorientowanego, stał przy szafie i wkładał coś do niej, a potem z niej wyjmował, by znowu włożyć te same spodnie. Tuż obok leżały nierozpakowane walizki, a w całym mieszkanku panował chaos.

– No tak – tłumaczyła dalej Ulka.

– W nocy to ja zjawę widziałem. Czy tu straszy? – dopytywał Paweł, choć wydawał się zupełnie niezainteresowany szczebiotem młodocianych. Mówił jakby w próżnię, nie oczekując odpowiedzi.

Dziewczynki spojrzały po sobie w milczeniu i zachichotały.

– Ma majaki – oznajmiła Anastazja i już chciała pokręcić palcem wskazującym przy skroni, ale szybko się zreflektowała. W końcu mówiła o własnym tatulku. Tak się nie robi. Choć chęć była tak silna, że zaczęła nawet unosić dłoń, ostatecznie zrezygnowała. Ulka jednak dostrzegła zamiar i zaczęła się śmiać jeszcze głośniej.

– Może zapytasz Joannę? – poradziła. – Ona coś wie, tylko nic nie chce mówić. Była jakaś taka pogmatwana dziś. Zupełnie tak jak ty – dodała, patrząc na odwróconego tyłem do nich Pawła, wciąż gapiącego się na półki w szafie, jakby umieszczenie na nich ubrań wiązało się z jakąś mało zrozumiałą filozofią.

Paweł nie zareagował. Nawet nie drgnął, choć wydawało się, że

słowa wypowiedziane przez Ulkę dotarły do jego uszu.

– Tata... – zaczęła Anastazja.

– Tak, tak – odezwał się wreszcie, biorąc się pod boki. – Trzeba wreszcie to wszystko tu poukładać.

– Tak, tak – przedrzeźniła go córka. – Będziemy teraz robić wszystko, by nie wychodzić z tego mieszkania na zewnątrz.

– No właśnie – zgodził się Paweł, lecz naraz się obruszył: – Co ty mówisz? A co, Ula, mówiłaś? Że Joanna była zdenerwowana? To ciekawe.

– Nawet się z nią dziś nie przywitałeś – zaczęła Anastazja, ale urwała, zanim na dobre się rozkręciła, ponieważ została spiorunowana odpowiednim rodzajem spojrzenia, które mówiło samo za siebie.

Paweł westchnął. Wiedział, że próbuje uniknąć tego, co w zasadzie było nieuniknione, a wręcz pożądane. Po to przecież przyjechał i po to miał rozpakować swoje walizki. Westchnął ponownie, uderzył wyprostowanymi rękoma uda, jakby stawał na baczność, i kiwnął głową. Wszystkie te czynności wykonywał niczym robot, a z każdym jego ruchem oczy dziewcząt stawały się coraz większe ze zdumienia.

– No to idę – odrzekł, wyszedł z mieszkania i zatrzaskał drzwi.

– Co mu jest? – zapytała Ulka.

– Zakochany – odpowiedziała Anastazja tak zwyczajnie, a przecież mówiła o sprawach zupełnie nadzwyczajnych.

– No co ty! – nie dowierzała druga z dziewczynek. – W kim?

– No jak to w kim? Zastanów się!

– Czekał, czekał... – Ulka zagryzła wargę, a potem uniosła palec wskazujący, a jej piegi błysnęły w promieniach słońca wpadającego przez okno.



Paweł tymczasem schodził po schodach. Doskonale pamiętał, gdzie mieścił się gabinet dyrektorki domu spokojnej starości „Patrycja”. Bywał tu wczesnym latem, wtedy gdy zmarła jego babka Alicja, a Mała Mi zgubiła jej prochy. No, może nie zgubiła, zostały skradzione przez dwie pozostałe babcie Pawła i prababki Anastazji, które to, chcąc spełnić pośmiertnie ostatnią wolę swojej przyjaciółki, próbowały wyruszyć w podróż z prochami na grób Elvisa. Na szczęście nie uszły za daleko i zawczasu sobie uzmysłowiły, o którego Elvisa chodzi.

Gdy zszedł na parter i mijał stojącą na środku korytarza szafę, zauważył, że leży przy niej coś białego. Schylił się i podniósł lekki, zwiewny materiał. Znów poczuł, że włosy stają mu dęba, na szczęście tylko na rękach; no, może na nogach też. Postanowił nie sprawdzać teraz tego, czy wszystkie kończyny poddały się dreszczykowi grozy. Trzymał w rękach koszulę nocną, którą – mógł się założyć – widział w nocy na zjawie. A już miał nadzieję, że śnił, nawet zdażył sam siebie o tym przekonać! Nerwowym ruchem zmiażdżył koszulę, ale szybko rozłożył ją ponownie, zauważając na rękawie dziurę. Wpatrywał się w rzecz ze zdumieniem.

– Lubisz babskie fatalaszki? – usłyszał znajomy głos.

Za późno na chowanie koszuli za plecami. Za późno na cokolwiek. Jęknął, jakby faktycznie został zdemaskowany, po czym skarcił się w myślach za taką reakcję. Już miał powiedzieć coś do rzeczy, ale zamiast tego palnął:

– Widziałem w nocy zjawę.

Joanna uniosła brwi i nie odezwała się słowem, co wprawilo Pawła w jeszcze większą konsternację. Ma ładne oczy, pomyślał i gdyby miał w tej chwili swój notesik z wewnętrznej kieszeni kurtki, z pewnością napisałby coś na kształt: „Coraz szerzej, tak bardzo zdumione, niczym wielkie jeziora, zamaszyste żywioły,

mówią, że są zwierciadłem duszy jednej lub wszystkich, tych zebranych w jedności, przeszłych, a także przyszłych – twoje oczy są wszystkim”.

– To jej koszula – dodał po chwili namysłu.

– Widziałeś gołą zjawę? – spytała wreszcie Mała Mi.

– Nie, była w koszuli.

– Rozebrałaś ją? – Mała Mi nie dawała za wygraną, widząc, jak Paweł miętosi w dłoniach nocną część damskiej garderoby.

– No Asiu! Ona ma dziurę – uśmiechnął się, zupełnie nie zdając sobie sprawy z niedorzeczności prowadzonej konwersacji.

– Zjawa ma dziurę? – drażyła Joanna, bo niewiele rozumiała.

– Nie, koszula – odparł Paweł i wysunął przez dziurę na ramieniu palce, chcąc udowodnić, że jest właśnie tak, jak mówi.

– Aha. – Rozmówczyni odwróciła się i poszła do swojego gabinetu.

– Co mam z nią robić?! – krzyknął Paweł, zupełnie nie chcąc, by Joanna odchodziła.

– Z dziurą?

– No tak.

– Zaszyj – rzuciła Mała Mi i zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ V

We're lost in a cloud

With too much rain

Elvis Presley, *If I Can Dream*

Szycie od dawna sprawiało mu radość. Gdyby ktoś zapytał go, od kiedy, odpowiedziałby zwyczajnie: „od wtedy”. Owe „wtedy” było z jednej strony odległe, z drugiej zaś całkiem bliskie, jednak rozpatrywane w różnych płaszczyznach. Pierwszej – czasowej, drugiej – duchowej. Ta duchowa odgrywała znacznie większą rolę w jego życiu, toteż jak Joanna powiedziała, tak zrobił. Nie zaszył co prawda, ale załatał, ponieważ nie mógł się powstrzymać przed udrapowaniem skrawka pasującego materiału w kształt różyczki i doczepienia go w miejscu nieszczęsnej, a zarazem tajemniczej dziury na ramieniu.

Gdy ktoś zapukał do drzwi, Paweł stał i patrzył z zadowoloną miną na koszulę nocną, wiszącą na wieszaku zahaczonym o otwarte drzwi do szafy.

– Zupełnie jak ja – palnęła Maria z progu, nie doczekawszy się reakcji na swoje pukanie. Drzwi nie były zamknięte na zamek,

więc weszła do środka. – Drzwi się zamyka. Mało tu świrów?! – wykrzyknęła, wskazując kciukiem za siebie.

– Cześć, Marysiu – powiedział Paweł z lekką nieśmiałością.

– Możesz mówić do mnie „babciu” albo „ciociu” – oznajmiła i podeszła do koszuli nocnej. – Wygląda jak z jakiegoś ducha zdarta – wymamrotała, przyglądając się jej uważnie.

– No bo tak chyba w rzeczy samej jest – wyznał Paweł konspiracyjnie.

– Aha, a duch ma na imię Małgośka – parsknęła Maria. – A nie chcesz dodać kwiatka po drugiej stronie?

– Należę do wyznawców asymetrii w modzie – powiedział i zaczerwienił się po czubek głowy.

Maria spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale pokiwała głową, trzymając język za zębami.

– Dlaczego sądzisz, że zjawa ma na imię Małgośka? – spytał, nagle olśniony jej wcześniejszym wyznaniem.

– Bo to jej koszula jest – odparła, rozglądając się po pokoju. – Ładnie tu. Gdzie Nastka?

– Z Ulką, poszły się przejść po okolicy. – Spojrzał na zegarek. – Nie wiem, czy nie za długo ich nie ma.

– O której wyszły?

– Dwie godziny temu.

– To jak z Ulką dwie godziny temu, to nie za długo. Możesz się do północy nie martwić, no a później to w razie czego możesz zacząć.

– Co ty mówisz? – Mina Pawła zdradzała niepokój, a jego ruchy wpadanie w głęboki przerębel paniki.

– Spokojnie, ja akurat zawsze wiem, co mówię – odpowiedziała Maria, lecz wcale go tym nie uspokoiła. – No... chyba że nie wiem, ale to się zdarza bardzo rzadko, zazwyczaj po pijaku. –

Roześmiała się, widząc postępujące zagubienie na twarzy Pawła.
– Ulka to dobre dziecko, nic Nastazji nie grozi, zaufaj mi. –
Postanowiła wreszcie ostatecznie uspokoić wnuka, a potem
skinęła na koszulę nocną. – Ty tak na poważnie?

– Uhu – huknął niczym sowa i nawet jakoś tak pokręcił głową
na podobieństwo tego dostojnego ptaka. – Lubię i wydaje mi się,
że tylko to potrafię – wyznał szczerze z nutką tęsknoty, jakby się
spodziewał, że już nigdy w życiu nie weźmie igły i krawieckich
nożyc do ręki.

– To się świetnie składa, bo twoja zjawa pogubiła jakiś tuzin
podziurawionych ciuchów.

– Małgośka, tak?

– Tak, tak.

Maria nie spieszyła z wyjaśnieniami, o jaką Małgośkę chodzi.
Przeszła się do okna, wyjrzała przez nie, lecz ponura
listopadowa aura nie zachęciła jej do dłuższego napawania się
miejskim krajobrazem.

– Możesz mi powiedzieć, kim jest ta Małgośka? – Paweł nie
wytrzymał, nawet złożył dłonie jak do modlitwy, zupełnie tak
samo, jak robią małe dzieci, gdy bardzo, ale to bardzo o coś
proszą swoich rodziców.

Maria uśmiechnęła się na ten widok. Pomyślała o Alicji;
byłaby teraz taka szczęśliwa!

– Czemu nie zrobiłeś tego wcześniej? – wyrwało jej się pytanie,
którego na dobrą sprawę wcale nie chciała zadawać na głos.
Jednak stało się. Maria spojrzała na wnuka swojej najlepszej
przyjaciółki z zawstyżeniem i machnęła ręką, odganiając
natrętnie zawieszony w próżni pytanie, które było nie na
miejscu.

– Sam nie wiem – szczerze wyznał Paweł, podczas gdy Maria
już szykowała się do zmiany tematu, sądząc, że ten poruszony
przez nieuwagę jest zdecydowanie nie na tu i nie na teraz.

– Małgośka, powiadasz... – zaczęła, ale Paweł jej przerwał.

– To ty powiadasz, ja mówię, że to zjawa.

– Jak zwał, tak zwał. – Znów machnęła ręką. – W sumie masz rację. To zjawa. – Nagle zmieniła front, bo coś jej przyszło do głowy. – Jak ją spotkasz, to oddając kieckę – wskazała ruchem głowy na koszulę nocną – pokaż jej lusterko.

– Co takiego? – Paweł nic nie rozumiał.

– Lusterko! – oznajmiła i uniosła palec wskazujący. – Weź ze sobą lusterko! – To powiedziawszy, szybko podeszła do drzwi i wyszła z mieszkania.

Paweł nie zareagował, bo nie zdążył. Stał na środku pokoju z otwartą buzią, drapiąc się niezgrabnie po głowie.



Maria wyszła z domu spokojnej starości, zastanawiając się nad nazwą tego przybytku. Jakoś nigdy dotąd nie zauważyła, by w tym budynku było spokojnie. A zatem i starość spokojna tu być nie mogła i nie była, jeśli sądzić po zjawach chodzących po korytarzach i pozbywających się dziurawych ubrań.

– No i jak? – spytała Gienia krążąca na hulajnodze dookoła niej.

– Dość interesująco – odparowała Maria i ruszyła przed siebie.

– A mianowicie? – Gienia nie odstępowała i nie ustępowała.

– Powiedz mi, dlaczego ty ze mną nie polazłaś?

– Ach, te schody, reumatyzm...

– Gieńka, łzesz jak najgorszy łobuz! – krzyknęła Maria. – Czy ty wciąż się boisz Małej Mi? Toć to nasza przyszła wnukowa!

– Kto? – Genowefa nie nadażala. Jak zwykle zresztą.

Druga z kobiet wywróciła oczami i złapała się pod boki.

– Synowa, wnukowa... jarzysz?

– Nie bardzo, ale nie musisz się od razu irytować. – Genowefa nie była dziś w najlepszym humorze, zresztą obawiała się, że Maria również za chwilę nie będzie, gdy tylko zada to właściwe pytanie, przed którym się broniła, wygadując głupoty.

– Ja się wcale nie irytuję. – Przyjaciółka poprawiła beret i ziewnęła teatralnie, zdradzając swoje znużenie i zaniepokojenie zarazem. – No dobra, mów wreszcie – nie wytrzymała.

– Nie jest dobrze, Mryśka – Użycie zdrobnienia nie wróżyło nic dobrego, Maria wiedziała o tym doskonale. W zasadzie to poszła do Pawła nie tyle po to, by sprawdzić, jak mu idzie aklimatyzacja w nowym miejscu, ile by pogadać o byle czym. To byle co zagłuszało niepokój o Stacha. Genowefa w tym czasie miała zadzwonić do lekarza, bo jechać do szpitala Marysia zdecydowałaby się, tylko usłyszawszy dobre nowiny, o które sama bała się zapytać nawet przez telefon.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć – wyszeptała, czując przeraźliwe zimno.

– Chcesz czy nie chcesz, trzymaj krowę – oznajmiła Genowefa, wkładając rękę do kieszeni zimowej kurtki.

Marysia zmierzyła ją od stóp do głów, zastanawiając się, czy Gienia przypadkiem nie zamierza wysłać zgłoszenia do programu *Rolnik szuka żony*. Krytycznym okiem wpatrywała się w przyjaciółkę, a ta wyjęła z kieszeni kamień okraszony łaciatym stworem, który w rzeczy samej przypominał zwierzę zagrodowe.

– Aha – burknęła Maria, przyjmując prezent. – Jak niby to... zwierzę miałoby mnie uspokoić?

– Nie ma cię uspokajać, ma rozbawić. Zobacz, jaki jej kolczyk w uchu narysowałam. Jakbyś wykrzesła z siebie choć odrobinę zainteresowania, dostrzegłabyś opaskę pirata na jej oku. –

Genowefa zrobiła nonszalancką minę, choć z łatwością jej to nie przychodziło.

– Mydlisz mi oczy, co? – Druga z kobiet schowała krowę do kieszeni i objęła przyjaciółkę ramieniem. Doceniała jej starania. Tak było zawsze, nawet wtedy, gdy się nienawidziły. A były takie czasy. Dawno temu i prawda, cała prawda.

– No tak, Mryśka, ale poradzimy sobie. Stachu też sobie doskonale poradzi.

– Kolejny wylew? – spytała po głębokim zaczerpnięciu chłodnego powietrza.

– Skorupiak – odparła szybko Gienia, jakby zamierzała jednym słowem odciąć się od tematu i mieć to już za sobą. Nie mówiła więcej nic, czekając na reakcję Marysi. Bo przecież jakaś musiała nastąpić. Staruszka jednak zachowywała pokerową twarz, nawet nie drgnęła, żeby nadmierną gestykulacją zagłuszyć niepokój. Nic, jakby nie usłyszała albo nie zrozumiała. Gienia już otworzyła usta, ale Maria powstrzymała ją, unosząc dłoń.

– Nie jest źle – wymamrotała bardzo powoli Genowefa, nie zważając na „znak stopu”. – Dziś operacja; guzek mały, wytną i do domu.

Marysia westchnęła, wzięła od niej hulajnogę i... po prostu pognała w siną dal. Oczywiście sformułowanie „pognała” było przesadzone, lecz nie dla Gieni, która po pierwsze nigdy nie widziała Marysi na jakimkolwiek spręcie kołowym, a po drugie nie była w stanie ze schorowaną nogą gonić nawet hulajnogowego truchtu Marysi.

– Ożeż w mordę! – krzyknęła.

– A idź się przytul do lipy! – warknęła Maria i zniknęła za rogiem budynku.

Genowefa nie omieszkała skorzystać z rady. Nawet lipę znalazła i opierając na jej pniu koślawe palce, przytknęła do

drzewa czoło i przymknęła powieki. Tak bardzo chciałyby, by zapanował spokój. Taki dookoła.

– Uważaj! – usłyszała z tyłu znajomy głos.

Hulajnoga wróciła. Maria na szczęście również.

– Na co?

– Na pobożne życzenia, które wypowiedasz.

– A ty skąd wiesz, o czym ja myślę? – pytanie Gieni było doprawdy pozbawione sensu.

Maria uniosła brwi, uznając je za retoryczne. Po chwili jednak się zreflektowała i odparła:

– Nie wytrzymasz przecież bez przygód.

– Ja nie wytrzymam? Wariatka!

– Gdy ostatnio ktoś tak do mnie powiedział, to kazałaś mi go, pijanego golasa, włożyć do starej wanny stojącej w ogrodzie. Sama zresztą go rozebrałaś.

– Ile razy będziemy o tym samym...?

– Nie wiem, Gieniuś, nie wiem. Całe życie chyba. A jeszcze nam go trochę zostało. I Stachowi też. Zajmiemy się nim, wydobrzeje. Jeszcze może... – Marysia zawiesiła głos, bo nieco się zagalopowała.

Genowefa oderwała się od lipy i spojrzała na przyjaciółkę, a raczej na jej wielce zaczerwienione oblicze.

– A pewnie, Mryśka, czemu nie? Mam nadzieję, że chociaż wy nie będziecie jak Paweł z Małą Mi. Żuraw i czapla normalnie! – wykrzyknęła, a Maria zalała się łzami. – No masz, babo, placek!

– Chodź... – szlochała Marysia.

– Dokąd? – Gienia zaniepokoiła się nie na żarty.

– Do Smaków Warszawy na jakiś placek, babo!



Listopadowa Warszawa tęskniła. Wietrznym wieczorem tarmosiła głęboko schowane struny i wydobywała nostalgiczne humory chyba u wszystkich mieszkańców „Patrycji”. Dotyczyło to również pracowników, zwłaszcza tych na wysokim stanowisku. Ściślej mówiąc, Joanny. Po skończonym dniu pracy pognęła do szpitala, uświadamiając sobie, że choroba dotknęła Stacha w odpowiednim dla niej momencie. To oczywiście bardzo przykre, że w ogóle mówimy tu o chorobie, i to jeszcze Stacha, jej Stacha! No, ale skoro już się stało, to... No właśnie. To stało się, i już. I można wykorzystać ją jako alibi.

Wchodząc do budynku, niby odnowionego, lecz nadal pozostawiającego wiele do życzenia, Joanna analizowała. Rozkładała na czynniki pierwsze słowo „alibi”, które natarczywie dawało o sobie znać. Świadomość, że się chowa za operacją Stacha, by tylko uniknąć konfrontacji z Pawłem, zaczynała ciążyć, toteż trzeba było się ratować i skupić na mniej inwazyjnym dla ego znaczeniu tego wyrazu. Fajnie brzmiał, gdy się je wypowiadało szeptem.

– Alibi – powiedziała Joanna, nie zważając, że wsiadła do szpitalnej windy z doktorem Pralinką. – A-liiii-biiii, aaaaa-li-bi – zmieniała długość wypowiedzianych samogłosek, robiąc przy tym wielkie oczy i rozszerzając tak samo usta.

– Nigdy się nie zastanawiałem nad brzmieniem tego słowa – przyznał się doktor, a gdy drzwi windy się otworzyły na właściwym piętrze, dodał: – Nie wysiada pani? Stachu leży tu, na prawo. – Nie przestawał się uśmiechać, zwłaszcza widząc twarz Małej Mi, na której malowały się zmieszanie oraz dezorientacja pod przewodnictwem purpury. Joanna już chciała rzucić ripostę, której treścią byłoby coś o podsłuchiowaniu i takie tam, ale w porę przyszło jej na myśl, że taką uwagę skompromitowałyby się jeszcze bardziej. Wiedziała, że najlepszym wyjściem z tej sytuacji byłoby wykrzesanie z siebie

uśmiechu i oddalenie się do wskazanej przez doktora sali, ale szkopał w tym, że usta nie chciały się rozciągnąć w żadnym grymasie, nie mówiąc już o czymś tak mało znanym Joannie, jak uśmiech.

– Niech się pani nie martwi, ze Stachem jest naprawę dobrze – oznajmił Pralinka, poklepał Joannę po ramieniu, a ona pokiwała tylko głową, wciąż czując wypieki na twarzy, i podreptała z windy. Gdy drzwi się za nią zamknęły, zaczerpnęła haust powietrza i uświadomiła sobie, że przez dłuższy czas wstrzymywała oddech, jakby kamuflując się przed drapieżnikiem, którym przecież nie był wcale Pralinka, tylko ona sama!

A zatem uciekała. Wiedziała o tym, ale nie miała zielonego pojęcia, co z tą wiedzą miałyby zrobić. Wypierać? Jak dotąd właściwie to była jedyna możliwość. Zapomnieć, zbaczając myślami na zupełnie inne tory, nie powracając już do tych poprzednich – bo i po co? Tak było łatwo; choć mało przyjemnie, ale za to znajomo. W myśl rodzimego powiedzonka: „ciasne, ale własne”. Uznawała, że dotyczy ono również strefy komfortu, której poszerzeniem, a już tym bardziej opuszczeniem, nie zawracała sobie głowy. W zasadzie dziś po raz pierwszy zastanowiła się, co prócz ucieczki mogłaby zrobić. Pojawienie się tego pytania mocno nią wstrząsnęło. Po co mi to? Ego rozpoczęło dialog. Na szczęście odezwało się, gdy do sali z numerem trzy, tuż po prawej od windy, otworzyły się drzwi i wyszła z nich pielęgniarzka, zapraszając Joannę do środka. Stachu łypał na nią i jej pomachał. Mała Mi czmychnęła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– A gdzie towarzysze? – Rozejrzała się po pomieszczeniu, w którym znajdowały się dwa wolne łóżka. – Dali dyla? Czy z jakichś niewyjaśnionych powodów traktują cię tu po królewsku?

– Czy ty nie jesteś przypadkiem jakąś krewną Marysi? – Broda Stacha się uśmiechnęła. To znaczy uniosła się nieco, a wraz

z nią wąsy skrywające cienkie kreski warg.

– O czym ty do mnie rozmawiasz? – Mała Mi skubała skórki prawego kciuka, lewą rękę chowając do kieszeni, w której znajdowała się kamienna ważka.

– No, Asiu, zadziwiające podobieństwo – odparował Stachu, lekko pokaszując.

– A ja myślałam, że raczej do Gieni. – Joanna wyciągnęła z kieszeni dłoń i pokazała mu kamień, a potem położyła go na jego szafce nocnej. – Tobie się teraz bardziej przyda – powiedziała łagodniej. – No dobra, nie przyszedłam tu na pogaduszki o rodzinnych koligacjach ani na partyjkę w tysiąca. – W tym momencie Joanna pomyślała, że w sumie to oddanie się beczynności hazardowej, nawet z Marią i Gienią, mogłoby stanowić miłą odmianę, ale szybko udeptała tę myśl, jak zwykle zresztą. – Przyszedłam poprawić trochę kazań, ale chyba na nie też nie mam ochoty.

– Uff! – Stachu machnął w kierunku krzesła stojącego obok łóżka.

– Nie, nie, ja nie na długo. – Joanna podeszła do okna. – Krótko mówiąc, jeśli czegoś będziesz potrzebować, dzwoń. Wracaj do zdrowia, a potem do pracy. Muszę mieć... – zawahała się. – Muszę mieć kogoś swojego w tej robocie – dokończyła, trochę się wstydząc własnych słów.

Stachu westchnął.

– Masz tam samych swoich, tylko nie chcesz tego dostrzec – zauważył łagodnie.

– Tak, tak, a najgorszym moim problemem jestem ja sama. – Joanna parsknęła, bo spodziewała się zupełnie innej odpowiedzi.

– Cieszę się, że jesteś tego świadoma – powiedział Stachu dość odważnie.

– A ja się cieszę, że to sobie wyjaśniliśmy – odparła Mała Mi,

podeszła do stolika i wyjęła z reklamówki pomarańcze i drożdżówkę z makiem. – Nie wiem, czy możesz, ale wiem, że lubisz – rzuciła już tak jakoś spokojnie, bez buntu i pretensji.

– Fakt, lubię – ucieszył się Stachu. – Nawet jak nie pozwolą, to zjem!

Uśmiechnęła się i ona. Pierwszy raz tego dnia. I poczuła, że chciałaby, żeby ten pierwszy raz nie był ostatnim.

Szybko pożegnała to pobożne życzenie, które wybuchło na chwilę, jakby nie miało zamiaru wiecznie trwać.



Wieczne i stałe wieczorową porą było gędzenie rodzicielki, która na dziś przygotowała szczególny repertuar.

– Jaki on jest? – spytała, stając w przejściu w przedpokoju, opierając się rękoma o framugę i blokując przejście do dalszej części mieszkania, w jakąkolwiek jego część. Mała Mi westchnęła, zdjęła buty i kurtkę, odłożyła czapkę na półkę i dopiero teraz zastanowiła się nad pytaniem. Matka stała w wyczekiwaniu i nienaturalnej pozie, która najwyraźniej jej nie utrudniała życia. Joanna zerknęła na nią i zmarszczyła brwi. Dziwnie wygięte ramiona i kurczowo trzymające się framugi dłonie kazały sądzić, że im dłużej córka będzie zwlekać z odpowiedzią, tym większe prawdopodobieństwo uniknięcia wdawania się w nikomu niepotrzebną konwersację.

Teatralnie zbliżyła twarz do lustra i wgapiała się w swój nos, usta, robiła miny, jakby coś jej wpadło do oka, jednym słowem grała na czas. Zerkała co rusz na matkę, a ta niestrudzenie trwała w oczekiwaniu.

– No dobra, kto? – Mała Mi poległa. Usiadła z rezygnacją na szafce na buty i westchnęła.

– A już myślałam, że straciłaś głos. Jak to: kto? Ten wnuk cały tych dwóch wariatek – wypaliła matka.

– Skąd o nim wiesz? – rzuciła bez namysłu Joanna. Źle zaczęła.

– Skąd o nim wiem? Aha, czyli coś jest na rzeczy.

– Nie o to mi chodzi – zaczęły się tłumaczenia. – Skąd wiesz... no...

– No właśnie. Słów ci brakuje, moje dziecko. Myślisz, że twoja matka to taka niedomyślna.

– No, w zasadzie to jestem tego pewna – wydukała Joanna, widząc, że rodzicielka wpadła w kolejny słowotok.

– Zresztą, gdyby nawet matczyna intuicja zawodziła, to mam koleżanki, wiesz. Nie to co ty, moja droga. Sama jak palec. No dobra, więc?

– Czarna Wanda, rozumiem – odrzekła Joanna i aż chciała się złapać za głowę, ale ostatecznie tego nie zrobiła.

– Czekam na odpowiedź. Chyba mam prawo wiedzieć, jaki jest chłopak mojej córki?!

No, teraz to przesadziła, oburzyła się w myślach Joanna, wywracając oczami i zapominając nieopatrznie, że takie zachowanie zawsze wytrącało matkę z równowagi. W takiej sytuacji najlepszym wyjściem było... wyjście z domu. Kobieta spojrzała na zegarek. Przez okno, nawet gdyby miała do niego dostęp, nie zamierzała patrzeć. Jeszcze by się rozmyśliła! A przecież działać trzeba było szybko, bo matka mogła się rozkręcić nie na żarty. Już teraz coś tam mówiła o poszanowaniu starszych i najbliższych zarazem członków rodziny, na domiar złego jedynych.

Joanna chwyciła telefon, chcąc zasymulować bardzo, ale to bardzo ważną rozmowę, z tych niecierpiących zwłoki – czyli dzwoni Stachu, by powiedzieć, że podopieczna Alicja znów uciekła i trzeba wyruszyć na poszukiwania – ale telefon

faktycznie zaczął dzwonić, a na wyświetlaczu w rzeczy samej widniało imię „Stach”. Joanna wzdygnęła się, uświadamiając sobie, że po pierwsze Stachu jest w szpitalu, a po drugie Alicja... nie żyje.

– Czy tobie się pogorszyło? – rzuciła do słuchawki, wsuwając nogi w botki i chwytając wolną ręką czapkę. – Albo nie, nie mów mi takich rzeczy. – Szybko zmieniła zdanie. Zerkając na matkę, zauważyła, że ta wreszcie odpuściła, ale Joanna doskonale wiedziała, że jeśli teraz nie wyjdzie, to w domu rozpęta się awantura.

– No to nie powiem – odezwał się Stachu.

– No dobra, powiedz – wydukała Joanna, wreszcie decydując się na rozmowę.

– No to mówię – westchnął Stachu.

– Źle się czujesz.

– Nie. – Woźny brzmiał dosyć dobrze, był spokojny i opanowany.

– No to o co chodzi? Przez chwilę wydawało mi się, że powiesz, że Alicja zniknęła... – Joanna zaśmiała się nieco histerycznie, próbując wziąć się w garść.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale... – Staszek ponowił próbę wysłowienia się, lecz Joanna, która zdążyła wyjść z mieszkania i zamknąć za sobą drzwi, rzuciła:

– Wiedziałam, że coś się stało; mów wreszcie – zażądała.

– Ale... – Mężczyzna nie bardzo wiedział, jaką obrać taktykę. Czy zacząć trajkotać jak matka Joanny, by nie dopuścić jej do słowa, czy dozować informacje, robiąc po każdym słowie pauzę, by upewnić się, że jego wypowiedź nie zostanie przerwana.

Joanna najwyraźniej straciła zapał do rozmowy, bo nagle przestała się odzywać. Słysząc tylko sapanie, jakby zbiegała po schodach.

– Ale... – podjął Stachu. – Maria mi mówiła, że w „Patrycji” straszy. – Zamilkł, jakby ten temat nie wymagał ani rozwinięcia, ani zakończenia. Usłyszał w słuchawce trzaśnięcie drzwi. – Jesteś tam?

Czyżby spodziewał się, że Joanna wyszła z tej rozmowy, trzaskając drzwiami?

– Jestem... Znaczy nie ma mnie, ale nie ma mnie razem z moim telefonem – spróbowała wyjaśnić, gubiąc się w wypowiedzi.

– Czy coś wiesz o duchach i zjawach, czy Mryśka zbzikowała do reszty? – roześmiał się Stachu.

– A czy jedno musi wykluczać drugie? – Joanna też się rozpogodziła, przynajmniej do takiego wniosku doszedł jej rozmówca.

– Czyli Mryśka zbzikowała, ale duchy też się pojawiły.

– Tak, i to pod twoją nieobecność – pożałowała się dyrektorka ośrodka, jakby faktycznie miała mu za złe, że doprowadził do tak niecodziennej sytuacji.

– A gdyby tak ukazać to w innym świetle?

– Jakim?

– Że to się wydarzyło za twoich rządów w „Patrycji”? – Stachu igrał z ogniem i doskonale o tym wiedział.

– Oho ho! – odezwała się Joanna, naśladując Świętego Mikołaja; wszak Gwiazdka była coraz bliżej.

– Aha. A powiesz mi coś więcej? Bo Maria najwyraźniej miała zamiar mnie tylko zaciekawić i przerywając w najlepszym momencie, poszła do domu.

– Cała ona! Jakbyś jej nie znał – podsumowała Mała Mi. – A tak w ogóle, to dobrze się czujesz? – zreflektowała się, postanawiając, że tym razem będzie przykładną szefową, i koleżanką również.

– Miło, że pytasz. – Czy Stachu miał zamiar ją zawstydzić, czy odpowiedział tak z grzeczności, czy faktycznie po prostu było mu miło? Maria z pewnością nie zapytała o to wprost, by nie myśleć o problemach. – Po skorupiaku ani śladu, nawet chemii nie dadzą. Niebawem wychodzę. – Brzmiał nieźle. Joanna chwyciła się tego brzmienia i sensu wypowiedzi, oddychając z ulgą.

– To właśnie chciałam usłyszeć. A zjawia... no cóż, ukazała się naszemu wnukowi, zgubiła parę rzeczy, w których najpierw narobiła sporo dziur, i tyle w temacie.

– Naszemu wnukowi, mówisz... – Stachu położył nacisk na słowo „naszemu” i spróbował powstrzymać śmiech.

– Dajże ty mi spokój – burknęła Joanna, po raz setny tego dnia obiecując sobie, że będzie bardziej się pilnować.

– No dobrze... Nasz wnuk... – zaczął, a Joannie wydało się, że ponownie usłyszała wyraźny nacisk na słówko „nasz” – ... właśnie wybiera się na polowanie na zjawę.

– Aha – burknęła Joanna.

I w tym momencie Stach zarejestrował przyspieszony oddech rozmówczyni; częstotliwość odgłosów stawianych podszew na delikatnym kwadratowym obcasiku botków wyraźnie się zwiększyła.

– To pa – powiedziała i się rozłączyła.

Owszem, biegła, lecz sama nie wiedziała po co. Cel tego truchtu, bo sprint po trzech minutach zdecydowanie właśnie w trucht przeszedł, był jej doskonale znany. Praca-dom to stała trasa. Wcześniej był jeszcze plac zabaw, z reguły właśnie w nocy, ale te czasy minęły bezpowrotnie wraz ze śmiercią babki wnuka. Jednak uzasadnienie biegu, jak się okazało, z przeszkodami natury emocjonalnej, nie było takie oczywiste. Gdy stanęła przed ponurym domem spokojnej starości, zadała sobie samej pytanie na głos, dla lepszego posłuchu i szybszego

znalezienia odpowiedzi:

– Po co tu przyszedłam?

Pytanie zabrzmiało dziwnie i obco. Zupełnie jakby wypowiadała je inna osoba, jakaś całkiem nieznajoma, a Joanna, będąc jego odbiorcą, musiała udzielić odpowiedzi. Zupełnie jak na biologii w liceum! Nie, to się nie dzieje naprawdę. Joanna wzdrygnęła się ni to na wspomnienie biologicy o fryzurze i makijażu Cruelli de Mon, ni to z innych powodów, i szybko otworzyła drzwi, by skryć się w ciemnych zakamarkach „Patrycji”.



Przez chwilę stała, przysłuchując się ciszy. Nawet postarała się po cichu zamknąć za sobą drzwi. Nie zdarzało jej się to zazwyczaj i nawet kiedy wpadała do swojej pracy w nocy, bynajmniej nie zachowywała regulaminowej ciszy. To inni mieli jej przestrzegać, ona nie. Teraz, gdy skąpane w braku dźwięków i mroku wewnątrz domu starców zdawało się trwać w jakimś dziwnym bezruchu, znieruchomiła też i ona. Gdy zrobiła krok, zauważyła, jak melodyjnie zatrzeszczała podłoga. Wcześniej nie zawracała sobie takimi pierdołami głowy. Teraz wyczuła pewną melodię, coś w rodzaju ballady Elvisa, choć nie mogła za nic w świecie powiedzieć, skąd takie porównanie.

Wyglądało na to, że cały dom jest pogrążony w nudnym śnie. Joanna westchnęła i już miała opuścić budynek, ale z góry dobiegło szuranie. To normalne, przecież tu mieszkają ludzie, przeszło jej przez myśl, ale hasło „zjawa”, powtarzane kilka razy w ciągu minionego dnia, przyczyniło się do wystąpienia potu pod pachami, na czole i wzdłuż kręgosłupa. Dodatkowo ciarki przeszły jej po plecach i wbijały się teraz w warstwę ochronną spodni oraz swetra.

– Jeszcze tego mi brakowało – wyszeptała i powolutku podeszła do schodów.



Tymczasem Paweł siedział za donicą. Nic lepszego nie przyszło mu do głowy. I choć Nastazja z Ulką, która tej nocy została na pierwsze nocowanie, bardzo się z tego śmiały, wybór był tylko jeden. Donica wielka i okrągła, a on chudy, więc rozumiało się samo przez się, że będzie to najlepsza kryjówka.

– Lepiej zostań na schodkach na poddasze i zerkaj sobie stamtąd – wyszeptała konspiracyjnym tonem Nastazja, ale Ulka zaczęła dawać jej znaki, by zamilkła, bo sama chciała na tych schodach się zaczaić. W końcu po coś to nocowanie było. Plteczki plteczkami, ale bez przesady. Skoro w przybytku dobrej nadziei i spokojnej starości pojawiła się zjawą, to należało poświęcić jej odpowiednią dawkę uwagi. Anastazja zgadzała się z tym co do joty, dlatego momentalnie zmieniła front i zaczęła zachwalać donicę jako najlepszą kryjówkę *ever!*

Paweł siedział i zwiesiwszy głowę, oczekiwał na dalszy rozwój wydarzeń. Na ramieniu miał zreperowaną koszulę nocną, w dłoni niczym berło dzierżył lusterko.

– Zwariowałem – mruknął i z góry usłyszał chichot. Nie zwrócił jednak na niego zbytnej uwagi, pamiętając, że córka z koleżanką przysięgły spać i nie wyściubiać nosa spod kołdry.

Po chwili chichot się powtórzył, lecz dobiegał z innej części budynku. Paweł drgnął, wychylił się zza donicy i... ujrzał zjawę. Dziś miała na sobie szlafrok. O dziwo, nie biały. Gdy podeszła bliżej okna, przez które sączyło się światło latarni, Paweł dostrzegł, że jest czerwony.

Przełknął ślinę i wyszedł zza donicy. Stał na środku korytarza, zagradzając drogę do schodów prowadzących na

poddasze, i zastygł. Zjawa zdawała się go nie dostrzegać. Jak przejdzie przede mną, to padnę, pomyślał, wyciągając zawczasu lusterko i unosząc je na wysokość klatki piersiowej, odwrócone w stronę nadchodzącej zjawy. Stał w rozkroku, prawa noga nieco wysunięta do przodu, ręce zgięte w łokciach. W tej pozycji przypominał Jackiego Chana z *Karate Kid*, zwłaszcza niechlujnością i niezdarnością. Nie miał zamiaru toczyć walki, ale czuł niepokojący oddech nieuchronnie zbliżającego się „oko w oko” ze zjawiskiem iście nadprzyrodzonym.

Zjawa podeszła. Czerwień szlafroka nadawała jej ludzkich cech, ale blada cera i delikatny uśmiech, a także wzrok utkwiony gdzieś poza Pawłem szybko sprowadziły jego myśli do gotowości bojowej.

– Aha! – powiedział nagle, jakby wpadł na genialny pomysł, odwrócił lusterko do siebie i spojrzał w swoje odbicie. – Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie! – zażądał i odwrócił je tak, by pokazywało twarz zjawy. Nagle sobie uświadomił, że może zjawy nie mają odbić. Złakł się nie na żarty, ale zszedł jej z drogi, zaszedł ją od tyłu i poczłapał za nią, wyciągając rękę z lusterkiem tak, by widzieć, czy w odbiciu zobaczy bladą twarz i rozpuszczone siwe włosy.

– Jest! – ucieszył się, ale zjawa pozostawała obojętna.

– O rany! – dobiegł Pawła znajomy głos. – Daj mi to!

To Joanna wyjęła lusterko z dłoni Pawła i chwyciła zjawę za ramię. Mężczyzna aż podskoczył z przerażenia.

Zjawa zatrzymała się, odnalazła wzrokiem własne odbicie, a na jej twarzy zagościł najmiłszy uśmiech świata.

– Słuchaj, jesteś wreszcie! Tak się cieszę; mam ci tyle do powiedzenia, w zasadzie też do pokazania. Masz nowe wdzianka. Pamiętasz tę swoją sukienkę, którą lubiłaś? Taką jasną w kwiatuszki, tę, co ci zabrała ta wiedźma, kiedy wyrzucili nas z babcinego mieszkanka? Pamiętam, jak się dogrzezać nie mogłaś. Pozbierałam dla ciebie trochę wdziank. Miałam więcej,

ale te, w których były dziury, to wyrzucałam, no bo nie dla ciebie, takiej damy z gazety, o, nie martw się, ja doskonale wiem, w czym będziesz się dobrze czuła. Zobacz... – Zjawa nie przestawała mówić, wpatrując się w lustro, a Paweł stanął przed nią i gapił się bez słowa.

– Ona cię teraz nie zobaczy – odezwała się Mała Mi.

– Wcześniej też mnie nie dostrzegła – powiedział ostrożnie, ścisząc głos.

– Miałam tu gdzieś koszulę nocną, wymarzoną, tylko też ją musiałam odrzucić, bo miała dziurę na ramieniu – kontynuowała zjawa.

– Nie ma dziury! – zreflektował się Paweł i przyklasnął własnej pomysowości. Oburącz chwycił koszulę nocną i pokazał marze łątkę z kwiatkiem na rękawie.

Zjawa zamilkła, tracąc z oczu własne odbicie w lustrze, i wzięła koszulę. Dotknęła kwiatka z materiału i uśmiechnęła się szeroko. Pieczołowicie złożyła ubranie w kostkę, odwróciła się i poczłapała z powrotem do swojego pokoju. Gdy zaczęła schodzić po schodach, Paweł nie wytrzymał:

– Co tu się właśnie wydarzyło? – Stał z uniesionymi brwiami i zmarszczonym czołem. Joanna machnęła ręką i poszła śladem zjawy, która najwyraźniej wcale zjawą nie była. Paweł podrapał się po głowie i szybko pobiegł za dyrektorką ośrodka.

– Siadaj – poleciła, gdy weszli do jej gabinetu. Zapaliła lampkę stojącą na biurku, usiadła przy nim i oparła głowę o dłoń. Czowała zmęczenie, ale nie mogła dłużej powstrzymać śmiechu.
– Wyglądałeś, jakbyś naprawdę ducha zobaczył.

– Ciekawe, jak ty byś zareagowała na moim miejscu! – Paweł się oburzył i poczuł jak mały zawstydzony chłopiec.

– Nie mam pojęcia! – Mała Mi śmiała się na całego, trzymając się za brzuch.

– Powiesz mi wreszcie, kto to jest? – wskazał na drzwi, jakby

spodziewając się ujrzeć ducha ponownie.

– Małgośka – chichotała Joanna. – Nasza podopieczna. Ma zaawansowanego Alzheimera, ale gdy widzi się w lustrze, przypomina sobie o swojej siostrze bliźniaczce i myśli, że ta przyszła ją wreszcie odwiedzić.

– Aha. – Paweł się uśmiechnął. – Przynajmniej zreperowałem jej koszulę – westchnął.

– A ja już wiem, o co chodzi z tymi ubraniami. – Ona również westchnęła, próbując zaczerpnąć tchu po salwie śmiechu.

Uśmiechali się wspólnie. Po raz pierwszy czując tę wspólnotę, współdzieloną radość, nie byli skrepowani. Oboje wiedzieli, że za chwilę ten stan okaże się niewygodny. Zaczną szukać uników, półśrodków, zapobiegawczych manewrów i rozejdą się każde w swoją stronę.

Wyglądasz, jakbyś nigdy się nie bała, pomyślał Paweł. Jak gdyby nie istniało żadne „przed” i żadne „po” nie miało się wydarzyć. I nawet jeśli nad przepaścią byś się miała teraz znaleźć, cmoknęłabyś tylko powietrze, rozłożyła ręce i skoczyła. Lecz wszystko to zakończy się za moment...

Paweł przeklinał się w duchu. Za milczenie, które ponoć jest złotem.

ROZDZIAŁ VI

*But as long as a man
Has the strength to dream
He can redeem his soul and fly*
Elvis Presley, *If I Can Dream*

– Co się tu, do cholery, wyprawia? – mruknęła pod nosem Mała Mi, gdy tylko przemierzając korytarz „Patrycji”, ujrzała w świetlicy zgromadzenie składające się z niemal wszystkich patrycjuszy, pochylonych nad złączonymi stołami. Humor miała nie najlepszy. Z niewyspania bolała ją głowa, a powodem braku nocnego snu były dziwne, niepojęte myśli krążące po tejże właśnie głowie. Po co one komu? I to jeszcze w nocy! Wierciła się z boku na bok, wstawiała, nawet wyszła z pokoju – wieloletniej nocnej kryjówki – by z kuchennej szafki, tej na samej górze, zwędzić kilka maślanych ciasteczek. Z zażenowaniem się wtedy obejrzała, czy matka jej przypadkiem nie nakryje, by potem uświadomić sobie swój wiek i z jeszcze większym wstydem stwierdzić, że rodzicielka wciąż chowa przed nią słodycze, a ona ze swoim nieco ponad metr pięćdziesiąt wzrostu nie może ich dosięgnąć. A gdy już udało się pokonać

barierę wysokości, skryła się pod stołem, tym w dużym pokoju, pod zwisającym obrusem, i pochłonęła całe opakowanie smakołyków, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że o śnie z pełnym żołądkiem i zdecydowanie podwyższonym poziomem glukozy może zapomnieć. Dlatego teraz czuła nadchodzącą migrenę i nawet gdyby umiała zatuszować podkrążone oczy, zupełnie nie miałyby na to siły. Przetarła je, jakby im nie wierzyła, i zamrugła kilka razy. Obrazek się nie zmienił. Stoły złączone, pochylone starcze głowy. Chwila, chwila. Głowy zdecydowanie kobiece, z siwiuteńkimi loczkami, przerzedzonymi, albo z wielokolorowymi odrostami niewymiarowych fryzur. Trzeba im zorganizować fryzjera. Nie! Projektanta fryzur. Stylistę. Może i sama by się załapała? Postanowione.

Przez ułamek sekundy Joanna poczuła się lepiej. Dlaczego wcześniej nie pomyślała o tym, by zadbać o wygląd pensjonariuszek? Przecież dla kobiet w każdym wieku wygląd jest ważny! No, nie dla niej oczywiście, ale ona nie była normalna. Gdy się słyszy takie słowa przez trzydzieści lat z hakiem, to się wierzy w to i owo. Choć udaje się przed samym sobą, że jednym wlatuje, drugim wylatuje.

Joanna cmoknęła, przystając na środku korytarza. Upłynęło kilka chwil, zanim ocknęła się z zamyślenia i dostrzegła, że co najmniej dwadzieścia par oczu wpatruje się w nią z zaciekawieniem. Na samym środku ujrzała oczy Pawła.

– Ja cię! – wyrwało jej się gardłowe parsknięcie, które skutecznie zahamowało nadchodzące przekleństwo. Urwała więc, przełknęła ślinę i zastanowiła się, czy nie wygląda teraz przypadkiem jak kosmitka z oczami wychodzącymi z orbit. Owszem, z pewnością tak właśnie wyglądała.

– Pan Wnuczek ma talent – odezwała się Matylda, kręcąc na palcu pukiel siwych loków.

– Pan Wnuczek to taki prawdziwy projektant jakiś – zawtórowała inna starsza pani, a z racji tego, że na głowie

brakło długości do zalotnego zakręcania na palcu, postanowiła zatrzepotać powiekami bez rzęs.

– O matko... – Joanna nie wytrzymała. – A czy wy nie macie teraz rehabilitacji? – spytała nerwowo. Niestety, nie umiała określić, czy Paweł potrzebuje pomocy i wsparcia w uwolnieniu się od zgrai najwyraźniej wygłodniałych pod pewnymi względami babć, tak ochoczo nazywających go „Panem Wnuczkiem”, czy wręcz przeciwnie, widok Małej Mi popsuł mu cały czar sytuacji.

– Drogie panie – przemówił wreszcie. – Są rzeczy ważne i ważniejsze, ja się nigdzie nie wybieram. Jeszcze niejedno spotkanie przed nami, a teraz czas na rehabilitację!

Patrycjuszki z ociąganiem zaczęły składać ubrania, które miały rozłożone na stołach, i ciskając z oczu piorunami w Małą Mi, odeszły do swoich pokojów z wysoko uniesionymi głowami.

– Dobry jesteś, dzięki tobie wyćwiczą mięśnie karku i prostą postawę – syknęła Joanna, gdy zostali w świetlicy sami, a Paweł zaczął przenosić stoliki na swoje miejsca.

– To raczej dzięki tobie. Zanim przyszedł, wszystkie garbiły się na potęgę nad blatami i z pewnością psuły sobie wzrok. – Riposta była z tych godnych uwagi. – Masz na nie dobry wpływ, trzymasz ich w ryzach jak prawdziwa... – Paweł urwał, nie mogąc dobrać właściwego słowa. Sam nie wiedział, czemu ślina na język przyniosła mu określenie „hetera”, ale postanowił zatrzymać je dla siebie.

– Następnym razem skonsultuj ze mną organizację zajęć typu robótki ręczne – powiedziała spokojnie, ale rzeczowo Mała Mi i ruszyła przed siebie.

– Obawiam się, że na robótkach ręcznych się nie skończy! – zawołał za nią Paweł.

Joanna zatrzymała się, odwróciła i skrzyżowała ręce na piersi.

– No, dajesz – ponagliła, wymownie patrząc na nadgarstek, na

którym nie było zegarka.

– Chyba trzeba otworzyć pracownię krawiecką. – Paweł stał przed nią okraszony własnym uśmiechem, który był z tych przyjemnych, naiwnych, takich rozbajających.

– Aha! – krzyknęła Joanna i wyciągnęła w jego kierunku palec wskazujący, jakby chciała go zdemaskować, ale stała tak dłuższy czas w milczeniu. Jej rozbiegany wzrok kazał sądzić, że wpadła na coś i już miała zaatakować, ciąg dalszy wypowiedzi jednak wciąż nie następował.

Paweł się nieco zmartwił i już miał pytać, czy wszystko w porządku, najpierw jednak obejrzał się, tak na wszelki wypadek, a gdy obrócił się z powrotem, Joanny już nie było.



To on! Ten jego uśmiech... Wszystko przez niego. Joanna, rozmyślając, szybkim krokiem dotarła z powrotem do swojego biura i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Nie może na niego patrzeć. Nie będzie na niego patrzeć. Nie ma zresztą po co patrzeć na obcego faceta. No bo co ich tak na dobrą sprawę łączyło? Zniknięcie prochów jego zmarłej babki i ich odnalezienie. Też mi coś. Czy ktokolwiek w ogóle wspominał, oprócz Marii i Genowefy w tych ich oczywiście chorych, starczych insynuacjach, o jakimkolwiek... Joanna nawet nie wiedziała, jak nazwać to, co miała na myśli. Lubienie się? Sympatię? No zdarza się, że ludzie się lubią, ale nic z tego nie wynika.

– O rany! – krzyknęła, pocierając skronie. – Po co ja o tym myślę? – skarciła siebie na głos, by było bardziej efektownie i przede wszystkim efektywnie. – Fryzjer, fryzjer – zaczęła powtarzać, by zmienić tor napływających do głowy myśli, ale przede wszystkim poczuć, że robi coś przydatnego dla swoich

patrycjuszek. Trzeba się zająć innymi, a nie czubkiem własnego nosa.

Gdy zadzwonił stacjonarny, odebrała szybko, nie zastanawiając się nad tym, kogo też to może się spodziewać po drugiej stronie.

– Zjadłaś trzynaście ciastek maślanych! – Ton matki dobitnie świadczył o tym, jak postrzegala w tym momencie swoją córkę. Jak ją postrzegala zawsze. To się nigdy nie zmieniało.

– Liczyłaś? – wtrąciła oschle Joanna, czując, że migrena już rozpanoszyła się w jej głowie na dobre.

– Nie drwij z matki! – Prawie podniosła głos, lecz na końcu zawiesiła go nieco, by wydać się bardziej władcza, ale też prawa i sprawiedliwa. – Wiem doskonale, ile kupiłam i schowałam.

– A po co ty je w ogóle kupujesz, skoro nie mogę ich jeść? – Joanna nie miała siły, by walczyć, ale nie miała jej też, by po raz kolejny i kolejny odpuszczać.

– A ja to ich jeść nie mogę? – zapytała z udawanym zdziwieniem rodzicielka i już miała rozpocząć swój standardowy, znajomy do bólu wywód moralizatorski, ale Joanna ponownie weszła jej w słowo, wiedząc doskonale, że jeszcze chwila, a rzuci słuchawką, odłączy telefon, wyłączy komórkę, po czym rozbeczy się jak małe dziecko.

– Nie możesz, masz wrzody – syknęła.

– No właśnie! I tu dochodzimy do sedna sprawy. Ty mnie do nerwicy doprowadziłaś.

– Czym, mamó? – Joanna nie wierzyła własnym uszom, choć powinna już nabyć tę umiejętność. – Tym, że nie jestem jak Jolka z biedronki czy jak Baśka, która miała fajny biust? – Uśmiechnęła się na skojarzenie z piosenką Wilków, a po chwili znieruchomiała, słysząc odpowiedź w słuchawce.

– Wilków i Gawlińskiego to ty w nasze sprawy nie mieszaj – powiedziała matka spokojnym tonem, jakby przed chwilą nie

była wredną skrzeczącą żabą, tylko co najmniej Beata Tyszkiewicz wygłaszającą kwestię w *Tańcu z gwiazdami*.

– Mamo – odezwała się łagodnie Joanna – zadzwoniłaś, by mi wypominać ciastka?

– Nie, moja córko. – Matka o dziwo trzymała poziom znanej aktorki, co było nad wyraz zaskakujące. – Dbam tylko o twoją linię, jeśli można ją tak nazwać. – Kaśliwa uwaga wcale nie raziła. Tym razem.

Joanna uniosła brwi i nic nie powiedziała.

– Tylko tyle, pa – odezwała się ponownie matka, kończąc rozmowę.

Coś tu poszło nie tak, stwierdziła Joanna, odkładając słuchawkę, i gdy już miała się porządnie zastanowić nad tą sprawą, usłyszała pukanie do drzwi, a zaraz po nim walenie pięściami, a raczej koślawymi kłykciami, którymi mogli poszczycić się Historyk i Muzyk. Drzwi się uchyliły i zamiast nich Joanna ujrzała rude loki Ulki. Jej piegi znów jarzyły się nieposkromionym blaskiem, a dyrektorka ośrodka ponownie zadała sobie pytanie, czy to za sprawą uśmiechu, który dziewczynka miała wiecznie na buzi, czy to jakaś inna siła nieczysta.

– Wejść – przyzwoliła i dopiero teraz drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wkroczyli Muzyk, Historyk i Ulka ulokowana między nimi, grzecznie trzymająca jednego i drugiego za ręce. Na taki widok Joanna nie była przygotowana.

– Mogłabyś tak łaskawie powstrzymać tego swojego wnuka – zaczął Historyk, a Ulka zmarszczyła brwi, nie patrząc na dziadka, tylko pociągnęła go dość mocno za rękę.

– Z tego co wiem, to nie mam nawet dzieci – prychnęła Mała Mi, nie bardzo odnajdując się w tej niecodziennej sytuacji. Już zaczęła tęsknić za monotonią, która jeszcze nie tak dawno, zaledwie kilka dni temu, kryła się za każdym rogiem tego

smutnego domu.

– No to się nieźle postarałaś, wnuk bez dzieci! – Muzyk się uśmiechnął, jakby zupełnie nie wiedział, po co w ogóle się tu zjawili i o czym mówi jego siwiuteński kolega ze skórą pomarszczoną jak u jaszczurki.

– Kristofer! – prychnął na niego Historyk, chcąc powstrzymać jego nieskładny bełkot. Historyk, który sam zazwyczaj przedstawiał się jako Robinson, miał na imię Robert, a jego przyjaciel, który niegdyś komponował i grał chyba na wszystkich znanych Joannie instrumentach muzycznych, Krzysztof. Nietrudno było się w tym połapać, choć Historyk lubił zaskakiwać, nadając swoim kumplom ksywki postaci historycznych. Koleżankom też zresztą nie odpuszczał. Tu jednak zwracał uwagę nie tyle na podobieństwo w brzmieniu, ile bardziej na wspólne cechy charakteru bądź walory estetyczne tudzież ich brak. Tym sposobem jedna z patrycjuszek została nazwana carycą Katarzyną, choć na imię jej było Melania.

– Ach tak! – odezwał się wspomniany Kristofer i pogroził Małej Mi palcem.

Dobrze, że nie pięścią, przemknęło jej przez myśl. Ulka odchrząknęła, a Joanna pomyślała tym razem, że bez tej małej „zaadoptowanej” przez podopiecznych „Patrycji” żadna sprawa nie zostałaby załatwiona polubownie.

– On nam zagraża! – zawołał Historyk i wznosił ręce do nieba w błagalnym geście. Obie ręce, tę, w której trzymał delikatną dłoń Ulki, też. Dziewczynka z poważną miną spojrzała spode łba na Joannę, a ta prychnęła.

– Tobie to jeszcze wąsika brakuje – rzekła, mając nadzieję, że Ulka nie zrozumie żartu, ale dziewczynka z powagą odparowała:

– Uniesiona w geście pozdrowienia ręka tylko nielicznym kojarzy się wyłącznie z Hitlerem... – Tu miał nastąpić ciąg dalszy, ale Joanna, bojąc się całkowitej kompromitacji, przerwała:

– Czym? Czym ten nieszczęsny wnuk wam zagraża?

– Podbiera – zaczął Muzyk szeptem, pochylając się w stronę Małej Mi.

– On też? – zachnęła się Joanna i złapała się za głowę.

– A kto jeszcze? – Historyk zmartwił się nie na żarty, a Joanna, widząc jego czerwieniejącą twarz, szybkim krokiem podeszła do szafki, sięgnęła po aparat do mierzenia ciśnienia, rozkazująco machnęła ręką do Historyka i tonem nieznoszącym sprzeciwu nakazała: – Siadać!

Starszy mężczyzna, doskonale znając usposobienie Joanny, a także wiedząc, że nadciśnienie jest jego zmorą, posłusznie wykonał polecenie, podkasał rękaw i z miną zbitego psa spojrział na milczącą dyrektorę, wykonującą swoją powinność.

– Symulujesz – orzekła wreszcie. To hasło było znane patrycjuszom i to na nie czekali w najbardziej newralgicznych momentach, gdy mimo złego samopoczucia uporczywie trzymali się cienia nadziei, że może aparatura medyczna pokaże, iż jednak wszystko jest w jak najlepszym porządku. Najczęściej słyszeli je z ust Małej Mi właśnie, choć statystycznie rzecz biorąc, odsetek był jednak niewielki.

Wszyscy zgromadzeni w pokoju nagle się rozchmurzyli i dopiero wówczas Joanna zdała sobie sprawę z faktu, że podczas gdy ona mierzyła ciśnienie Robinsonowi, całe pomieszczenie było pogrążone w milczeniu i lekkim znerwicowaniu. Nagle wszystko puściło, towarzystwo się roześmiało i Mała Mi już miała nadzieję, że zaraz wszyscy się rozejdą po kątach, lecz Muzyk spoważniał:

– Chwila, chwila... – Podeszedł do Joanny i wciąż siedzącego na fotelu Historyka i zmarszczywszy brwi, oznajmił: – Ktoś jeszcze nam je podbiera? I ty wiesz kto!

Wszyscy westchnęli.

– Kogoś mi przypominasz – odrzekła Joanna, siadając przy

własnym biurku. Miała na myśli oczywiście Genowefę, której Maria bardzo często musiała dwa razy wyjaśniać pewne sprawy.

– Nie mydl nam tu oczu. – Historyk dotknął wąsa i zaczął nawijać go na palec.

– Nie rób tego. – Joanna się skrzywiła, a przed oczami nagle pojawił się obrazek sprzed chwili, gdy to starowinka z siwymi lokami zalotnie nawijała kosmyk na koślawy palec, gapiąc się na Pawła.

– A ty mów nam tu wszystko jak na spowiedzi – zażądał Muzyk, doskonale wiedząc, że lekko się zagalopował, zwracając się w ten sposób do Małej Mi.

Ta przełknęła ślinę. Potem westchnęła. Popatrzyła na Ulkę, którą spotkanie zaczęło nudzić, przesunęła w jej stronę kartkę i kredki, które zazwyczaj chowała w szufladzie biurka (trzymała je dla siebie, odkąd kupiła sobie w księgarni kolorowanke dla dorosłych dla odstresowania) i dopiero gdy dziewczynka usadowiła się obok Historyka przy okrągłym stoliku, zupełnie niepasującym do niczego w tym patchworkowym pokoiku, powiedziała:

– No, Małgośka przecież! Myślałam, że wiecie!

– Jak to Małgośka? To ona jest les... les... – zaczął Muzyk.

– Bijką! – przyszedł mu na ratunek zniecierpliwiony Historyk.

Joanna w popłochu zerknęła na pochyloną nad kolorowanke Ulkę, która zupełnie nie zareagowała na to słowo. Mała Mi westchnęła.

– Skąd takie przypuszczenie? – spytała zbita z tropu.

– A jak mamy to rozumieć? – Staruszkom oczy powędrowałyby na czoło ze zdziwienia, gdyby nie siatka zmarszczek, która stanęła im na drodze.

– Chwila! – Joanna podniosła się z krzesła. – Chccie powiedzieć, że Paweł też jest les... les... – urwała, bo teraz to

ona miała problem z wysłowieniem się.

– Bijką – usłyszeli podpowiedź Ulki, która wciąż nie patrząc na pozostałych, gryzmoliła zieloną kredką.

– Nie. – Muzyk z powagą pokręcił głową. – On jest zagrożeniem, bo one na niego lecą!

Rozważania Kristofera były doprawdy imponujące w swej prostocie i Joanna z jednej strony bardzo chciała się zaśmiać, ale z drugiej cała ta sytuacja wydawała jej się niepokojąca. Nie roześmiała się zatem, tylko potarła skronie.

– Przydałby się zimny kompres na czoło – pomyślała, ale widząc, że Ulka poderwała się i wybiegła z pokoju, uświadomiła sobie, że jej myśli znalazły ujście werbalne.

Dziewczynka przyniosła mokry ręcznik i już po chwili Joanna siedziała z odchyłoną głową na fotelu w miejscu Historyka i przykładała kompres do czoła.

– One lecą na niego? Ja widzę, że to on aż się cały trzęsie z podekscytowania, jak je widzi, najlepiej te dziurawe, z tego co zauważyłam – snuła rozważania Joanna, zupełnie nie zauważając, jak bardzo zmienia się oblicze zmartwionych staruszków. Zdumienie malowało się nie tylko na twarzach.

– I ty tak spokojnie o tym mówisz? – wypalił wreszcie jeden.

– Jak tak można? – dodał drugi.

– A co, mam mu zabraniać?

– No nic... no niiiiic. – Robinson zaintonował jakąś pieśń bojową i podchodząc do drzwi, zagrzemiał: – Wojna! To będzie wojna!

Gdy wyszedł z pokoju Joanny, Muzyk powędrował za nim z okrzykami, których Joanna już nie zarejestrowała. Ulka podziękowała za kolorowanekę i również opuściła pokój, bardzo delikatnie zamykając za sobą drzwi.

– I co im przeszkadza jego zamiłowanie do ubrań, zwłaszcza

dziurawych? Przecież naprawi je z przyjemnością, sam pożytek z tego – westchnęła Joanna i na chwilę przymknęła powieki.



Tymczasem korytarzem mknęli wzburzeni dziadkowie, między których weszła Ulka, chwytając ich za dłonie. Miała ogromną nadzieję, że jej uścisk nieco zmniejszy ich bojowe nastawienie. Była w błędzie, mimo to wciąż próbowała.

– Ja mu pokażę podekscytowanie na widok naszych patrycjuszek! Ha! I jeszcze tych dziurawych... – Tu zawiesił głos i pokrył się purpurą, tym razem z zawstydzenia.

Maria minęła ich z lekkim uśmiechem, który wymieniła jedynie z piegowatą dziewczynką. Staruszkowie zdawali się jej nie zauważać.

– Świrusy – mruknęła i weszła do gabinetu Joanny.

– Nie powinnaś zapukać? – odezwała się Mała Mi.

– Wybacz, ale z jakichś niepojętych względów czuję się tu jak u siebie w domu – zaczęła wyjaśniać i usprawiedliwiać brak dobrego wychowania Marysia.

– A to by się zgadzało – odparła Joanna, nie odrywając wzroku od monitora.

– Co masz na myśli? – Staruszka lekko się zaniepokoiła. Zdjęła beret i rozpięła płaszcz.

– A nic, doskonale się tu, widzę, odnajdujesz, wśród tych... – Mała Mi tylko zarysowała w powietrzu łuk dłonią, ale Maria szybciotko pojęła, że dwa świrusy musiały wcześniej gościć właśnie tu i prawdopodobnie Joanna upatruje w nich i Marysia swoistego podobieństwa. – Poza tym zadomowiłaś się tu jakoś ostatnio.

– Mój wnuk się tu zadomowił, więc to chyba nic dziwnego –

zaczęła Maria, a Mała Mi spojrzała wreszcie na gościa i burknęła:

– To wnuk Alicji, która nie utrzymywała z nim kontaktu. Teraz nagle to ty zjawiasz się tu codziennie, choć na dobrą sprawę nic cię z tym miejscem nie łączy.

Mała Mi zawiesiła głos i wpatrywała się w zmęczoną twarz Marysi. Zmieszana spuściła wzrok, zastanawiając się, po co plecie trzy po trzy.

– Przepraszam, to nie moja sprawa. – Poprawiła się na krześle, czując się jak mała dziewczynka, która właśnie narozrabiła, ale... do jasnej cholery, była przecież u siebie w gabinecie i to jej przeszkadzał dziś cały świat!

– Przyszłam powiedzieć, że Stachu dziś wychodzi ze szpitala. Pożycz samochód „Patrycji”, a go przywiozę. – Ostatnie słowo staruszka wypowiedziała niemal szeptem.

– Jesteś pewna? – Mała Mi spojrzała na nią spode łba.

– Tak, właśnie dostaje wypis.

– Chodzi mi o twoje prowadzenie samochodu – wyjaśniła Joanna.

Marysia nie odpowiadała. Podeszła do okna i spojrzała na nic konkretnego. Jej oczy patrzyły na swojski, prawie zimowy krajobraz podwórkowy, ale nie widziały nic. Bardzo starała się nie widzieć. I nie zaglądać. Tak jak się nauczyła przez wiele lat swojego życia. Nie zaglądać ani w przeszłość, ani w przyszłość. Teraźniejszość musiała jej wystarczyć.

I wystarczałyby, gdyby nie jeden jedyny fakt. Nie wybaczyła. Ani sobie, ani całemu światu. Nie wybaczyła tej jednej jedynej chwili, w której skończyła się jej wolność. Kiedy przestała być człowiekiem, a stała się potworem.

Joanna również wyjrzała przez okno. Smutne siwe podwórko, brak łagodnego spojrzenia Stacha.

– Oczywiście – powiedziała, wyjmując z szuflady kluczyki i kładąc je na biurku.

– Hm? – Maria przeniosła wzrok na Małą Mi i dostrzegłszy kluczyki, w milczeniu pokiwała głową. Sięgnęła po nie i wyszła, zostawiając lekko uchylone drzwi.



– Ona ma tu wnuka! – Mała Mi pokręciła głową i wstała, nie bez irytacji, by zamknąć drzwi, chcąc poczuć choć odrobinę prywatności we własnym biurze. – Każdy ma tu wnuka, i to tego samego – wymamrotała, kładąc dłoń na klamce, ale drzwi się nie ruszyły z miejsca.

Joanna uniosła wzrok i zobaczyła Pawła trzymającego klamkę po drugiej stronie. Gdyby miała jeszcze tego dnia siłę, z pewnością westchnęłaby przeciągle i teatralnie. Nie zrobiła tego jednak. Uniosła tylko ręce w geście poddania się i powędrowała za biurko. Było jej barykadą. Zwłaszcza teraz.

Gdybyś wiedział albo widział, zdałbyś sobie sprawę prędzej niż ja sama, pomyślała. Lecz na szczęście i nieszczęście jednocześnie, wzrok twój taki ślepy jest jak i mój własny...

– Co tu robisz? – spytała.

– Mieszkam – odpowiedział z rozbajającym uśmiechem.

Zamknęła oczy. To była jej obrona. Naiwnie sądziła, że zaciśnięcie powiek powstrzyma lawinę zawstydzenia, którą wyczuwała wszystkimi komórkami ciała. Czerwień zalała jej policzki, skronie i kark – nie musiała patrzeć w lustro, by to stwierdzić z całą stanowczością.

– Chyba coś mnie bierze – wymamrotała, by zmylić przeciwnika, który na dobrą sprawę był sojusznikiem, a raczej chciał nim być, lecz to ona wszystko psuła, i to na każdym

kroku.

– Chciałem cię zaprosić na kolację.

Joanna ze zdziwienia wybałuszyła oczy i teraz zauważyła, że to on, ten ich wspólny „wnuk”, czerwieni się, poci, a jego nogi wykonują coś na kształt tańca z bajki *Tupot małych stóp*. W sumie jakby tak trochę poćwiczył, to może by i jakiś talent show...?

Uśmiechnęła się. Musiała coś odpowiedzieć, i to szybko, w przeciwnym razie stojący przed nią mężczyzna spłonie żywym ogniem zdenerwowania.

– No dobra – odrzekła nonszalancko.

Paweł odetchnął, kiwnął głową, jakby chciał potwierdzić jej słowa, i szybko zmierzając ku wyjściu, dopytał:

– O dwudziestej u mnie może być?

ROZDZIAŁ VII

You can shake an apple off an apple tree

Shake-a, shake-sugar,

But you'll never shake me

Uh-uh-uh

Elvis Presley, *Stuck On You*

Maria weszła do mieszkania i z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Zegar wskazywał czwartą po południu. Wcześniej, ale za oknami już ponuro. Tak samo ponuro czuła się też Maria. Powodów było kilka. Nie zaliczała do nich zmęczenia, ani fizycznego, ani psychicznego. Z tym mogła sobie spokojnie poradzić. Pomocny okazałby się teraz naparstek, pomyślała i chwyciła komórkę, by nadać SOS. Taką właśnie treść wystukała w wiadomości tekstowej, którą następnie wysłała do Genowefy. A potem usiadła na krześle przy oknie i oparła łokcie o parapet. Westchnęła raz, potem kolejny, a potem przestała liczyć te swoje westchnięcia i podrapała się po głowie, nie zwracając uwagi na beret, który wciąż na niej tkwił.

– Wychodzisz gdzieś? – Genowefa stanęła w drzwiach, parkując hulajnogę w przedpokoju.

Maria nawet nie odwróciła się w stronę przyjaciółki. Spojrzała tylko w dół, uświadamiając sobie, że wciąż siedzi w wierzchnim ubraniu.

– A w ogóle to wyglądasz jak Wanda – skwitowała Gienia, wchodząc do kuchni. Gdy podeszła do okna, przy którym zakotwiczyła się Marysia, krzyknęła: – I na co ty się tak gapisz?! Na nic przecież!

– Jakie odkrycie... – skwitowała Marysia, wstając od okna i podążając do salonu. – Za mną! – zakomenderowała.

Genowefa skrzywiła się, powtarzając bezgłośnie „za mną”, i poczłapała za koleżanką. Ta otworzyła szafkę, wyjęła dwa naparstki i butelkę zubrówki. Z brzękiem postawiła to wszystko na stole.

Genowefa wydała z siebie coś na kształt świszczania.

– Coś mówiłaś? – spytała Maria.

– Gwizdałam.

– Aha... Naśladowanie Scorpionsów nie jest twoją mocną stroną.

– Sama sobie polewasz? – zdziwiła się Gienia. – Musiało coś się stać...? – zawiesiła głos, a po chwili jakby sobie przypomniała o czymś, co nie było niczym przyjemnym, przyłożyła dłoń do ust, ciasno-ciasno, i zawołała: – Szoszechem?

– Słucham?! – Maria przechyliła naparstek i wzdrygnęła się, rozglądając się za zakąską.

– Czy coś ze Stachem?! – krzyknęła Gienia prosto w jej ucho, a przyjaciółka skrzywiła się wbrew swojej zasadzie „im mniej min, tym mniej zmarszczek”, od której jedynym odstępstwem był śmiech. Tu akurat panowała inna zasada: „im więcej, tym lepiej”. Chodziło o mięśnie brzucha. Śmiać się należało właśnie tą częścią ciała.

– Co ty mówisz? – zachnęła się, udając się do kuchni, by zajrzeć do lodówki. Z gryzem serka topionego w ustach wyłoniła się z powrotem i odparowała:

– Choneotochochi.

– A o co? – spytała Gienia, robiąc dokładnie to samo, co gospodyni, na wódce począwszy, na serze skończywszy.

– Jak ty to robisz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Marysia, siadając przy stole.

– Co?

– Rozumiesz, co mówię z pełnymi ustami – wyjaśniła.

Gienia machnęła ręką, jakby się chciała odpędzić od komara, i szepnęła konspiracyjnie:

– Mam swoje sposoby, zwłaszcza po naparstku. – Sięgnęła po wysokoprocentowy napój, lecz Maria ubiegła ją, chwyciła butelkę, wyciągnęła palec wskazujący i pomachała nim w zwolnionym tempie, cmokając przy tym.

– No weź! – Gienia na ułamek sekundy przeistoczyła się w sfochowaną dziewczynkę.

– Wezmę i schowam. Wystarczy – odrzekła rzeczowym tonem Maria. – Mamy sprawę do omówienia, poza tym nie możesz prowadzić po pijaku.

– Ja nie mogę? – spytała pod nosem Gienia, mając nadzieję, że jej słowa nie dotrą do uszu przyjaciółki.

Maria spojrzała na nią z powagą.

– Wiesz przecież, że jakbyś wypila więcej, drałowałabyś na piechotę przez cały Żoliborz, a jutro musiałabyś tu wrócić również na piechotę, żeby odebrać swój pojazd mechaniczny.

– Daj mi spokój – odezwała się Gienia. – Co to za sos?

– Nie „sos”, tylko „es o es”, kiedy ty się wreszcie nauczysz?

– Nigdy. Nie przyszło ci do głowy, że nigdy się już nie nauczę?

Na nauki za późno, moja droga.

– Otóż to... – odrzekła Maria w zamyśleniu, ale przyjaciółka nadal nic nie rozumiała. Ostatni raz „es o es” nadano tuż przed śmiercią Alicji, ich trzeciej muszkietierki. Oznajmiła im, że ma jakiś plan, a na drugi dzień Mała Mi znalazła ją martwą.

– Ale nie umrzesz jutro? – Gienia nie wytrzymała i już miała się zanieść szlochem, ale w porę stwierdziła, że nie byłby to najlepszy pomysł. Zresztą skupiła się na swojej dłoni, którą w tym właśnie momencie chwycił reumatyczny skurcz. Skrzywiła się i schowała ją do kieszeni.

– Nie, jeszcze bym się bzyknęła ze Stachem – odparła Maria zbyt szybko, zbyt szczerze i zbyt na poważnie, więc momentalnie zasłoniła usta obiema rękoma, jakby chciała wepchnąć swoje słowa z powrotem.

Genowefa uniosła brwi.

– Ani słowa! – rozkazała Maria, a przyjaciółka posłusznie pokiwała głową. – Historia do mnie wróciła – powiedziała po chwili.

– A nie matematyka? Albo geografia? Czemu akurat historia? Za dużo Sznuka? – Genowefa usadowiła się przy parapecie z opakowaniem ciastek owsianych, nie mogąc powstrzymać się przed oblizywaniem warg.

Marysia ponownie się skrzywiła.

– Dzwonił do mnie adwokat.

– Coś przeszkrobałaś? – spytała nonszalancko Gienia, lecz po chwili jej nonszalanca przeminęła z wiatrem. Na twarzy pojawił się strach, ciasteczko wypadło z jej ust i pokruszyło się na podłodze. Usta, wciąż rozdziawione, za nic w świecie nie chciały się domknąć.

– Bo ci sztuczna szczęka wypadnie – ostrzegła Marysia, podchodząc do okruszków i przesuwając je nogą pod szafkę.

- Czy to ta sprawa... no wiesz? – zagaiła Gienia z lekką obawą.
 - Nie wiem. – Marysia skrzyżowała ramiona na piersi.
 - No wiesz! – Gienia nie kryła zdziwienia niedomyślnością przyjaciółki.
 - No nie wiem. – Maria traciła cierpliwość.
 - Ta, przez którą nie mogłaś prowadzić samochodu tyle lat? – wreszcie wyartykułowała Genowefa.
 - No wiesz?! – Teraz to Maria się zachnęła i już miała się przeżegnać, ale szybko stwierdziła w myślach, że chyba zbzikowała do reszty, a ta myśl powstrzymała ją przed wykonaniem tego dziwnego dla niej gestu.
 - Nie wiem, do jasnej ciasnej, więc może mnie wreszcie oświecisz! – Gienia podniosła głos, a Marysia zaczęła się śmiać.
 - Zastanawiam się, na co można wydać zastrzyk gotówki – oznajmiła wreszcie, zdejmując z siebie płaszcz i rzucając go w kąt. Miał wylądować na szafce w przedpokoju, ale na drodze stały przeszkody: siła grawitacji i framuga drzwi. Kąt zatem został przykryty wdziankiem w nieładzie, co jego właścicielka skwitowała ledwie westchnięciem.
 - Nie biegniesz tego podnieść? – zainteresowała się Genowefa, obserwując niewzruszoną Marysię, która tylko łypnęła na nią okiem, wciąż nie ruszając się z miejsca.
- Czekała w milczeniu. Postanowiła zająć się napełnianiem naparstka. Własnego rzecz jasna, Gienia musi już obejść się smakiem, w końcu jest za kółkiem, o ile można tak nazwać kierownicę hulajnogi. Jakkolwiek by patrzeć, kierowcy pić nie powinni. Uniosła kielonek i wychyliła bez zbędnych ceregieli. Druga ze staruszek coraz szerzej otwierała usta ze zdziwienia. Był to proces ciągły, trwał przynajmniej kilka dobrych sekund, a owe rozdziawienie postępowało w zwolnionym tempie.
- No co się tak dziwisz? – Marysia nie wytrzymała.

– Tobie się dziwię. – Gienia zabrała butelkę z napojem wysokoprocentowym i schowała ją do lodówki.

– Nie lubię schłodzonej – syknęła Marysia.

– Wiem, myślałam, że sprowokuję cię do opuszczenia fotela, wywołam jakąś normalną reakcję. Co zrobiłaś z moją Mryśką?!

– wykrzyknęła nagle Gienia, wskazując na Marię palcem.

– Daj spokój, Gieńka, i skup się na sprawach poważnych, z łaski swojej.

– Masz na myśli to dziwne stwierdzenie, które padło z twoich ust kilka minut temu? To, które zbyłam milczeniem, ponieważ wciąż nie dowierzam, że z takiego powodu zwołałaś „es o es”? – Gienia wreszcie usiadła przy stole, nieopodal fotela Marii, i spoważniała.

– Dziwne stwierdzenie? – Maria wciąż zachowywała powagę.

– O jakiej kwocie mowa?

– Milion. Jeden.

– Jeden – westchnęła Gienia – milion.

Przyjaciółka pokiwała głową i po chwili dodała:

– Dolarów.

Po kolejnej chwili wstała i powędrowała do kuchni:

– Musiałaś wynosić tę wódkę?!



– Dokąd idziesz? – spytała Anastazja ślęcząca nad książkami.

Zapisanie jej do szkoły poszło niezwykle gładko ze względu na jej zaskakująco dobrą znajomość języka polskiego. Dyrekcja nie miała żadnych „ale” i musiała przyjąć dziewczynkę z dzikiej rosyjskiej prowincji, jak określiła północną stolicę Imperium

Rosyjskiego pani wice, będąca również nauczycielką historii. Nie będzie jej tu łatwo, przeszło przez myśl Pawłowi. I już chciał uciekać z tej budy, gdzie pieprz rośnie lub raki zimują, ale jego córka, widząc zażenowanie tatusia, postanowiła interweniować, uśmiechając się uroczo do historyczki i rzucając coś na kształt: „Jaka pani miła, dziękuję”. Na tym rozmowa z dyrekcją skończyła się ostatecznie i definitywnie.

– Pochodzę trochę po „Patrycji” – burknął zamyślony Paweł, wkładając marynarkę.

– Trochę dziwnie to brzmi, tatko! – zaśmiała się Anastazja – W marynarce będziesz nachodził biedną Patrycję?

– Nie mam zamiaru nikogo nachodzić.

– A pamiętasz, że idę na nocowanie do Ulki?

– Tak, oczywiście. – Uśmiechnął się lekko, odwracając wzrok od córki, lecz ten ledwo widoczny grymas nie uszedł jej uwadze.

– O ty, ojciec marnotrawny! – zachichotała. – Chcesz się mnie pozbyć!

– Sprzeciw! Proszę się trzymać faktów, a nie domniemania czegoś tam... – Paweł, pogubiony we własnych zeznaniach, wyszedł z mieszkania i po cichu zamknął za sobą drzwi.

Marynarki lubił. Jeszcze bardziej kamizelki. Fascynowały go; nie rozumiał ludzi, którzy „nie trawili takiej garderoby”. Może trudno w to uwierzyć, ale takich było na potęgę. Niejednokrotnie wdawał się z klientami w dyskusje, w których rozwodził się – ku ich nieszczęściu – nad kwintesencją męskości, a i kobiecości również, jaka skrywała się właśnie w owym skraweczku materiału, tym „nie wiadomo czym” bez rękawów, koniecznie zapinanym, koniecznie ściągany z tyłu. Klasyka tu wygrywała, choć Paweł pozwalał sobie w swoich projektach na odrobinę szaleństwa i ekstrawagancji, dodając kolorowe guziki, hafty, a nawet koronkę na męskiej kamizelce. O tak, nie było w tym nic dziwnego. Zyskiwał wówczas

przemieszanie stylów, odrobinę szaleństwa, które w dalszym ciągu nie było pozbawione stonowanej elegancji. Chciałby teraz wbić się w kamizelkę. Głównie po to, by jego pewność siebie wylazła z norki i wspięła się na szczyty – chociaż te najniższe, ale jednak. Nie założył jednak żadnej ze swoich ulubionych, bojąc się wypaść „nazbyt” w misji, jaką miał do wykonania, i to w trybie natychmiastowym.

– Jakiś jesteś zafrasowany. – Matylda pojawiła się na korytarzu nagle i bez uprzedzenia. Paweł wzdrygnął się na widok najelegantszej z babć, no może z wyjątkiem Marii, ale jej nie zaliczał do grona „babć patrycjuszek”, bo jakoś tak nie bardzo tutaj pasowała. Matylda miała na sobie długą spódnicę i sweterek z brokatem, a siwe włosy upięte w dobierany warkocz luźno spływały na lekko zgarbione ramiona.

– A możemy porozmawiać? – zagaił, siląc się na luz i spokój.

– Brakuje ci go – odpowiedziała Matylda, wskazując ręką w kierunku świetlicy. – Chodź, tam teraz nikogo nie będzie, dziadki mają sjęstę. – Machnęła ręką, wyrażając w ten sposób lekką pobłażliwość dla takiego rodzaju zachowań staruszków.

– Kogo mi brakuje? – Paweł niewiele rozumiał, ale poczłapał za żwawo kroczącą korytarzem Matyldą.

– Spokoju brakuje – wyjaśniła. – Przydałaby ci się joga, mogę w tej kwestii pomóc.

– O nie, nie korzystaj z tej oferty! – Mała Mi przemknęła obok nich jak wichur. – Wybaczcie, Zenek się zesrał... muszę interweniować, jednym słowem.

Ostatnich sylab nie dosłyszeli, bo Mała Mi przemierzała korytarz niczym struś pędziwiatr. Matylda zasłoniła usta pomarszczoną dłonią z wypiełgnowanymi paznokciami i stłumiła śmiech. Paweł stanął jak wryty, układając w myślach sens wypowiedzianej przez Joannę kwestii. Nie wiedział, jak ją interpretować.

– Czy ona...?

– Zenkowi się zdarza, jeden z uroków... Ale nie zwracaj ty sobie tym głowy, natomiast o jodze mógłbyś pomyśleć. – Matylda była twardą negocjatorką, choć w tym momencie jeszcze nie przeszła do ostrych metod, którymi władała znakomicie. Mała Mi coś o tym wiedziała. Po jednej sesji jogi przez trzy miesiące nie mogła dojść do siebie. – No więc? – Staruszka usiadła w fotelu i skrzyżowała palce obu dłoni.

– Ach, no tak, więc, a więc... – Paweł rozejrzał się, by upewnić się w braku jakichkolwiek świadków rozmowy. Potrzebował jej, by przygotować się najlepiej, jak tylko potrafił. A czy potrafił w ogóle, to się miało dopiero okazać.

– Nie martw się, nie usłyszy, trochę jej zejdzie z Zenkiem – uspokoila go Matylda, zamieniając się w słuch.

– No bo ja nie wiem, co przygotować na kolację – wypalił Paweł na wydechu, podrapał się po głowie, a potem wyprostował jak na rozmowie kwalifikacyjnej i poczuł, że ze stresu drga mu powieka.

Matylda milczała. Uniosła lekko dłoń i zaczęła przyglądać się własnym paznokciom, szukając w nich skazy do poprawienia. A może zachwycała się ich nienagannym wyglądem? To akurat było mało istotne, najgorsze, że z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

– Czy... – zaczął Paweł, lecz rozmówczyni wyprostowała dłoń, dając znak, by zamilkł. Toteż uczynił, jak nakazywała, z uwagą obserwując, czy nie wykona kolejnego ruchu. Tymczasem obok świetlicy przeszedł Historyk, usiłując nie patrzeć w ich stronę. Tuż przy zakręcie niezręcznie potracił regał z książkami, powiedział teatralne „Ups!” i rzucił się podnosić to, co spadło. A że nie było tego wiele, w miarę szybko się oddalił.

– Zaraz przyjdzie Muzyk. – Matylda konspiracyjnie puściła do Pawła oko, ale ten nadal pozostawał w stanie nierozumienia. – Ostrygi może, albo zwykłe polskie żeberka. Wiesz, w przypadku

kobiet również sprawdza się powiedzenie: „przez żołądek do serca”. Natomiast Stachu to jej zawsze na specjalne okazje szarlotkę piekł. Bez cynamonu. Koniecznie bez cynamonu. I sałatka musi być. Do żeberek.

– Ale... – Paweł ponownie zamilkł, gdyż dłoń Matyldy ponownie dała rozkaz „stop”. Tym razem oboje przenieśli wzrok na korytarz. Muzyk nonszalancko kręcił biodrami, jakby szedł po wybiegu. Przywoływał na myśl Chaplina z jego najznakomitszych ról. Brak melonika i laski zupełnie nie przeszkadzał. Tu nawet nie chodziło o bujną wyobraźnię Matyldy czy Pawła: oboje mieli właśnie przed oczami nieśmiertelnego Charliego. Pierwsze skrzypce grał tutaj komizm sytuacyjny, który był jeden do jednego przeniesiony z niemego kina. Muzyk nie ruszał regału. Przystanął tylko pośrodku, spojrzął na zegarek, a potem zrobił zamyśloną minę i gdy po chwili nic się nie wydarzyło, nie padło żadne słowo, popukał się w czoło, jakby sobie o czymś przypominał, i oddalił się, tak samo imponująco kręcąc biodrami. Stawiał maleńkie kroczki, aż wreszcie zniknął za rogiem.

– Za chwilę przyjdą tu grać w domino – odezwała się Matylda.
– Nie ma żadnego „ale” – powróciła do przerwane go wątku. – Baby też lubią tłusto i syto zjeść. Co z tego, że kolacja, że niestrawne? No proszę cię, spalicie to raz, dwa!

– Jak... – Paweł znów zaczął nie tak, jak trzeba, czuł to, lecz nic nie mógł na to poradzić. Gdy się namyślał, by wypowiedzieć się w bardziej elokwentny sposób, dłoń Matyldy ponownie wyraziła stanowczy sprzeciw, a do świetlicy wszedł Historyk, trzymający pod rękę Muzyka. Pod pachą jednego skrywało się drewniane pudło z szachami, z kieszeni swetra drugiego wystawało pudełko z dominem.

– Mówię, ogram cię, zobaczysz – mówił jeden.

– Ależ grubo się mylisz – przeczył drugi.

– No, to by było na tyle – skwitowała Matylda, wstała

i powolutku ruszyła w kierunku korytarza.

– A młody człowiek może zagra partyjkę w domino? – zagaił Muzyk lub Historyk, który dokładnie, Paweł nie bardzo się jeszcze orientował.

– Nie, nie – burknął, wyraźnie gdzieś się spiesząc. – Żeberka bez cynamonu – wybelkotał, poprawił marynarkę, skinął głową i pospieszył do siebie.

– Żeberka, skubany! – krzyknął Historyk, unosząc jak zwykle palec wskazujący.

– Matyllda lubi zeberka. – Rozmarzony głos Muzyka zabrzmiał jak co najmniej krymska sonata.

– Ty durniu! – Historyk dawał upust swojemu wybuchowemu temperamentowi, ku zupełnej ignorancji Muzyka, który kontynuował:

– No tak, tak, lubi.

– Czy wiesz, co to znaczy, stary pryku? – Historyk nie wytrzymał, podniósł się nerwowo z krzesła, rozrzucając kostki domina na podłogę, i przeszedł się do okna i z powrotem.

– Że ślinka ci pociekła na samą myśl?

– Nie, bałwanie – Historyk stanął pośrodku świetlicy, wsparł się pod boki i wycedził przez zęby: – Ten cholerny wnuk właśnie zaprosił Matylde na kolację! Romantyczną! Widziałeś, jak na nią patrzył?

– Jak w obrazek – westchnął Muzyk, nie do końca czując powagę sytuacji.

– Kto wygrywa? – spytała wracająca od Zenka Mała Mi.

– O nie, nie, nie, on z nami nie wygra. Co to, to nie! – zawyrokował Historyk, klepiąc Muzyka po ramieniu. – Chodź, mamy misję!

– Jaka? – Muzyk niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Jednego był pewien. – Coś tu śmierdzi – wydukał mimowolnie.

– A tak, to ja, od Zenka wracam, wybaczcie.

Joanna już się przyzwyczaiła. A skoro przyzwyczaiła się do takich rzeczy, to nic, ale to nic nie mogło już jej ani przerazić, ani obrzydzić. Nie do wiary, ale lubiła te konkretne sytuacje – śmierdzące sprawy. To był jedyny moment, w którym Zenek opowiadał. A opowiadać lubił, i robił to z iście poetyckim rozrzewnieniem. A opowieści dotyczyły tylko jednego tematu, w dodatku tematu przez duże „T”. Dziś zaserwował wykład o odcieniach wody w księżycową noc. Że też Ajwazowskiemu się ten motyw nie nudził! Tak, Zenek był kiedyś malarzem. Pokojowym. Lubującym się w malarstwie płóciennym. Tak się przedstawił, gdy przekroczył próg „Patrycji”, jeszcze bez pampersa na tyłku.

– Chodź wreszcie – pociągnął przyjaciela Historyk – musimy czatować.

– Na co znowu? – Muzyk otworzył usta ze zdziwienia.

– Uważaj, bo szczeka ci wypadnie. Patrz, wyszedł. Ma siatkę na zakupy. Pewnie polazł po te swoje żeberka.

– Swoje to on chyba ma ze sobą. – Muzyk spojrzał na Historyka z wyraźną potrzebą otrzymania odpowiedzi, lecz drugi ze staruszków zbył go machnięciem obu dłoni.

Czatowanie zajęło im tyle czasu, ile Muzykowi zanucenie *Yesterday*. Dlaczego zazwyczaj do celów przeczekania wybierał przeboje Beatlesów, nikt nie wiedział. Nawet on sam. Gdy go pytano, odpowiadał: „To pierwsze, co przychodzi mi do głowy”. Przy dłuższych momentach oczekiwania do głowy wpadało kilka utworów naraz, pomiędzy którymi Muzyk dość sprawnie lawirował, płynnie przechodząc z *Let it be* do *Michelle ma belle*.

– Poszedł po linii najmniejszego oporu – oznajmił Historyk, zaciskając zęby, jakby miały pilnować języka.

– Poszedł po prostu do biedronki – zauważył Muzyk.

– O tym właśnie mówię. Miał najbliżej.

– A po co miał iść dalej? – Muzyk szukał logiki, ale bardzo często takie poszukiwania po wypowiedziach Historyka nie przynosiły pożądanego rezultatu.

– Żeby powybierać. Matylda nie przepada za tą siecią. Woli Lidla – wyjaśnił Historyk, dumnie wypinając pierś.

– A ty skąd o tym wiesz? – Muzyk wyraźnie się zaniepokoił. Wiedział, że Matylda mogła zawrócić w głowie niejednemu patrycjuszowi, ale żeby Historyk, jego kumpel, który wiedział, jak bardzo serce Muzyka przyspiesza na widok tej siwiuteńkiej damy...

– Spokojnie, podsłuchałem, żeby tobie o tym powiedzieć przy okazji, ale zapomniałem. Uznajmy, że mówię właśnie teraz, dobra?

– No dobra – zgodził się czym prędzej Muzyk. Nie miał natury wojownika, w odróżnieniu od swojego przyjaciela. – Skoro kupił tam, gdzie nie lubi, to może nie będzie jej smakować – skwitował z zadowoleniem.

– Mam plan! – Historyk obserwował, jak Paweł wchodzi z reklamówkami z dyskontu do swojego mieszkania w „Patrycji”. – Kupimy to samo w lidlu i też zaprosimy Matyldę na kolację. To znaczy zaprosimy może też Baškę, co?



Paweł minął dwóch krzątających się za domem staruszków, nawet ich nie zauważając. W jego głowie niczym mantra hałaśliwie brzęczały trzy słowa: „żeberka bez cynamonu”. Zamiast zastanowić się, jak dokładnie ma przyrządzić kolację, usiadł przy stole i na paragonie zapisał: „Żeberka Ci zrobię, bo lubisz – tak mówią, bez cynamonu, bo nic Ci nie doda, jesteś najśłodsza bez dopełniaczy, bez dopalaczy i bez słodzików!”.

– Boże, jakie to głupie – powiedział, podarł paragon i wyrzucił

do śmieci. Zrobiłby to samo z cynamonem, gdyby go kupił, ale skoro miało być bez, to będzie bez.

ROZDZIAŁ VIII

NYC, LATA 80.

*Train arrive, sixteen coaches long
Train arrive, sixteen coaches long
Well that long black train got my baby and gone*

Elvis Presley, *Mystery Train*

Śmiała się do rozpuku. To właśnie wtedy postanowiła, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by pozwolić sobie na takie zachowanie. Frywolne, zalotne, ale jednocześnie skupione na najbardziej intymnej czynności. Bo odkryła dla siebie, że bezgraniczny śmiech nie tylko jest możliwy i występuje w przyrodzie, ale również należy do najbardziej osobistych przeżyć. A jak to z takimi bywa, wywiera wpływ, zapada w pamięć i potęguje wspomnienia. Tylko takie chciała mieć, tylko takimi chciała karmić siebie i Michała. Nie wiedziała, jak to się stało, że zamknięcie za sobą pospolitych drzwi w pospolitym bloku w pospolitej, szarej Warszawie i kilkunastogodzinny lot do innego kraju dadzą jej takie właśnie przyzwolenie na zwyczajną-nadzwyczajną radość.

– Nie w tym rzecz, kochanie, zupełnie nie w tym rzecz – mawiał Michał, który mało tego, że zapuścił brodę tuż po wkroczeniu do wynajmowanego niewielkiego domku na przedmieściach, to również rozrzucił korzenie i tylko chodził od okna do okna i je udeptywał, uklepywał, by szybciej się przyjęły.

– Jak to nie? – dziwiła się, po raz setny włączając radio i powtarzając za spikerem: – Gud morning, Nju Jork!

– Beze mnie to nie miałyby żadnego sensu – odpowiadał, wychodząc na taras, by zapalić, a ona podążała za nim,

wiedziona ciekawością jego dalszych rozważań, które na pewno miały nastąpić, czemu za każdym razem sprzyjał papierosowy dym.

– Może i masz rację. – On lubił słyszeć te słowa, więc ona tym bardziej lubiła je wypowiadać. Zresztą robiła to szczerze i z całym przekonaniem. Była ostatnią osobą, która mogłaby nikczemnie torturować rozmówcę graniem i udawaniem. Maria nie umiała tego robić, nad czym czasami srodze ubolewała, zwłaszcza wtedy, gdy życie toczyło się w Szczecinie, a potem w Warszawie. Teraz czuła, że śni swój amerykański sen, który to tak na dobrą sprawę był marzeniem nie jej, lecz Michała; mężczyzny, któremu powiedziała skromne „tak” w skromnym urzędzie na warszawskim Żoliborzu.

– Może? – Michał obruszył się teatralnie i pogłaskał się po brodzie. – Znowu nic nie zauważyłaś? – Pokręcił głową.

Maria zmrużyła oczy i wpatrywała się przez dłuższy czas w twarz męża.

– Pojawiły ci się piegi? – spytała, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Nie wierzę! – wykrzyknął. – Moja własna żona zachowuje się jak mężczyzna, nie zauważa, że podciąłem brode!

– No, nie zauważam – przyznała Marysia. Z brodą czy zupełnie bez, dla niej jej Michał wyglądał tak samo, jak za pierwszym razem, gdy zjawił się w przydługich spodniach od garnituru, który dostał od swojej siostry, a ona miała te spodnie odpowiednio skrócić, by wyglądał nie tylko modnie i elegancko, ale też ładnie.

– Miejsce nie gra roli, kochanie – Michał podjął poprzedni temat – przecież ludzie nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach, trzymając się razem, pokonują przeszkody, historia ma na to niezbite dowody.

– Nie zaczynaj. – Maria wolała igraszki erotyczne od rozważań

filozoficznych. Zwłaszcza że zachód słońca odpowiednio nastrojał, a brak jakichkolwiek osób za ścianą wynajmowanego przez pracodawcę Michała domku zachęcał do wolności i frywolności. – Tu twoja siostra nas nie znajdzie.

Gdy te słowa padały z ust Marysi, Michał zazwyczaj szybko dodawał:

– Ani Genowefa.

Śmiejąc się przy tym, chwycił Marysię pod pośladki, unosił, a ona oplatała nogami jego talię i tak lądowali na łóżku, na pralce, na kuchennym blacie lub nawet na barierce na tarasie na tyłach domu, czyli wszędzie tam, gdzie akurat do takiej zdawkowej wymiany zdań doszło. I choć cała reszta zaczynała się i kończyła dosyć szybko, zarówno jej, jak i jemu to wystarczało.

Gdy było po wszystkim, ona pałaszowała chleb z masłem i szczypiorkiem, on zaciągał się kolejnym papierosem. Pozwalał sobie wówczas na Marlboro i zakładał kowbojski kapelusz znaleziony na poddaszu wynajętego domu. Marysia się śmiała, a on udawał bohatera czarno-białego westernu. Milczeli wspólnie, ciesząc się tym, że potrafią to robić we dwoje.

Był zadowolony, ale zmęczony.

– Może powinieneś odpocząć? Za dużo pracujesz. – To pospolite zdanie wyrywało się raz po raz z jej ust, gdy kowbojski kapelusz z większą częstotliwością lądował na głowie Michała, a zarost przestawał być pielęgnowany z dotychczasową pieczołowitością. Machał wówczas ręką z papierosem.

– Jest dobrze, Maryśka. Mam, co chciałem.

Jego spokój wzbudzał zaufanie. Milczenie na temat wykonywanych obowiązków wynikało z dwóch rzeczy. Pierwszą była tajemnica zawodowa. Wojskowe tajne laboratorium nie mogło zaistnieć w żadnej rozmowie, nawet – a może zwłaszcza – z żoną. Druga rzecz to kwestie *stricte* naukowe, których Marysia

z pewnością nie przyjęłaby do wiadomości, więc po co o tym gadać? I tak mieli wiele innych tematów.

– Widziałeś jego buty? – ekscytowała się Marysia, kręcąc biodrami przed telewizorem, na którego ekranie nogą w białych nogawkach scenicznego kombinezonu wywijał król.

– Zabawne – odparł Michał, smarując tost masłem orzechowym.

– Jesteś taki amerykański ze swoimi przekąskami, a nie doceniasz tego wdzianka – kwitowała Marysia. – Przecież to dzieło sztuki.

– Tak, to trzeba mu przyznać, dość abstrakcyjne – odpowiadał Michał. Nie mógł się nie uśmiechać, widząc Marię naśladowującą podrygiwania.

– Nic nie rozumiesz! – śmiała się z lekkim wyrzutem. Lubiała tego gościa z telewizora. Miał piękny wokal i piękne kostiumy. No i był przystojny, nie ma co tego ukrywać. Miała do niego słabość, oczywiście platoniczną. Gdy w radiu leciała jego piosenka, zachowywała się jak prawdziwa fanka, w dodatku małaletnia. Nie przeszkadzało jej to. Zastanawiała się tylko wówczas, co się stało z jej powściągliwością, powagą, statecznością. Z drugiej strony cała ta Ameryka wciąż otwierała ją na nowe. Maria była tym zachwycona. Poczucie winy przychodziło, ale był na nie lek: piosenki Elvisa. A tęsknota? Starła się nią nie przejmować. Gdy się nie udawało, ona się udawała. W małą podróż. Miejsce docelowe znajdowało się w pewnej odległości od domu. I w gruncie rzeczy o to właśnie chodziło.

Chodziło też o ludzi: pieszych, rowerzystów, tych dużych i małych, z psami i bez, byle jak najwięcej przed jej oczami. Kawiarnie wybierała na chybił trafił. Nie kierowała się żadnymi stałymi kryteriami, przynajmniej tak jej się wydawało. Raczej pozwalała się porwać chwili. A to z kolei pomagało jej zwracać uwagę na rzeczy do tej pory nieistotne. Dziwiła się, jak mogła

tęgo nie zauważać w przeszłości, „w tej smutnej Warszawie”, mogłaby wówczas rzec, zupełnie niesprawiedliwie oceniając swoje życie, otoczenie, ludzi dookoła. Tymi rzeczami był bluszcz okalający ścianę budynku. Motyl, który nagle pojawiał się zupełnie nie na środku Madison Square Park, lecz gdy przechodziła przez zatłoczony Manhattan, albo finezyjnie upięty kok zupełnie nieznanym Afroamerykanki w kwiecistej sukience, siedzącej na patio podrzędnej kawiarenki w dzielnicy, której Maria jeszcze nie znała. To były jej cudowne spostrzeżenia. Tak je zaczęła określać, kiedy się okazało, że kładąc się wieczorem spać, rozpamiętuje właśnie te chwile – chwile zauważania drobnostek. A skoro myśli o takich pierdołach przed zaśnięciem, a usta same przy tym rozciągają się w uśmiechu, to coś musi być na rzeczy.

Tęgo dnia usiadła na parapecie. Był szeroki, drewniany i niski, przy wielkim kawiarnianym oknie. Za oknem widziała deszcz, który cieszył. No tak – skwitowała w myślach – łatwo jest cieszyć się deszczem, korzystając z samochodu i siedząc w kawiarni, gdzie popija się latte z cynamonem. Nie musiała być tęgo dnia przechodniem ani spieszącą do metra pracownicą banku. Nie miała też zadbanych dłoni ani pomalowanych na czerwono paznokci, jak chociażby ta dziewczyna stojąca na przystanku autobusowym i trzymająca nad głową parasolkę w wielkie grochy. Jej paznokcie były zadbane. Na stopach miała pantofelki, które Maria widywała na ulicach nowego miasta. Sama jednak by sobie na takie nie pozwoliła. Pozwalała za to na latte z cynamonem i na niewielkie kawałki materiału z promocji. W kawiarni obmyślała krój, a potem wracała do domu, by rozłożyć się na podłodze z tkaniną i zacząć kawiarniany plan wprowadzać w życie.

– Nad czym tak myślisz? – spytała kobieta, która podeszła do parapetu i bezceremonialnie przysiadła po drugiej jego stronie. Dłońmi trzymała filiżankę cappuccino i kanapkę. Skupiając wzrok na Marii, sporadycznie zerknęła gdzieś w bok. Jej blond loki były zebrane w kucyk, który z jednej strony dodawał jej

dziewczęcej nonszalancji i beztroski, z drugiej jednak uwydatniał zmęczone oczy i pomarszczoną skórę szyi. Kokardka na kucyku nie pasowała do niczego. Była różowa, jakby przeznaczona dla małej dziewczynki, a nie dla kobiety w ołówkowej spódnicy i żakiecie z poduszkami przy ramionach.

– Jestem Steffi. Lubię, jak tak do mnie mówią. – Kobieta wyciągnęła ku Marysi dłoń, na której widniały ślady ciężkiej pracy. I choć paznokcie miała pomalowane, w tym przypadku było to jakby zupełnie nie na miejscu.

– Cześć – odezwała się Maria niepewnie, ale z zaciekawieniem, i uścisnęła szorstką dłoń Steffi.

– Miło mi cię wreszcie poznać – powiedziała nieznajoma, ponownie zerkając w bok.

Maria powiodła wzrokiem za spojrzeniem Steffi, lecz nie bardzo wiedziała, na co patrzeć. W kąciu dziecięcym bawiło się kilkoro dzieci. Nieco dalej siedziała niepełnosprawna dziewczynka na wózku, a jeszcze dalej cukiernik wykladał na ladę dopiero upieczony tort.

– Jak to: wreszcie? – spytała ze zdziwieniem.

– Pracuję z Majkelem. – Rozmówczyni uśmiechnęła się uroczo.

– Z kim? – Marysia nie umiała odnaleźć sensu słów, jakie wypowiadała do niej nieznajoma kobieta. Może ją z kimś pomyliła? – Ja nie...

– Z twoim mężem! – wykrzyknęła tamta. – Jak na niego mówicie? Miiikchał, o tak!

– Ach, z Michałem. – Maria uniosła brwi. Michał nic nie wspominał o żadnej Steffi, z którą pracuje. Ani o jej zmęczonych dłoniach, ani zalotnych blond lokach. Maria poczuła niepokój.

– Ma twoją fotografię w laboratorium, od razu cię poznałam. Jesteś taka nietutejsza.

Marii wydawało się, że Steffi lustruje ją od stóp do głów,

zupełnie nie przejmując się tym, co wypada, a co niezbyt.

– Oj, moja droga, no chciałabym się tobie przyjrzeć, nie robie chyba nic złego, co? A może ty masz coś do ukrycia? – trajkotała jak najęta. A Maria z lekkim zawstydzeniem podkurczyła nogi, by nie afiszować się swoimi polskimi bucikami i pończoszkami zupełnie nie z tej bajki.

Steffi była światowa. Choć Maria nie pojęła do końca znaczenia tego słowa, to koleżanka męża tak się jej właśnie kojarzyła. Wygadana, elegancka, pijąca kawę w kawiarni w trakcie dnia pracy, kiedy Michał ślęczał nad mikroskopem... a przecież razem pracowali. Oho! Musiała mieć wyższe stanowisko w tym laboratorium. A może była sekretarką jakiegoś szefa i mogła sobie pozwolić na więcej. Ciekawe dlaczego?

Skarciła się za te myśli, ale mimo to nie chciały opuścić jej głowy.

– Nic nie mówisz, a jestem taka ciekawa, jak się zadomowiłaś, co porabiasz w wolnym czasie, jak ci idzie z angielskim, i w ogóle tyle mogłabyś mi poopowiadać! Ja tobie w zasadzie też, wiesz, co mam na myśli? – Steffi zrobiła tajemniczą minę, a Marii wydało się to nie na miejscu, i to bardzo. O czym ona, do cholery, miałyby jej opowiadać?!

Posłała Steffi ciepły uśmiech, choć uczucia miała mieszane. Nie lubiła ich, bo nie wiedziała, czy polubiła Steffi. Coś nie do końca jej pasowało w zachowaniu tej kobiety. Ponownie skarciła się w myślach, tym razem za osądzanie i szukanie drugiego dna, i wypaliła:

– Szyję, wiesz. Tak dla siebie. Uszyłam tę sukienkę, którą mam na sobie.

Steffi właśnie znów się rozglądała po kawiarni, ale gdy zwróciła wzrok na Marysię, jej oczy błyszczały.

– Mówisz poważnie? Nie spotkałam nikogo, kto by umiał robić

tak piękne rzeczy! – pochwalila i dotknęła rąbka spódnicy nowej znajomej. – Jest piękna!

– No co ty! – Maria zaczerwieniła się jak mały dzieciak.

– Musisz szyć! Masz talent. Dlaczego tylko dla siebie? Szyj na skalę masową! Przecież nie macie dzieci, możesz się temu poświęcić. Już ja wiem, co mówię, mnóstwo moich koleżanek będzie chciało chodzić w takich sukienkach. Gwarantuję. Co o tym sądzisz? Na pewno jesteś teraz trochę oszołomiona, a twoja polska skromność nie pozwoli ci się ze mną zgodzić, ale dam ci kilka dni do namysłu i jak się spotkamy na ploteczki, to zapewniam cię, że sama mi powiesz: „Wchodzę w to!”, a wtedy już ja się tobą zajmę, moja droga...

Steffi nie przestawała gadać. Marysia z kolei już dawno przestała słuchać. Poczowała, że boli ją głowa, a to za oceanem zdarzyło się po raz pierwszy. Chwyciła więc torebkę, spojrzała wymownie na zegarek i modląc się w duchu, by nie wyjść na beczelną, oznajmiła:

– Ojej, muszę już iść. Miło mi było cię poznać!

Uśmiechnęła się szeroko i trochę na siłę, a potem wyszła prosto w strugi deszczu, który przyniósł jej na chwilę ukojenie. Mokra sukienka przykleiła się do ud, gdy tylko wsiadła do starego auta. Wilgoć nie przeszkadzała, choć w innych okolicznościach z pewnością dawałaby się we znaki.

Dotarła do domu w zamyśleniu i zupełnie nie reagując na mijane widoki. Prędkościomierz wskazywał więcej niż zazwyczaj, noga całym swoim ciężarem dusiła pedał gazu.

A ona też się dusiła w tej swojej nagłej radości do całego świata, zapominając, że wystarczy chwila nieuwagi, by wszystko runęło w gruzy, jak zwykle ma to miejsce. I nieważne, gdzie się znajdujesz: w Warszawie, Szczecinie czy może samym Nowym Jorku!



– Kim jest Steffi? – nie wytrzymała. Siedziała resztę dnia z igłą i nitką w ręku, nie dotykając skrawka materiału. Mimo późnej pory miała na sobie tę samą sukienkę, która zdążyła na niej przeschnąć i nieco oklapnąć. A może to sama Marysia oklapła, pograżając się we własnych myślach.

– Moją szefową – powiedział bez zająknięcia Michał, wchodząc do domu.

Marysia zaniemówiła. Podążając za stereotypowymi historyjkami, sądziła, że skoro razem pracują, to jest jakaś sekretarka. Blond loczki upięte w wysoki kucyk same na to wskazywały. Ale szefowa? Laboratorium badawczego? Jak to możliwe?

– A coś z nią nie tak? – spytał Michał, dając żonie całusa i zaglądając do pustego garnka stojącego na kuchence. Obok garnka leżało rozmrożone mięso kurczaka i nieobrane ziemniaki. – Co chciałaś zrobić na obiad? – znów padło pytanie.

Marysia wzruszyła ramionami, a on pokiwał głową i zakasał rękawy. Jego ruchy były precyzyjne; obierał ziemniaki ze stoickim spokojem, jakiego zabrakło dziś jego żonie. Dlaczego w ogóle jakaś tam Steffi siedziała w jej głowie? Na co to komu?

– Fajna jest? – spytała, jakby nie mogła się pohamować.

– Normalna – odparł Michał.

– O nie! Tylko nie normalna! – zachnęła się Maria.

– Nie? – zdziwił się Michał. W końcu się roześmiał. – No, może ma lekkiego bzika, no wiesz, jak my wszyscy.

Miał na myśli naukowców. O tym Maria wiedziała doskonale. Czyli mało tego, że Steffi była „normalna”, to jeszcze na tyle „normalna” w rozumieniu Michała, że miała bzika – tak samo jak on – na punkcie swojej pracy naukowej.

– Mryśka – zagadnął po chwili milczenia Michał. – O co chodzi? Tylko mi tu całą prawdę i tylko prawdę poproszę. – Ziemniaki z pluskiem wylądowały w garnku na włączonym ogniu. Michał westchnął, spoglądając na mało urodziwe udka kurczaka, i zajrzał do lodówki. – Dziś będzie całkiem po polsku, ziemniaki z mizerią, co ty na to?

Jego żona pokiwała głową na zgodę, a potem zebrała się na odwagę.

– Bo ona jest taka jakaś, sama nie wiem. – Skrzywiła się, wciąż trzymając igłę, którą teraz machnęła w powietrzu. – Bałamutna.

– Mizeria? – zdziwił się Michał.

– Nie, Steffi.

– To prawda, ale tylko na kawie. W laboratorium poza mikroskopem świata nie widzi. I wypowiada maksymalnie dwa słowa w ciągu dnia pracy.

– Nie wierzę! Chyba mówimy o dwóch różnych osobach! – zaśmiała się Maria nieco nerwowo.

– A dziś jej nie było – kontynuował Michał, tym razem krojąc ogórki.

– Była za to u Blacka – skwitowała Maria z grymasem, uzewnętrzniając swoje niezadowolenie.

– W którejś kolejnej kawiarence? – Marii wydawało się, że przez słowa Michała sączył się żal. O czas, a może kawę, a może o nieobecność Steffi w pracy?

– Tak, żebyś wiedział – fuknęła, wciskając igłę w poduszczkę w kształcie jeża. Trafiła go w sam środek zadka.

– Piłaś latte z cynamonem? – zagaił ponownie znad gotowej już prawie mizerii.

– Tak, a ona cappuccino.

– I jak?

– Co jak? Nie wiem jak, trajkotała jak najęta, mówiła, że ładnie szyję.

– Bo to prawda. Ale jak latte? Tak samo dobra jak u Fernanda?

– A co cię tak kawa interesuje? – Marysia poderwała się wreszcie z krzesła, czując, jak bardzo zeszywniał jej kręgosłup i jak ścierpła pupa. Pomasowała pośladki, jęcząc, i dopiero wówczas się zorientowała, jak bardzo ten widok rozbawił jej męża.

– Ty mnie interesujesz, i wszystko, co z tobą związane; kawa, jaką lubisz, też. Ale w tej chwili to najbardziej zainteresowało mnie to takie obmacywanie się po pupie z jękami w tle. Czy mogłabyś powtórzyć? – Michał, nie odrywając wzroku od Marii, sięgnął po kowbojski kapelusz i wyciągnął papierosa z nowej paczki. – I jakbyś mogła też przenieść dłoń tak tu wyżej, do przodu, o tu... – Wskazał podbródkiem na piersi Marysi.

ROZDZIAŁ IX

Lonely rivers flow to the sea, to the sea

To the open arms of the sea

Elvis Presley, *Unchained Melody*

– Co ty wyprawiasz? – Maria stała w drzwiach z chochlą. Wymachiwała nią na prawo i lewo, zapominając, że przed chwilą nalewała tym kuchennym przyrządem barszcz ukraiński. Może to i lepiej, bo widok delikatnych zacieków na ścianie w przedpokoju z pewnością nie złagodziłby jej furii.

– Ja? – przeciągłe „a” Genowefy brzmiało co najmniej jak z repertuaru Violetty Villas.

– Chcesz, żeby cię zamordował w ciemnej bramie? – Chochła wciąż połyskiwała w powietrzu, na szczęście już nie okraszała ścian.

– Kto? – Przeciągłe „o” ponownie przywoływało na myśl wokalistkę sprzed wielu lat.

– Łotr – ucięła krótko Marysia, wchodząc do kuchni. Oczekiwała, że Genowefa posłusznie podrepcze za nią. Tak też

się stało. Gdy zupa została rozlana, tym razem do talerzy, a Gienia chwyciła łyżkę z zamiarem podniesienia jej do ust, Maria krzyknęła: – Nie!

Genowefa zamarła z rozdziawioną buzią. Dłoń z wykrzywionymi palcami powoli traciła zdolność utrzymania sztućca, więc zupa zaczęła skapywać z powrotem do talerza.

– O, tak właśnie będziesz wyglądać. Z rozdziawioną paszczą i krwawymi śladami dookoła.

– Kiedy? – Przyjaciółka najwyraźniej wreszcie się przestraszyła, chociaż zupełnie nic nie rozumiała.

– Jak cię zamorduje – odpowiedziała Maria, tym razem ze spokojem w głosie, i zaczęła zajadać barszcz.

– Dlaczego? – Gienia zmartwiła się nie na żarty.

– Boisz się? I o to chodziło. Bo zaczepiać na ulicy łotra to się jakoś nie bałaś. Chciałam ci uzmysłwić, czym takie znajomości mogą się skończyć. Co ci też przyszło do głowy?

– O czym ty mówisz, kobieto? – Gienia nie wytrzymała. Teraz to ona gotowa była machać na wszystkie strony chochlą, a może nawet i całym garnkiem.

– Ja też potrafię wszystko widzieć, jak Wanda – oznajmiła Maria i zmrużyła oczy. Miała nadzieję, że będzie wyglądać na bardzo przebiegłą.

– A bliżej brzegu byś mogła, Sherlocku? – Genowefie znudziły się zagadki kryminalne. Burczenie w brzuchu sprowadziło ją na właściwe tory, zaczęła więc pałaszować zupę, mlaskając przy tym niemilosiernie. – I nie zwracaj mi uwagi. Młasczę, bo smaczne – uprzedziła przyjaciółkę. – Poza tym poznałam fajnego chłopaka. Odlejesz mu w słoiczek, zaniosę, dobra?

Gdyby nie to ostatnie zdanie, Marysia być może przeszłaby nad swoją wcześniejszą furia do porządku dziennego i dałaby Gieni spokój. Teraz jednak mało tego, że zakrztusiła się barszczem, to jeszcze próbując odkasłać, opluła stół i krzesło

bordową ciecżą.

– Fajnego chłopaka z ogoloną głową i pijacką mordą? – nie wytrzymała. Wstała, zabrała talerze z niedojedzoną zupą i wrzuciła je z impetem do zlewu.

– Ostatni raz robiłyśmy to razem na ślubie twojego męża – westchnęła Genowefa z rozrzewnieniem, jakby wspominała stare dobre czasy. A tamte czasy były wprawdzie stare, ale niezbyt dobre.

– Twojego brata raczej – sprostowała Maria.

– Męża Alicji zresztą – podsumowała Genowefa.

– Nie mydl mi tu oczu – poprosiła Maria z odrobiną uprzejmości w głosie. Tylko na tyle było ją stać. – Nie waż mi się zadawać z tym młodzieńcem.

– Oj Mryśka, gadasz jak stara baba...

– Jestem starą babą! I ty też nią jesteś, to tak gwoli przypomnienia. Jak nie wierzysz, spójrz na swoje pokraccze paluchy! – Maryśka poszła po bandzie, czego była w pełni świadoma, lecz nie знаła innego sposobu na wyłożenie argumentów.

– No właśnie – zgodziła się Genowefa, na wszelki wypadek zerkając pod stołem na dłonie dotknięte reumatyzmem. – Jestem stara i mogę się zatroszczyć o młodzieńca w potrzebie.

– W jakiej potrzebie? Co ty gadasz? Tacy jak on siedzą na ławeczkach i ryczą do siebie! – Przyjaciółka zacytowała przypadkiem tekst jednej z nielicznych polskich piosenek z końcówki poprzedniego wieku, za którymi szczerze przepadała. W tej chwili pasowała idealnie, choć Maria wcale nie była z tego zadowolona.

– Mryśka, chłopak zbiera kasę na schronisko, opowiedział mi. Nie zebrze; albo gra na gitarze na Wilsoniaku, albo pod biedrą czatuje na staruszki i odprowadza je do domu, pomagając z zakupami. Czyż to nie piękna postawa?

- Na Wilsoniaku? Od kiedy używasz takiego słownictwa?
- A wiesz, że Żoliborz to nie nazwa dzielnicy, tylko stan umysłu? – Gienia uśmiechnęła się od ucha do ucha, mając nadzieję, że rozbawi przyjaciółkę.
- Ty masz zamroczony umysł. Może do doktora Pralinki się wybierzesz, może coś ci się tego? – Maria uniosła palec wskazujący do skroni i postukała w nią delikatnie.
- Mryśka, martwisz się o mnie jak zwykle, to miłe, ale daj spokój biednemu Bogusiowi.
- Komu? – Maria poczuła przemożną chęć walnięcia kubkiem o podłogę, lecz powstrzymała się resztkami woli.
- Ładne ma imię, prawda? – skwitowała Gienia, czym zupełnie wytrąciła drugą staruszkę z równowagi.
- Masz zakaz spotykania się z tym... z tym... gówniarzem! – wycedziła przez zęby.
- Mamo, wybaczone, ale nie będziesz mi rozkazywać. – Kpina w głosie Genowefy należała do tych wcześniej niespotykanych. Przynajmniej nie w ostatnich dziesięcioleciach. Do historii zaprzeszłej, gdy obie kobiety nie kryły wrogości, nie należało teraz wracać. No bo i po co?
- Zachowujesz się jak gówniara!
- A ty w dalszym ciągu jak stara baba!
- Bo nią jestem, na litość boską!
- Gdyby tu była Alicja, toby wzięła moją stronę – powiedziała spokojnie Gienia, wyciągając z kieszeni kamień. Był czarny, co z reguły się nie zdarzało.
- Nawet kamień już nie ma duszy! Przeszłaś na ciemną stronę mocy! – odpowiedziała Maria. – Tak cię zbałamucił ten twój Boguś. Po co ty z nim się w ogóle zadajesz?
- To nietoperz – spokój Genowefy w dalszym ciągu potrafił wytrącić Marię z równowagi. Był oznaką pewności siebie, a tego

Maria z pewnych powodów nie lubiła. Nie to, że chciałyby, aby jej przyjaciółka należała do osób zagubionych, nic z tych rzeczy. Chodziło raczej o to, że w takich sytuacjach zazwyczaj udowadniała drugiej ze staruszek, że to ona – Marysia – nie ma racji.

– Chcesz powiedzieć, że Boguś jest wampirem? Tego jeszcze brakowało. Lepiej mnie nie strasz, bo od kilku dni jestem w stanie uwierzyć we wszystko.

– Mówię o kamieniu.

– Że co proszę? – Maria poczuła, że opuszczają ją siły. Była głodna. Po co wylała ten nieszczęsny barszcz do zlewu? Wyjęła z szafki dwa talerze, podeszła do garnka i wlała do każdego porcję parującego wywaru, wciągając nosem aromat czosnku i majeranku.

– Kamień jest nietoperzem, dlatego jest czarny. Mryśka, czy ty się dobrze czujesz? Dlaczego dziś wszystko trzeba ci dwa razy tłumaczyć? – Genowefa się zaniepokoiła.

– Nie odwracaj kota ogonem – burknęła Maria, stawiając zupę na stole, tym razem delikatniej, choć nadal miała chęć przywalić czymś tłuścącym się w coś twardego, najlepiej w ścianę. Gdy poczuła ciepło barszczu rozchodzące się po przelyku, wreszcie załapała ją fala upragnionego spokoju. – No dobra, to od początku, bo jestem już zmęczona tą rozmową.

– Nareszcie – westchnęła Gienia.

– Po co ci ten Boguś?

– Po nic, pomógł mi z zakupami, skomplementował kamienie, porozmawialiśmy. Wiesz, jak młódzież ma teraz pod górkę? Pracy szuka, a co z tego, że łysy...

– A widziałaś tatuaż?

– Zrobiłaś sobie? No nie! – Genowefa z wrażenia odłożyła łyżkę na stół i odsunęła talerz.

– Jego tatuaż czy widziałaś, głupia babo!

– Nie – ucięła Gienia z wyraźnie mniejszą ekscytacją. Powróciła do jedzenia.

Marysia poczuła, że wreszcie jest górą i będzie mogła otworzyć oczy przyjaciółki na całą sytuację.

– Swastyka – powiedziała, podnosząc łyżkę z barszczem do ust.

– O matko, kiedy to było! – Genowefa wróciła. Taka nielogiczna, niekumata i z brakiem pewności siebie. Nareszcie! Druga już mogła triumfować.

– Nie tak dawno, jakieś – Maria zerknęła na zegar z kukułką – czterdzieści minut temu.

– Co ty mówisz? – W oczach Genowefy czaił się strach. No nic dziwnego. I choć Marysi było przykro z powodu takiego obrotu sprawy, to jednak nie widziała innej drogi do prawdy.

– Boguś ma na ramieniu wytatuowaną swastykę. Widziałam przez okno. Gieńka, on jest narodowcem!



Joanna przebudziła się, czując ból głowy i suchość w ustach. Przez chwilę nie wiedziała, czy ma się przerazić tymi odczuciami, czy lecieć do lekarza, czy do apteczki po wspomagacze antygrypowe. Oparła się łokciem o coś twardego, na dłoni złożyła zaś pękającą głowę. Ziewnęła przeciągle i głośno, pozwalając sobie na zwieńczenie tego wyczynu głośnym mlaskaniem. Już miała podjąć decyzję, skłaniając się ku szybkiemu wyjściu z domu, by ograniczyć przebywanie w takim stanie z matką do minimum, ale nagle zauważyła, gdzie się znajduje. Siedziała, a właściwie pólleżała na krześle, przy drewnianym stole, wcale nie u siebie w domu. Poderwała

się z miejsca z prędkością światła, z tą samą prędkością świat zawirował w jej głowie. Poczowała mdłości, lecz nie umiała sprecyzować ich przyczyny. Były ich bowiem co najmniej dwie. Pierwsza, oczywista, to kac. Druga natomiast była jeszcze bardziej prawdopodobna – miejsce, w którym się znajdowała. Mieszkanko na poddaszu było małe, na stole nie było nawet śladu po wczorajszej kolacji. Zegar w mikrofalówce wskazywał za kwadrans szóstą rano, przynajmniej Joanna taką miała nadzieję. Spojrzała na siebie, leciutko pochylając głowę, mrużąc przy tym oczy w obawie przed nasileniem się bólu głowy i tego, co może albo czego może nie ujrzeć. Odetchnęła z ulgą, gdy jednak zobaczyła całą swoją wczorajszą garderobę na miejscu, czyli na tułowiu, nogach, pośladkach, stopach. Z takim samym wysiłkiem i lękiem obejrzała się za siebie. Na łóżku Anastazji spał Paweł, zawinięty w kołdrę córki od kolan do głowy, z wystawionymi spod okrycia stopami. Joanna skrzywiła się nieco. Nie pamiętała za wiele. Jedyne żeberka i ciągle powtarzanie przez Pawła jakiegoś magicznego zaklęcia: „Bez cynamonu”. Usłyszała to przynajmniej z siedem razy, zanim... No właśnie, zanim Paweł otworzył wino, które – zdaje się – Joanna wypila sama. O czym rozmawiali, co robili? Tego nie była w stanie sobie przypomnieć. Dostrzegła, że drugie łóżko jest również pościelone. Zmięta poduszka i zsunięta z mebla kołdra mogły świadczyć o tym, że ktoś na nim dzisiejszej nocy leżał.

– O matko – wydukała Joanna, która w tym momencie marzyła o tym, by przeistoczyć się w zgryźliwą Małą Mi, lecz nawet na to nie miała siły. Jedyne, co przyszło jej do głowy, to jak najszybsze opuszczenie miejsca, w którym się znajdowała. Zrobiła to więc, nie bez trudu wywołanego wszelkimi możliwymi skutkami ubocznymi przedawkowania wina, czerwonego, półsłodkiego, smacznego – aż tyle informacji zdołała sobie przypomnieć, wychodząc z mieszkanka i po cichu zamykając za sobą drzwi.

Na korytarzu było ciemno. Ta ciemność ratowała. Joanna

miała wrażenie, że skrada się w lochu jakiegoś zamku, wtapiając się w mrok. Pojawienie się zjawy na drodze nie przeszkodziło jej w powolnym przemieszczaniu się wzdłuż ściany. Choć wydawało jej się, że mknie niczym rozpedzony bolid, szybko uświadomiła sobie, że wykonuje ruchy bardzo zbliżone do tych lunatykującej Małgoški. Różnica była tylko jedna: Małgoška miała ponad osiemdziesiąt lat, Joanna znacznie mniej.

– O matko! – Znów tylko na tyle było stać Małą Mi, którą powolutku się stawiała, co odnotowała z wielką radością, jakiej nie była jednak w stanie okazać.

– O matce nic nie wiem, najdroższa, a czy ty miałaś od niej jakieś wieści? – usłyszała naraz Joanna, więc stanęła jak wryta. Miała nadzieję, że Małgoška jej tu nie zauważy, chociaż nawet jeśli, zapewne nie będzie nic pamiętać. Jednak ktoś jak zwykle nie zamknął szafy i staruszka, stojąc twarzą do lustra, patrzyła na swoje odbicie, oświetlone światłem ulicznej latarni, na drugim planie zaś widniała niezbyt apetyczna twarz Małej Mi. – Mogłaby się odezwać, choćby zza grobu. – Nagle wzrok Małgorzaty, wciąż wpatrzonej w zwierciadło, powędrował lekko w bok. Jej oczy napotkały wzrok Joanny, a na ustach pojawił się bliżej nieokreślony grymas. – O matko! – wydukała – toż to ty, matulu, z zaświatów do nas przychodzisz! Spójrz, siostrzyczko, czy widzisz to, co ja? Moje modły zostały wysłuchane, matula przyszła do nas z wizytą. Widać, żeś przeszła swoje, matuleńko najmilsza...

Joanna przełknęła ślinę i wzięła nogi za pas. Przynajmniej tak to sobie wyobraziła. Tymczasem nogi za przysłowiowym pasem przez chwilę stały, jakby je w ziemię wkopano, a potem zaczęły przesuwać się w żółtym tempie, niosąc swoją właścicielkę w zupełnie innym kierunku niż pożądana w tej chwili sina dał.

– Matulu, nie odchodź! – wpadła w lament zjawy Małgoška, a Joanna, usłyszawszy ten zawodzący ton, poważnie zaczęła się obawiać, że za chwilę dobiegnie on uszu czujnych patrycjuszy

z tego piętra. Postanowiła więc, że lepiej będzie, jeśli jednak zostanie jeszcze przez chwilę, pogapi się na staruszkę, da jej jakiś znak Boży, czy co tam może dać jej matka z zaświatów, i dopiero wtedy sobie pójdzie. Może tak się to wszystko uda załatwić w miarę po cichu i bez komplikacji.

Lecz zanim umysł zdążył dać impuls do pozostania nogom, te wykonały kolejne kroki w ową stronę, a reszta tułowia zdążyła zawrócić, by stanąć w miejscu widocznym w lustrze i... Joanna z hukiem runęła na podłogę.

– O matko! – To nie był jeden głos. Brzmiało jak chóralna wstawka przed refrenem, śpiewana co najmniej na głosy cztery. Tak zwany most łączący zwrotkę z refrenem nie ucichł. Brzmiał w uszach Joanny jeszcze długo. Nie była pewna, czy to nie echo rozbrzmiewające w jej głowie. Miała nadzieję, że tak. Jednak gdy podniosła wzrok, ujrzała siedem siwych głów wystawionych zza uchylonych drzwi do siedmiu pokoi. Policzyła. Siedem. Małgośka natomiast oddalała się krokiem zjawy w kierunku schodów i już po chwili znikła za rogiem korytarza.

– Spać – warknęła Mała Mi i siedem głów zniknęło bezpowrotnie.

– Pomogę – wymamrotał Paweł, który nagle pojawił się tuż obok niej. Joanna już zamierzała zaprotestować, ale ból i zawroty głowy skutecznie jej w tym przeszkodziły. – No, Asiu – zachęcił.

– Uhu – burknęła, a potem, gdy wsparta o Pawła dotarła szczęśliwie do swojego gabinetu i usiadła przy biurku... o tak, uparła się, że tam będzie jej najlepiej, ignorując wygodny fotel... chwyciła ołówek, postukała nim o blat biurka i oficjalnym tonem zażądała: – Sprawozdanie proszę!

– Jakie sprawozdanie? – Paweł zająknął się aż dwa razy, dając wyraz swojemu zadziwieniu. Tak wczesna pora nie sprzyjała klarownym myślom, podobnie widok, jaki miał przed oczami.

– Co się wydarzyło tej nocy, co się tej nocy nie wydarzyło,

dlaczego obudziłam się na stole? – Tu Mała Mi urwała, załując ostatniego członu pytania. – Wróć! Skupmy się na tym, co się wydarzyło – powiedziała i potarła skronie.

– Smakowały ci żeberka – zaczął Paweł, ale Joanna nagle sobie o czymś przypomniała i podniosła dłoń. „Stop”.

– O co chodzi z tym cynamonem? – spytała i utkwiała wzrok w lekko zmieszanym Pawle.

– No, podobno nie lubisz. – Paweł mrugnął prawym okiem, by poczuć się pewniej. Nie poczuł się jednak, więc mrugnął też lewym. Tak na wszelki wypadek.

– Fakt. W szarlotce.

– No tak, ale szarlotki nie zjadłem.

– Aha.

Poziom rozmowy bardzo przypominał ten przedszkolny. Takie odczucie przynajmniej miała Mała Mi. Jak wówczas, gdy January – zawsze zastanawiała się, jak go zdrabniać, by było dobrze, bo imię w pełnym swoim brzmieniu wyglądało na kpinę z kolegi – upewniał się, czy aby na pewno Joanna i jej koleżanka Jowita potrzebują czerwonej plasteliny do ulepienia świateł drogowych, jakby nie mogły użyć fioletowej. Ano nie mogły, takie były realia.

– I? – drażyla, poganiając Pawła machaniem ręki.

– I zjedliśmy sobie, i rozmawialiśmy, i śmiałaś się. – Paweł się uśmiechnął. Poczuł, jak ciepło rozlewa się po jego brzuchu, a łaskotanie w okolicy pępka niezmiernie go zaskoczyło.

Joanna przełknęła ślinę.

– Przejdź może do rzeczy – poprosiła ściszym głosem, chcąc już mieć tę rozmowę za sobą.

– Posłuchaj, bardzo smakowało ci wino. Nie sądziłem, że... – Paweł dobierał odpowiednie słowa, a Joanna przypatrywała mu się z nieskrywaną ciekawością – że jesteś smakoszem na urlopie

– dokończył, a gdy oczy rozmówczyni ze zdziwienia zwiększyły się co najmniej trzykrotnie, dodał: – No, że lubisz, ale dawno nie piłaś, i nie mogłem cię powstrzymywać, a później to zaczęłaś śpiewać, zresztą bardzo ładnie, i zasnęłaś. Tak nagle. W refrenie. Pomiedzy „powietrznych” i „swych huśtawkach”. Wcześniej mówiłaś, że Niemen jest mistrzem, zgodziłem się oczywiście z tym w stu procentach, miałem nawet zacząć śpiewać na drugi głos, ale chyba lepiej, że tak znienacka usnęłaś. Przeniosłem cię na łóżko, a sam posprzątałem i położyłem się u Nastki, no a rano to się obudziłem, gdy usłyszałem huk.

– Aha. – Joanna odwróciła wzrok ku oknu, a potem nagle zaczęła się śmiać. – Ostatni raz śpiewałam w podstawówce, gdy wracałam z dyskoteki do domu. Z moją koleżanką... jejku, nawet nie pamiętam jej imienia. Matka zabroniła mi się z nią spotykać, i oczywiście chodzić na dyskoteki też. Tak ją moja radość wkurzała. Aż zapomniałam... – urwała, wycierając łzy. Już się nie śmiała.

– O czym? – spytał Paweł, podchodząc do niej. Przykucnął obok i oparł jej głowę o swoją pierś.

– O tym, jak to się robi – wydukała. Czuła się dobrze. Wreszcie poczuła się tak zwyczajnie dobrze. Było jej ciepło, a nagle poczucie bezpieczeństwa, którego również nie pamiętała, kazało się sobie dziwić i je podziwiać. Joanna, pragnąc nasycić się tak dużą dawką normalności, przyłgnęła do Pawła, a ręce samoczynnie oplotły jego barki. Wciągnęła mocno jego zapach. Zwietrzałe perfumy z lekką domieszką aromatu skóry. Podobał jej się jego zapach. To pierwszy zapach mężczyzny, który pozwoliła sobie upodobać.

Po chwili jednak cofnęła ręce. Wyprostowała się, uniosła klapę laptopa i nie patrząc na Pawła, powiedziała:

– Mam dużo pracy, przepraszam.



Gdy wszedł do mieszkania, zauważył, że tuż za drzwiami leży koperta. Złożony na pół anonim brzmiał groźnie. Wycięte z kolorowych czasopism litery krzyczały: „Dziś. W samo południe. Pojedynek. Na śmierć i życie!”. Paweł rozejrzał się po mieszkaniu. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek tu był. Zresztą, przecież list wsunięto pod drzwi, więc jego obawy o to, że za chwilę ktoś wyskoczy z szafy i walnie go czymś ciężkim, nie były uzasadnione. Sam anonim natomiast nie skłaniał do radości, bynajmniej. Wręcz przeciwnie. Z drugiej strony, zapewne to był jakiś głupi żart, chociaż... Gdyby mieszkał w szkole z internatem, to faktycznie mogłoby to być żartem, ale w domu spokojnej starości? Paweł się wzdrygnął. Już chciał biec z powrotem do Joanny, która jako dyrektorka placówki powinna zostać wtajemniczona w dziwną sprawę, jaka niewątpliwie zaistniała bądź zaistnieje w samo południe, lecz tuż przy drzwiach zatrzymał się i wrócił do stołu. Nie, nie może jej zawracać głowy. A jeśli narazi ją na niebezpieczeństwo? Musi sobie poradzić sam. Niestety, w anonimie nie było mowy o miejscu pojedynku, ani nawet słowa, na co miałby się pojedynkować i z kim.

– Co za bzdury! – powiedział sam do siebie i w tym momencie usłyszał odpowiedź.

– Miau.

– Co? – zapytał, podnosząc wzrok.

– Miau – usłyszał ponownie.

Rozejrzał się i podszedł do drzwi prowadzących do wyjścia bezpośrednio na zewnątrz. Otworzył je bardzo ostrożnie, a do środka wdarł się kot. Był mały i cały czarny. Usiadł na wycieraczkę i zaczął zlizywać z siebie krople deszczu.

– Aha – w tym momencie Paweł uświadomił sobie, że anonim trafił do niego od kogoś, kto musiał być w „Patrycji”. I to

z samego rana. Gdyby było inaczej, z pewnością byłby mokry i wsunięty pod te drugie, prowadzące na zewnątrz drzwi. Sprawa robiła się coraz ciekawsza. Postanowił, że w samo południe przejdzie się przez wszystkie piętra domu spokojnej starości i zaczeka w świetlicy. Tylko w co miał się uzbroić?

– Miau! – Kot znów dał o sobie znać.

– Mleko! Tak, masz rację – powiedział Paweł, udając się do lodówki. Zwierzak powędrował za nim. – Skąd się tu wzięłeś? – spytał, gdy kot został nakarmiony i jak gdyby nigdy nic ułożył się na dywanie pod grzejnikiem, słodko mruczając. Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, Paweł zapytał tym razem: – Skąd się tu właściwie wzięłem? – Przymknął powieki i ujrzał Joannę, jak tuliła się do niego w swoim biurze niecałe pół godziny temu. To było miłe. Więcej niż miłe. To było, ale mogło tego równie dobrze nie być. To było, ale szybko się skończyło i nie ma o czym gadać.

„Nie ma o czym w zasadzie gadać. Każda chwila może być, a może też jej nie być. A jeśli mi się to przyśniło? Ty i ja, i twoje mocne dłonie. Przy moich nieśmiałyach wydawały się nierealne. I takie w zasadzie były. Jak cała ty. Znów i znów”.

ROZDZIAŁ X

NYC, LATA 80.

I need your love

I need your love

God speed your love to me

Elvis Presley, *Unchained Melody*

Miotła się na czworakach. Tak, tak. Tak potrafiła, o czym przekonała się, gdy Michał wyszedł do pracy, rzuciwszy na odchodne to swoje: „Może zaprosimy ją do nas na kolację?”. Fakt, że do zejścia na kolana skłoniły ją brudna podłoga i mokra ścierka, ale zanim nie padło to jakże newralgiczne pytanie, o miotaniu się nie było mowy.

Podłoga błyszczała, ścierka już niestety nie. Woda w misce była ciemna i nieprzejrzysta, zupełnie jak humor i samopoczucie Marii. Jak on mógł w ogóle na coś takiego wpaść? Na kolację? Ją!

– Może już wystarczy tej podłodze? Zaraz dziurę w niej zrobisz!
– Maria zamarła. Nie, to nie może być prawda. Podnosząc się z kolan, miała wrażenie, że robi to w zwolnionym tempie. To był jej zamysł, który polegał na tym, by zanudzić przeciwnika na śmierć i spowodować, że albo padnie trupem, tu, na jej wyszorowanej podłodze, albo sobie pójdzie gdzie raki zimują, bez możliwości powrotu. Gdy się wreszcie odwróciła, przeciwnik, a właściwie Steffi, stał w drzwiach i z wielkim uśmiechem i niespotykaną cierpliwością patrzył na Marię, zbyt szybko mrugając zbyt mocno wymalowanymi rzęsami. Uśmiech na twarzy Marysi pojawił się momentalnie. Nawet oczy jej błysnęły. Ścierka z nonszalanckim zawijasem w powietrzu pofrunęła do miski, zahaczając po drodze o wazon z kwiatami.

Maria uśmiechnęła się jeszcze szerzej i nie zwracając uwagi na malutką kwiatową katastrofę, minęła stojącą w progu Steffi i wyszła na ganek.

– Pogoda! – zakomunikowała zdawkowo, kreśląc dłonią powietrzne esy-floresy.

– Zgadza się – podchwyciła Steffi, krocząc za gospodynią i sadowiąc się w wiklinowym krześle, stojącym w promieniach słońca. – Dopisała i nas rozpieszcza. Byłam obok i postanowiłam cię odwiedzić. Przyniosłam szarlotkę. Niedaleko jest dobra cukiernia, prowadzi ją Mrs. Smoke, jest olbrzymia! – Steffi zaśmiała się serdecznie, zdecydowanie nie nachalnie, nie perfidnie, nie wrednie. – Ale ładnie pachnie! Och, jak ona zawsze ładnie pachnie. Jest waniliową Mrs. Smoke! Ale cóż ja wygaduję, skosztuj! – Podskoczyła z krzesła, stanęła tuż przy Marysi i otworzyła przed nią kartonowe pudełeczko z zawartością, która porwała Marię swoim niepowtarzalnym aromatem, zdecydowanie niepasującym do chwili, psującym całą jej zgorzkniałość i zaburzającym jej bojowy nastrój, wymierzony w tę, która miała czelność wtargnąć w jej rewir. Chciała odmówić. Pragnęła pokazać, kto tu rządzi, przynajmniej siłą woli... Jednak i tej zabrakło. Aromat wypieku był powalający. Maria ugryzła kęs i usiadła z wrażenia, a potem w ciszy pałaszowała przysmak, mrużąc powieki. Bynajmniej nie chroniła tak oczu przed słońcem.

Dopiero gdy kawałek szarlotki wraz ze wszystkimi okruszkami zniknął z pudełka, Maria otworzyła oczy, ale najwyraźniej tylko po to, by im nie uwierzyć. Steffi trzymała przed nią kolejne pudełko. Było otwarte. W środku królowała beza.

– Nie – zaprotestowała Maria, ale jej ręce same wyciągnęły się po smakołyk.

– O tak – odrzekła Steffi, stawiając na stole porcję dla siebie. – Dziwię się, że nie znasz waniliowej Mrs. Smoke i jej ciast. To niedaleko. Jeździsz po całym Nowym Jorku, a swojej okolicy nie poznałaś! – zaśmiała się.

Maria poczuła wdzięczność. Do szarlotki, do bezy, do waniliowej pani Smoke, a nawet do Steffi. Postanowiła jednak na wszelki wypadek tego nie okazywać.

– Jak wam się mieszka? – Steffi rozejrzała się po podjeździe.

– A ty dziś nie w pracy? – Maria uzmysłowiła sobie, że coś tu nie gra. Michał niedawno wyszedł. Steffi dopiero przyszła.

– Nie – ucięła krótko, a po chwili milczenia powiedziała: – No, to ja już pójdę. Po prostu byłam w pobliżu.

– Może jeszcze zostaniesz, może mrożoną herbatę? – Maria ugryzła się w język.

– Nie, nie, dziękuję. – Steffi spojrzała na zegarek. – Do zobaczenia, pozdrów Majkela.

Steffi poszła. Jej samochód stał zaparkowany przy sąsiedniej posesji, choć przy domu Marii i Michała było dość miejsca.



Wrócił do domu zmęczony. Kowbojski kapelusz założył na bakier i w milczeniu palił papierosa, stojąc w otwartych drzwiach.

– Była Steffi – odezwała się Marysia znad gazety z wykrojami. Szukała stylowego modelu spódnicy, żeby zaimponować nieważne komu. W zasadzie wiedziała, kto wyzwolił w niej te emocje, ale nie chciała się do tego przed samą sobą przyznawać.

– Nie było – odezwał się Michał, wciąż stojąc w zamyśleniu.

– Była. – Maria odłożyła gazetę, zagiąwszy uprzednio stronę z wybranym modelem.

– Nie, dziś musiała wziąć wolne, więc jej nie mówiłem o kolacji.

– Ja też nie powiedziałam.

Michał odwrócił się do Marii, zgasił papierosa i zdjął kapelusz. Jego rozbiegany wzrok nie wróżył niczego dobrego, już ona to wiedziała.

– Co się dzieje? – spytała łagodnie, próbując ukryć kielkujący w niej lęk.

– Dzieje? – Uśmiechnął się. – Zupełnie nic.

– Czy znasz waniliową panią Smoke?

– O rany, w laboratorium wszyscy o niej mówią. Miałem cię do niej zabrać w niedzielę – przyznał się Michał.

– To ja cię zabiorę, i nawet podpowiem, co zjeść. Steffi przyniosła mi dziś szarlotkę. – Maria wpatrywała się w twarz Michała, który najpierw uniósł brwi, a potem lekko się uśmiechnął. – I bezę – dodała, a jej mąż pokręcił głową.

– Nie wierzę! Zostawiłaś mi, prawda? – zagadnął.

– Nie uwierzysz – wyszeptała Marysia, jakby miała do przekazania tajemnicę wagi państwowej. – Nie zostawiłam ani okrucha.

– Co ty mówisz? – Zdziwienie Michała sięgnęło zenitu. – W niedzielę prowadzisz mnie do waniliowej pani Smoke! Z samego rana. Na śniadanie. O siódmej!

– Oszalałeś! Nie wstaniesz o siódmej – zaprotestowała Marysia, składając broń. Musiała ją złożyć przed samą sobą; dopiero później zastanowi się, co zrobić z Michałem i jego przychylnością wobec Steffi, której Maria nie potrafiła, ale nawet nie chciała rozgryźć.

– Dla waniliowej pani Smoke wstanę nawet o szóstej! Co mówiła?

– Kto?

– Steffi. Nie było jej w pracy, kolejny dzień zresztą.

– Nic nie mówiła, przechodziła obok z pudełkami smakołyków specjalnie dla mnie. – Maria miała nadzieję, że w uszach

Michała to zabrzmiało równie dziwnie jak w jej, ale mąż nie zareagował. Otworzył puszkę piwa i zmienił temat.

– Jaki ciuszek sobie uszyjesz? – zapytał.

– Nie sobie – odparła z dumą w głosie, prostując bezwiednie ramiona i wysuwając lekko podbródek. – Mam trzy zamówienia! – krzyknęła podekscytowana, dopiero teraz dając upust tłumionemu przez cały dzień podnieceniu na samą myśl o pozyskaniu nowych klientek z sąsiedniej ulicy.

A nazajutrz nie było już nic. Szarlotki u waniliowej pani Smoke, ani nawet jakichkolwiek innych planów na niedzielę. Soboty też nie było. Ani piątku. Pozostał czwartek z widokiem na zniewalającą czarną dziurę. Na przepaść, do której nawet jeśli się jeszcze dziwnym trafem nie wpadło, to chciało się wskoczyć, zanurzyć po czubek głowy, która z niewiadomych przyczyn nie pokryła się siwizną, a przecież powinna. Wtedy przynajmniej byłaby pamiątką po zdarzeniu, które ponownie zmieniło całe życie.

Jej. Bo jego już nie miało się nigdy zmieniać.

Pamiętała za to doskonale, że nuciła przez cały czas. Ten czas ciszy, który nastąpił, przerywany wyłącznie tykaniem zegara – to takie filmowe – i nuceniem, ale tylko wówczas, gdy się to uświadamiało. Zdarzało się rzadko, lecz jednak. Raz po raz z częstotliwością pół- lub kilkunastogodzinną pojawiały się słowa piosenki zasłyszanej tego dnia w radiu. *Unchained Melody* łaskotało ucho, zanim zadzwonił telefon. Z rozmowy pamiętała zadziwiająco dużo. Ton głosu – mechaniczny. Od razu nastawiła się na mechaniczny odbiór. Może to ją uratowało. Przed ruiną, w jaką z całą stanowczością popędziłaby z własnym życiem. Jakim życiem? – prychnęłaby, gdyby ktoś ją o to zapytał tego dnia i kolejnego. I jeszcze przez niezliczoną liczbę dni następnych. Tak przynajmniej myślała. Była jednak w błędzie, na całe szczęście. Telefon był nienachalny. Informacja przekazana spokojnie, choć urzędowo, dotarła do adresatki. Słońce głaskało i uspokajało. Schowane za

drobne, rozproszone po całym niebie chmury, zdawało się pielęgnować jej stratę. Tak właśnie. Nie umacniać żalu ani nie próbować wyciągnąć z tragedii. Takich rzeczy się nie robi i słońce o tym dobrze wie. Pielęgnuje się człowieka w stanie zastanym. A zastało Marię na ganku wołającą o pomstę do nieba, choć niewiele jeszcze wiedziała. Tylko tyle, że w laboratorium był wybuch i trzeba jechać do szpitala, w którym jej mąż nie przeżył. To po co jechać? Po co gdziekolwiek jechać? Słońce zatapiało żal w jej samym środeczku.

Poczuła się jak owad w bursztynie. Nie mogła się poruszyć, była więźniem, martwym, nikomu niepotrzebnym więźniem, choć nadal stanowiła wraz z tą całą okalającą ją otoczką dzieło sztuki. Była drogocennym kamieniem, o który będą zabiegać turyści nadmorskich kurortów. Pomyślała o Gieni. Na takim kamieniu, jakim się właśnie stała, nie ma miejsca na malowanie serc, żadna farba się nie przyjmie. Zbyt śliska powierzchnia, zatopienie w bagnie skutecznie przeciwdziała chęci tchnienia życia w martwy już przedmiot. Genowefa z pewnością by polemizowała, dlatego Maria do niej nawet nie zatelefonowała. Podniosła jednak słuchawkę i wykręciła numer, ten zniechęcony jakiś czas temu.

Głos Czarnej Wandy nawet przez telefon wydawał się pogrążony w tytoniowym dymie. A potem było wspólne milczenie. Która z nich pierwsza odłożyła słuchawkę? Maria nie pamiętała. Wanda też nie. Być może synchroniczne trwanie w pustce wywołało kaskadę kolejnych zsynchronizowanych ruchów. Marii nie obchodziło nic. Na dziwne pytania pracodawców, których nigdy przedtem nie widziała na oczy, nie odpowiadała. Gdy w domu zjawił się konsul, pytania z jakiegoś powodu ponowił, ale Marysia zbyła go milczeniem. Transport? Polska? Gdzie to jest? Gdzie jest ona? Dlaczego Michał nie wraca z pracy?

Na pogrzebie było słońce. I słowa Elvise z tej samej piosenki,

dudniące w jej uszach. I nikogo poza tym. Nie było przecież tajnego laboratorium, oficjalnie nie było więc też pożaru. Były za to cisza i spokój, w których próbowała się zanurzyć. Cała, z głową, wleźć do skorupy i szczelnie się w niej zamknąć. Przesiedzieć jakiś czas, zapominając. I gdy już kolejne dni zwały się z nocami, gdy przestała dostrzegać jakiegokolwiek światło słoneczne, w radiu zamiast piosenki, tej samej, powtarzanej co rusz, usłyszała nazwisko swojego męża. A potem padały krótko i zwięźle słowa, których nie rozumiała.

Wyszła z domu. Nie wiedziała, dokąd ma iść. Poczowała potrzebę przemierzenia jakiejkolwiek odległości, w byle jakim kierunku. Cel podróży nie był znany. Nie potrzebowała zresztą tego poznania. Wiedziona instynktem, przeszła przez ulicę i po prostu szła przed siebie. Nie zauważała nic i nikogo, cały świat opustoszał.

Lecz nagle poczuła. Ten aromat odurzył ją z całą stanowczością i nachalnie kazał usiąść. Zrobiła to bez zastanowienia, a po chwili przed nią na niebieskim talerzyku leżał kawałek szarlotki, takiej samej jak wtedy. Uniosła zdumiony wzrok.

– Pani faktycznie jest olbrzymia – wyrwało się Marii na widok waniliowej pani Smoke. – I pachnie pani wanilią.

– Z Madagaskaru. – Ciemnoskóra kobieta uśmiechnęła się szeroko i przysiadła do stolika.

– Jaki dziś mamy dzień tygodnia? – spytała Maria, wpatrując się w porcję ciasta przed sobą.

– Niedziela, piękny dzień Pański – odezwała się właścicielka kawiarni. – Czekałam na panią – oznajmiła po chwili, bacznie przyglądając się Marysi. – Zresztą, nie tylko ja.

Maria powiodła wzrokiem za ruchem głowy pani Smoke. Niecałe pięć metrów dalej, w lekkim osłupieniu, ale też z ogromną radością, jaka emanowała z ich twarzy, stały dziewczęta. Tak Maria nazywała je przed. Dziewczęta, które

jakiś czas temu zaczęły zamawiać jej ubrania, te, które Maria szyła przecież wyłącznie dla siebie, aby być bardziej amerykańska. Domieszka polskiego motywu i wschodniej prostoty zwróciła uwagę dziewcząt z okolicy. Dziewczęta miały od trzydziestu do sześćdziesięciu lat. Jak dotąd było ich dziewięć. Stały teraz wszystkie jak jeden mąż i machały Marii, ukazując w uśmiechu swoje białe uzębienie.

– Zapomniałam o was – powiedziała Marysia.

– Nie, my nie po to – odezwała się jedna.

– Nie, nie, my chcemy powiedzieć, że nie musisz, jeśli nie masz teraz siły – dodała druga.

– Nie, nie, my chcemy tylko powiedzieć, że możesz na nas liczyć, że chętnie przyjdziemy do ciebie, posprzątamy, ugotujemy, zrobimy zakupy – uzupełniła poprzednie wypowiedzi trzecia.

Która była czwarta, a która kolejna, Maria nie wiedziała. Nie miało to znaczenia. Istotne było co innego. Wyjście z letargu. Jedną nogą, ledwie koniuszkiem palucha, ale jednak.

Wstała, uściskała każdą po kolei i ruszyła biegiem przed siebie. Wracała do domu. Do jej domu, w którym przez krótki czas miała u boku ukochanego męża. Wracała do świata, który stworzyli razem, i niezależnie od tego, jaka nastąpiła rzeczywistość, to ona – Maria – miała tę rzeczywistość tworzyć dalej. Swoją i jego albo tylko swoją. Na tę decyzję przyjdzie czas.

Mijając ławkę, jakich wiele przy ulicy, nagle znieruchomiała. Gazeta pozostawiona samopas nie była niczym niezwykłym. Niezwykły był raczej nagłówek i zdjęcie Steffi na otwartej stronie.

– Zapomniałam o niej – wydukała Maria, sięgając po dziennik i siadając na ławce. Nie znając daty, spojrzała na gazetę. – Weekendowa – wymamrotała i zaczęła czytać. Siedziała sztywno, prawie na baczność, gotowa do wyrwania się w każdej

chwili z tego miejskiego zgiełku i ucieczki byle gdzie. Dopiero gdy skończyła lekturę, poczuła zapach farby. Gdy się rozejrzała, dostrzegła napis „świeżo malowane”, który dotyczył właśnie tej ławki, na której usiadła. Roześmiała się. Jej śmiech był perlisty i głęboki... przez dwie sekundy. Kolejnych pięć zakrawało na histerię. Następne, niezliczone, były zanoszeniem się przechodzącym w wycie.

Wypłynęło. Wszystkie emocje, dotąd niezidentyfikowane, wylały się jak czysty górski strumień. Maria dotarła do domu, położyła gazetę na stole, zdjęła spódnicę pobrudzoną zieloną farbą i wrzuciła ją do kosza na śmieci. A potem rozejrzała się po domu. Miała wrażenie, że zamieszkuje norę lub chlew. Pragnęła zobaczyć bałagan, który należałoby posprzątać. Zrobić coś, co by nosiło nazwę „uporządkowania”. Tej czynności najbardziej potrzebowała. Jednak spotkał ją zawód. Dom był czysty, wszystkie rzeczy odłożone na swoje miejsca. Pranie zrobione, suszarka pusta, świadcząca o tym, że czyste rzeczy są posegregowane i odwieszane do szafy. Nie pamiętała tych prozaicznych codziennych czynności. A teraz potrzebowała bałaganu. Takiego, który da się ujarzmić, który mógłby stanowić konkurencję dla innego, strzegącego jej umysłu i serca.

Opuściła ręce. Nie miała tu nic do roboty. Nawet nie miała wielkich zaległości ze swoimi projektami dla dziewcząt. Dzień, dwa i wszystko nadrobi, wpuści do domu klientki, których szczebiot wniesie do niego trochę życia. A ona założy kowbojski kapelusz, zapali marlboro i będzie patrzyła, mrużąc oko, na to, jakich poprawek należy dokonać, by sukienka leżała idealnie na jej przyszytej właścicielce. Tak, tak robi. To już postanowione.

Maria zerknęła na stół. Poplamiona farbą gazeta brudziła gołą dechę blatu. Przemaluję go, stwierdziła w duchu. Nawet na zielono.

Do sklepu z farbami nie miała daleko. Pojechała samochodem, włączając radio na cały regulator. To znaczy tak

by określiła głośność, którą lubił Michał. Elvis dziś wyjątkowo nie śpiewał. Leciał za to Frank Sinatra, z jego szorstko-sentymentalną muzyką. Przydatną w tej chwili, pomocną nawet.

Wybrała odcień najbardziej zbliżony do tego na ławce.

Malować zaczęła, włożywszy przydługie spodnie Michała i jego koszulę w kratę – taką amerykańską. Kowbojski kapelusz i papieros jej towarzyszyły, każde na swój sposób wprowadzając niepokój. Malowała pewnymi ruchami, agresywnymi nawet. Zwłaszcza gdy pędzel niebezpiecznie zbliżał się do wciąż pozostającej na blacie gazety z krótkim tekstem, niemówiącym nic konkretnego. Niedopełnienie obowiązków. Zwolnienie dyscyplinarne. „Bez komentarza” – wypowiedź oskarżonej. Prokuratura wszczęła śledztwo. Laboratorium za miastem. Ani słowa o rządowym utajnionym projekcie. Ot, zwykły naukowiec z Europy Wschodniej nie miał szczęścia. Emigrant, a jakże miało być inaczej?

Nogi stołu pomalowała również. A potem wyrzuciła puszkę po farbie i pędzel do śmietnika na zewnątrz i poszła spać.



Świt był piękny. Słońce wstawało ochoczo. Takie robiło na Marii wrażenie, która też bez ociągania opuściła łóżko, zanim ujrzała przez okno wstającą pomarańczową kulę. Wyszła na ganek. Rozsiadła się na drewnianych schodkach, w dłoni trzymała kubek z gorącą czekoladą. Tak, rozpieścić siebie. Przynajmniej w ten sposób. Niczego więcej nie potrzebowała, bo ten, którego pragnęła, już nie istniał. Przed Marią leżała gazeta, ta sama, przez którą na blacie stołu, teraz obrzydliwie zielonego, pozostał niepomalowany ślad. Każde słowo znała na pamięć.

– I na cóż to się zda? – spytała samą siebie, a potem dopiła

czekoladę z poczuciem zażenowania, wstydu i winy. Zapaliła ostatniego papierosa, trzymając w dłoni kowbojski kapelusz. Popiół strzepywała tuż obok, na wyliniały trawnik. A potem ruszyła spacerem do najbliższego punktu prasowego po kolejną paczkę marlboro i świeżego „New York Timesa”.

ROZDZIAŁ XI

I'll be yours through all the years till the end of time...

Elvis Presley, *Love Me Tender*

Listopad był – jak to miał w zwyczaju – paskudny. Maria z samego rana czuła jakiś niepokój. Najpierw trzy głuche telefony, potem jakiś dziki krzyk w słuchawce. To był stacjonarny. Trzeba się go pozbyć raz na zawsze. Po co to komu w dzisiejszych czasach?

Stwierdziła, że musi się spotkać ze Stachem. Jego zniewalający powrót do zdrowia przynosił nadzieję i wiarę w cuda, ale też przysparzał zawrotów głowy, a od nich i do migreny jeden sus. Już Maria знаła te zagrywki własnego organizmu. Podekscytowanie nigdy nie wychodziło na zdrowie. Za każdym razem musiała odchorowywać, łykając odpowiednie przeciwbólowe. Przyszykowała się szybko i sprawnie. Umalowała usta odpowiednim kolorem szminki. Nawilżyła kąciki ust balsamem, aby nie pogłębiały się zmarszczki na suchej skórze. Parę trików miała opanowanych, podpatrzyła na blogach małoletnich mistrzyń stylu. Żałowała, że nie mogła

znaleźć takowych dla seniorek. Mało modnym była targetem, by można się było na niej wzbogacić, będąc influencerem. Ożeż w mordę, jakie trudne słowo! Maria się skrzywiła, jakby właśnie pożerała całą cytrynę, bez dodatku cukru. Tak prozdrowotnie, że aż strach.

Spojrzała na siebie w lustrze. Całkiem nieźle, skwitowała w myślach, a potem przeniosła wzrok na rozpaczliwie wołającą o pomstę do nieba pogodę za oknem. Lało. Wiało. Cienkie rajstopy nie były najlepszym pomysłem. Szła jednak do Stacha; nie mogła sobie pozwolić na legginsy lub nie daj Boże rajtuzy. Ani na żadne reformy... Choć powinna. Nie chciała skończyć jak reumatyczna Genowefa. Co robić? – zastanowiła się przez chwilę, po czym wybrała opcję: reformy na tyłek. Zdejmie je na klatce schodowej, zanim dotrze do mieszkania Stacha. To był całkiem niezły plan. Zupełnie jak w dzieciństwie, tylko że na odwrót. Wtedy na klatce schodowej, zanim weszło się do domu, zakładało się rajtuzy, czapkę i kamizelkę wątpliwej urody, robioną na drutach. Ostatnie zerknięcie do lustra. Uśmiech półgębkiem świadczył o zadowoleniu z odbicia. Na szczęście w przypadku Marysi zdarzało się to coraz częściej; owa częstotliwość rosła z każdym rokiem. Zastanawiające! Ciekawe, co by na to powiedział Freud.

Otworzyła drzwi i znieruchomiała. Uśmiech, ten półgębkowy, znikł z jej twarzy w mgnieniu oka.

– Co tu robisz? – spytała szorstko, spoglądając na zegarek.

– Nieźle się bawię – tak samo szorstko, ale nie zadziornie, raczej ze spokojem, odparła Czarna Wanda. Była czarna, najczarniejsza. Wyglądała jak kruk. Nawet dziubek miała w postaci ściągniętych pomarszczonych ust. – A zaczęłam przed godziną.

– Przyszłaś mnie o tym niezwłocznie zawiadomić? – spytała Maria, lekko unosząc brwi. Doprawdy była zdumiona, lecz nie bardzo chciała dać to po sobie poznać.

– To przez ciekawość. Zastanawiałam się nad twoją reakcją. – Wanda wciąż stała na klatce schodowej, nawet nie zaglądając do środka mieszkania, jak miała to w zwyczaju. Jej wścibstwo właśnie przegrywało z powagą, malującą się na jej twarzy. Marysia poczuła niepokój.

– Mów – odezwała się stanowczo.

Wanda się uśmiechnęła, złożyła dłonie na wciąż opuszczonych ramionach, przeniosła ciężar ciała na pięty i z powrotem na palce, powtórzyła tę czynność kilka razy i wreszcie wypaliła:

– Dziś Święto Niepodległości. – Urwała, by napięcie lekko wzrosło. Nie mogła sobie odmówić przedłużenia katowania Marysi.

– Nagle po stu latach zapragnęłaś dzień święty święcić, i to w towarzystwie najbardziej znienawidzonej osoby?

Maria nie dowierzała. I nie rozumiała. W jaki sposób siostra jej tragicznie zmarłego męża, mająca przez tyle lat żal tylko do Marysi, mogła tak spokojnie nagle zjawić się w jej drzwiach?

– To, że jestem starsza od ciebie, nie oznacza, że dobiegam stówki – odrzekła Wanda z udawanym fochem.

– Dobra, dobra, ja nie zaglądam do metryki, mówię, co widzę – warknęła Maria, tracąc cierpliwość. A tracić cierpliwości nie lubiła, i to bardzo.

– Niezła jesteś. Nie spodziewałam się. Kiedyś byłaś taka potulna, przynajmniej udawałaś dobre wychowanie.

– Proszę cię, opanuj się, bo cię nie poznaję. Chyba wolę tę wersję przerażającej Złej Królowej ze *Śnieżki* – przerwała Maria wynurzenia rodem z rodzinki Addamsów, co w zasadzie do Wandy pasowało, lecz teraz niezmiernie działało na nerwy.

– Bajki zostaw na później. Teraz przypominam o Święcie Niepodległości – zaczęła na nowo Czarna Wanda. – A co się z tym wiąże, to wiesz: marsze, demonstracje... – Znów urwała, ale naraz sobie uświadomiła, że jakoś zaczęła ją nudzić ta

gierka, więc wypaliła: – Włącz telewizję.

– Słucham? – Maria zapragnęła zatrzasnąć drzwi. Nie zrobiła tego tylko dlatego, że nie mogła się zdecydować, czy pozostać w środku, czy na zewnątrz mieszkania. Chęć jednak była na tyle silna, że choć zamachnęła się nimi, w ostatniej chwili zatrzymała je własną nogą. Nie bolało.

– Wróć do domu i włącz telewizję.

Ton Wandy był nazbyt. W zasadzie to określenie nie potrzebowało uzupełnienia. Można by było doprecyzowywać: nazbyt ostry, nazbyt poważny, nazbyt niepodobny do jej sposobu bycia, nazbyt nierealny, nazbyt dramatyczny, nazbyt zwyczajny, nazbyt dorosły, nazbyt mało interesujący. Wystarczył sam pierwszy człon tych wszystkich określeń, by podjąć decyzję. Czy właściwą, to się dopiero miało okazać.

– Interesuje cię coś konkretnego czy program o zalotach orangutanów może być? Czyta Krystyna Czubówna – zareklamowała Maria, gdy sięgnęła po pilota i włączyła urządzenie na pierwszym lepszym kanale.

Czarna Wanda przeszła się po pokoju i nie patrząc na odbiornik, zakomunikowała:

– Program informacyjny, i to ciebie interesuje, nie mnie. Mnie interesuje zupełnie co innego.

Maria wcisnęła odpowiedni guzik i zamarła, wpatrzona w ekran. Czarna Wanda wcisnęła się natomiast w fotel i również zamarła, utkwivszy wzrok w Marii.

– Co ona, do drzazgi, tam robi? – wymamrotała Marysia, patrząc, jak na ekranie raz po raz pojawia się nagranie z Gienią w samym środku miasta. Gienia nie była sama. Otaczał ją tłum łysych głów i silnych rąk zaciśniętych w pięści. Niektóre z nich trzymały transparenty ze swastyką, głoszące dość niefortunne hasła.

– Do czego? – prychnęła Wanda, przenosząc wzrok z Marysi

na ekran.

– Drzazgi – odpowiedziała Marysia prawie szeptem. Próbowwała zrozumieć to, co się właśnie rozgrywało w samym centrum stolicy. – Dlaczego ona skanduje razem z nimi? Całkiem ją porąbało. Słuchaj, jej potrzebny jest psychiatra – wypaliła, jakby to nie Czarna Wanda, największa „dyskretna” plotkara na Żoliborzu, a może i w całej Warszawie, była adresatką tych słów. Postąpiła nierozważnie, zwłaszcza w zaistniałej sytuacji, ale nie było czasu do namysłu. Działała impulsywnie, wciąż nie dowierzając.

Nagle zobaczyła, że usta Genowefy otwierają się w zupełnie innym czasie niż tysiące innych ust. Mało tego, Genowefa raz po raz próbowała coś złapać. Z początku mogło się wydawać, że jej reumatyzm nie pozwala starczym nogom zwyczajnie funkcjonować, więc łapie równowagę, by nie paść w tym ignorującym ją wielkim tłumie, ale naraz Maria sobie uświadomiła, że przyjaciółka owszem, postradała zmysły, ale nie w takim kontekście, o jaki ją zaczęła podejrzewać. Gienia próbowała schwytać idącego dumnie przed nią Bogusia, a wykrzykiwała zapewne jakieś słowa, które miały przekonać chłopaka do wyjścia z tego koszmarnego, haniebnego marszu.

– Jak będziesz wychodzić, zatrzaśnij drzwi! – poprosiła Marysia, rzuciwszy pilota wciąż siedzącej w najlepszej w fotelu Wandzie i ruszając w stronę przedpokoju. Wanda wyłączyła odbiornik i podążyła w tym samym kierunku.

– Beze mnie sobie nie poradzisz – syknęła na spieszącą się Marię.

– Czyżby? – Ta szczerze się zdziwiła, lecz nie ciągnęła polemiki dalej. Teraz należało działać, nie było czasu nawet na opracowywanie genialnej strategii. Tym bardziej że Wanda faktycznie mogła się przydać. Ze swoją wiedzą i – o zgrozo! – intuicją. Tak, miała ją, trzeba było jej to przyznać. To ona była przeciwna wyjazdowi swojego brata do Stanów. I nie chodziło o to, że jechał tam z Marysią, tylko że w ogóle jechał. Nie

powinien był.

Wtedy wiedziała o tym Wanda, dziś wiedziały obie. Z tą wiedzą teraz nie było co zrobić. Uwierała tak bardzo, że nawet zamiecenie jej pod dywan nie przyniosłoby pożądaných rezultatów.

– Nie jedziesz windą? – Wanda poszła za Marią.

– Nie! – Zabrzmiało to co najmniej jak „odwal się”, co Wanda przyjęła z ulgą. Oznaczało bowiem, że Marysia była wkurzona. To dobry znak.

– Bo?

– Bo jestem bojowo nastrojona.

Gdy zeszły na dół i wyszły na zewnątrz, Maria poleciła:

– Skoro już się mnie uczepiłaś jak rzep psiego ogona, to poprowadzisz.

– W serwisie – zakomunikowała Wanda.

– Co takiego?

– Moje auto jest w serwisie – westchnęła Wanda. – Wiesz, hocki-klocki i takie tam...

– Czy ty możesz być w pełni przydatna? – Nie zabrzmiało to miło i Maria o tym wiedziała. Wanda natomiast spuściła na tę wypowiedź zasłonę milczenia. – Dobra, chodź. Hultaj pewnie stoi na tyłach „Patrycji”, pożyczymy go po cichu.

– Oszalałaś!

– Trzeba Gieńkę ratować, przecież to hańba!

– Otóż właśnie! Musimy metrem, tam jest zakaz wjazdu – tłumaczyła Wanda rzeczy tak bardzo oczywiste, że naraz straciła zapał do całej sprawy.

– Nie marudź, Wanda. – To było ostatnie, co powiedziała Marysia, nim weszły na teren „Patrycji”.

Dalsza działalność, zakrawająca na przestępczą, postępowała

w całkowitej ciszy. Wyglądało to tak, jakby zarówno Marysia, jak i Czarna Wanda znały się na swojej robocie, mało tego, wykonywały ją wspólnie od lat. Rozumiały się przy tym bez słów. Wystarczyło łypnięcie okiem lub inny zawołany gest. Kilka chwil później siedziały w nieprzyzwoicie czystym jak na tę porę roku Hultaju i kierowały się w stronę dawnego ronda Babka. W swej podróży pozostawały konsekwentnie w milczeniu. Maria raz po raz łypała okiem na Wandę, która doskonale odczytywała to jako sygnał do mocniejszego wciśnięcia pedału gazu, co też czyniła niezwłocznie, by nie narazić się na niepotrzebną paplaninę. Obie czuły powagę sytuacji i obie chciałyby jak najszybciej wrócić do domów. Wanda do własnego, Maria do Stacha.

Samochód zaczął zwalniać. Marysia łypnęła karcąco na dawną szwagierkę. Ściągnęła brwi, usta miała ułożone w dziubek, który pogłębiał zmarszczki, wypełnione przesadnie szminką.

– Jeszcze jej nie zlizalaś? – spytała Wanda, wreszcie przerywając milczenie.

– Dlaczego zwalniasz? – odpowiedziała Marysia pytaniem na pytanie, nie mając zamiaru reagować na zaczepki kompani.

– Nie widzisz, że tam stoi policja i blokuje przejazd, kieruje wszystkich na bok? – wytłumaczyła Wanda, włączając kierunkowskaz. Były na Marszałkowskiej. Centralnie przed nimi napierał tłum. Co najmniej niezdrowo rozentuzjzmowany.

– Widzę – odrzekła Maria tonem zdradzającym, że dla niej nie jest to żaden powód, by hamować.

– Muszę skrócić – wyjaśniała dalej Wanda, zastanawiając się, czego Maria może tu nie rozumieć.

– Nie musisz. Jedź prosto. Mijasz policję, oni nas zatrzymują, ty zagadujesz funkcjonariuszy, że jesteś stara, brzydka, zgorzkniała, niezdarna i nie wiesz, gdzie jesteś, bo się zgubiłaś, a ja wypatruję Gieńki i wciągam ją do samochodu.

– Tymczasem samochód zostaje zdemolowany przez łysoli, ale co nam do tego, przecież to nie nasz – ironicznie przedrzeźniała ją Wanda. – Brzydka?! – dodała po chwili.

– Jak chcesz, to potrafisz załapać, Wandulka! – Maria w przyływie adrenaliny zareagowała nazbyt optymistycznie, ale postanowiła nie powściągać emocji dla dobra sprawy.

– Jak później wyjedziemy z tłumy? – spytała druga z kobiet, po cichu zgadzając się na taki plan.

– O tym pomyślimy później. Nic nam nie zrobią, w końcu policja im nie pozwoli.

– Wiązesz z policją zbyt wielkie nadzieje – burknęła Wanda, ignorując dwa radiowozy i machających funkcjonariuszy.

– Stój! – wydała rozkaz Maria.

Tłum napierał. Był coraz bliżej. Gdyby nie widziały, co się święci, z pewnością na podstawie coraz głośniejszych odgłosów mogłyby z dokładnością co do metra określić położenie maszerujących. Marysi nie było do śmiechu. W innej sytuacji z pewnością doceniłaby artystyczne podejście Wandy do dyskusji z „przemiałym panem władzą” – to określenie było przez nią zdecydowanie nadużywane w prowadzonej właśnie rozmowie. Teraz natomiast Maria miała ciarki na plecach, strużki potu między piersiami, ściśniętymi w najnowszym modelu biustonosza całkiem nie dla senierek, i ciarki na rękach. Gdyby wysiadła z auta, kolana z pewnością by się pod nią ugięły. Pozostawała więc w pozycji wycofanej, ale wypatrywała Gieni niczym sokolica polnej myszy. Zapragnęła zamknąć oczy i zasłonić uszy. Serce chciało wyskoczyć jej z piersi.

– Ojoj, przemiały panie władzo, i co teraz mam zrobić? – Wanda zawodziła zawodowo. Odwaliła kawał dobrej roboty, tymczasem Genowefy nadal nie było widać. Maria postanowiła skupić się na Bogusiu, lecz jego zwykle charakterystyczny wizerunek w tym tłumie z przyczyn oczywistych przestał nosić

znamiona oryginalności. Nagle Wanda wsiadła do auta i zamknęła za sobą drzwi.

– Każą nam jechać za nimi – powiedziała, udając, że jej schorowane ręce mają problem z zapięciem pasów. Ociągała się, jak mogła, posyłając uśmiezki przemiłym panom w mundurach, próbując przebić się przez obojętność wymalowaną na ich twarzach. – Niech tylko dożyją tych lat, co my, zobaczą, jak to jest z tolerancją ze strony młodszego pokolenia – burknęła, odpalając silnik.

– Jest! – krzyknęła Maria, otworzyła okno i wyciągnęła rękę, by złapać Genowefę za rękaw. – Wsiadaj natychmiast! – warknęła ile sił w płucach.

Przyjaciółka jakby odetchnęła z ulgą. Szarpnęła idącego przed nią Bogusia za ramię, a potem wbiła mu łokieć w kręgosłup. Maria skrzywiła się, widząc poczynania zbłąkanej Gieni i zupełnie nic nie rozumiejąc. Gdy Boguś się odwrócił, staruszka krzyknęła:

– Otwórz mi drzwi!

To było dość rozsądne, odnotowała Marysia z uznaniem, gdyż tłum skutecznie blokował tylne drzwi Hultaja. Boguś, o dziwo, wykonał polecenie, używając swojej nadprzyrodzonej mocy, polegającej na warknięciu na towarzyszy marszu, by się rozsunęli, bo babcia musi wsiąść. Zadziałało. Po kilku sekundach Genowefa mokra i zdyszana siedziała w aucie, które kluczyło za wozem policyjnym na sygnale.

– Dzięki – wychrypiała, trzymając się za serce.

– Zamknij się – warknęła Maria, nie odwracając się do tyłu, a Wanda zaczęła się śmiać.



Paweł nic nie zauważał. Jego trans trwał już kolejną godzinę, co cieszyło Anastazję. Dziewczynka nauczyła się nie tyle tolerować takie sytuacje – które w ostatnich latach zdarzały się tak często, jak często machał skrzydłami koliber próbujący utrzymać się w jednym miejscu – ile korzystać z plusów z nich wynikających. Czasem zdawało się, że ojciec z tego transu w ogóle nie wychodzi. Ona mogła wtedy wszystko. Jeść lody, kiedy było minus dwadzieścia na zewnątrz, gościć u siebie koleżanki ze szkoły lub później niż zazwyczaj wracać z łyżew, z lodowiska na boisku szkolnym. Mogłaby pewnie o wiele więcej, ale niczego ponad to nie potrzebowała.

Siedział skulony nad różową tkaniną. Ten kolor niejednego doprowadziłby do szału w ciągu niespełna pięciu minut, jednak Paweł nie zauważał rażącego bezprawia świata mody, lecz fachowo i z gracją operował igłą i nicią. Łatał brudną bielą, na której skupiał wzrok. Może to właśnie z tego powodu nie oszalał od wszechobecnego jaskrawego różu?

Tak więc Paweł nie zauważał nic, co nie przeszkadzało pozostałym skupiać wzrok właśnie na nim. On został zauważony, jak tylko zawitał do świetlicy „Patrycji”, dziwnie pustej o tej porze dnia. Zjawił się w niej, ściskając w dłoni anonim, ale momentalnie o nim zapomniał, gdy dostrzegł na jednym ze stolików koszyk z różową bluzką i karteczką: „Czy nie mógłbyś załatać dziury?”. Na bileciku widniała również karykatura Matyldy i podpis „M”.

Anonim został momentalnie zgnieciony, włożony nieporadnie do kieszeni spodni, a ręce zapragnęły czym prędzej zająć się zawartością koszyczka i biedną „M”, która z pewnością była w potrzebie. Takich potrzebujących ustawił się cały wianuszek. Składał się z zaciekawienia, uporu, a także ogromnej cierpliwości i wytrwałości, której pokłady zostały mocno ugruntowane w czasach PRL. Stanie w kolejce było przeżyciem jedynym i niepowtarzalnym. Zwłaszcza że tym razem było na co popatrzeć i o czym pogadać. Obiekt tych ploteczek natomiast,

nieświadomy niczego, projektował i szył. Po dziurach w różowej bluzce nie było ani śladu. Została jednak przemożna chęć dodania, oderwania, przyszycia, krótko mówiąc: personalizacji pod klientkę. Tej zasady Paweł zawsze się trzymał w swojej pracy, a Matyldę na tyle zdążył poznać, że wiedział, co i jak „zaaplikować” na materiale, by wyrazić jej mocne strony, których mimo swojego wieku miała całe mnóstwo. Zaczynało się ściemniać. Siedzący nieopodal Muzyk zapalił światło.

– Co ty robisz? – spytał Historyk. Miał kiepski humor. Jego plan spalił na panewce, ponieważ adresat listu okazał się nim zupełnie niezainteresowany.

– No przecież wzrok popsuje – Muzyk wskazał na szyjącego w kącie Pawła, choć widok na krawca przesłaniały plecy zgromadzonych patrycjuszek i to, co poniżej.

– Ty sobie go nie popsuj – warknął Historyk. Jego alergia na Wnuka rosła z dnia na dzień. W jego towarzystwie zaczynał mieć objawy astmy i co najmniej kołatanie serca.

– A może byśmy mu też coś przynieśli do szycia? – Ton Muzyka brzmiał filozoficznie. Historyk prychnął, lecz nic nie odpowiedział, wciąż napawając się postawą skrzywdzonego samca.

– Matylda będzie ładnie wyglądała w tej bluzce – westchnął Muzyk i wówczas Historyk zrozumiał, że zaczyna tracić wsparcie sojusznika. Jedyne, jakiego miał. Należało czym prędzej to zmienić! Należało zwołać armię. Głuchą, niedowidzącą i kulawą, ale armię. I on to zrobi. On!

Wstał, obrzucił mściwym spojrzeniem zgromadzenie starszych pań, które zaczynały coraz bardziej mu przypominać fanki na koncercie The Beatles, skinął głową do samego siebie i powędrował.

Daleko nie miał. Świetlicę od gabinetu Małej Mi dzieliło raptem kilkanaście metrów. Wszedł bez pukania i usiadł na fotelu. Na tyle pozwoliło staruszkowi bojowe nastawienie. Nie

zauważywszy pilota, wcisnął „start” prawym pośladkiem, uruchamiając stary odbiornik kineskopowy stojący na szafie z segregatorami. Joanna westchnęła, nie podnosząc wzroku znad dokumentacji.

– Ścisż może chociaż – poprosiła, darując sobie pogadankę o dobrym wychowaniu i zasadach savoir-vivre’u.

Historyk odchrząknął. Lekko się zagubił, nie widząc w siedzącej naprzeciwko pani dyrektor tej sławetnej Małej Mi. Dziś była Joanna, pogrążoną w nostalgii i zadumie. Może nawet Asia. A on nie tego potrzebował. Co to, to nie. Dość miał widoku maślanych oczu, westchnień, szeptów i tej jakże wstrętnej kobiecej melancholii. Nigdy jej nie lubił, nawet u własnej żony. Ba! Zwłaszcza u niej. Orientował się wówczas, że coś poszło nie tak, z reguły z jego winy.

Westchnął, czując, że traci swój bojowy nastrój. Momentalnie przyszło uczucie porażki, którego nie trawił od dzieciństwa, choć wcale tych lat, najszcześniejszych ponoć w życiu każdego człowieka, nie pamiętał. I to nie za sprawą najlepszego kolegi swoich rówieśników – Alzheimera. Nie pamiętał, bo wyparł, jak się wypiera czasem pochodzenie, narodowość i podobne łatki. Ściszył program informacyjny, gapiąc się w ekran na maszerujących narodowców, i zaklął.

– Nie o taką Polskę walczyliśmy – wymamrotał.

Joanna uniosła brwi, następnie głowę i zerknęła na odbiornik. Skrzywiła się na zbliżenie swastyki na jednym z transparentów i poczuła wstyd przed siedzącym przed nią patrycjuszem. Miał rację.

– Co z tym mamy zrobić? – spytała retorycznie, wciąż wpatrując się na obrazki z centrum Warszawy.

– Potrzebni sojusznicy! – Historyk nagle się opamiętał i już miał splunąć, jak to miewał w zwyczaju przy nadmiernej ekscytacji, lecz w porę się zreflektował. Przełknął gorzką ślinę.

– Myślisz, że można coś zdziałać, jak państwo pozwala na takie... – Joanna szukała odpowiedniego słowa, lecz skapitulowała – zachowania?

– Państwo pozwala! Ha! Dobrze! – Historyk poczuł narastającą falę furii i uśmiechnął się triumfalnie. – Państwo pozwala. A właśnie! A mogłoby ukrócić te zagrywki. Ciekawe, że osoby sterujące mogłyby też się czuć zagrożone tymi pozał się Boże wyczynami. Tylko z jakichś powodów nie są – wyartykułował dumnie, mając nadzieję, że Joanna załapie.

– Myślisz? – westchnęła. – No a jak taka osoba sterująca, jak to mówisz, powinna reagować na przejawy takiego stanu rzeczy? – Przeniosła wzrok na telewizor.

– Wydać dekret! – oznajmił Historyk czujący zew przywódczy.
– Zabronić pewnych rzeczy, wytłumaczyć, że inni obywatele mogą czuć się zagrożeni, że nie przystoi – wymieniał w zamyśleniu, ale Joanna już go nie słuchała.

Gapiała się. Tak zwyczajnie. I nie wierzyła własnym oczom.

– Co nasz Hultaj robi w samym centrum marszu? – wymamrotała, podniosła słuchawkę i czym prędzej wybrała numer.

– Stachu? Do diabła, Stachu! – krzyknęła i zamilkła. – Nic nie wiesz... Przepraszam. – Odłożyła słuchawkę i w tym momencie dostrzegła na ekranie znajomą twarz. – Genowefa?

Mała Mi wreszcie była sobą. Nie wiedziała, co robić, ale czuła, z kim chce porozmawiać. Tym razem nie będzie go olewać. Sam tego chciał. Sam się napraszał, więc mu powie. Powie, że się martwi, że nie wie, co się dzieje, że jedna z jego babć może być w niebezpieczeństwie. Powie i zakomunikuje! Wprost i bez owijania w bawełnę. O tak.



– O tak! O tak... Ożeż ty, orzeszku – zaczęła Joanna bojowo, ale szybko straciła rezon.

Widok, jaki rozpostarł się przed jej oczami – tuż przed – był porażający. Jeszcze nigdy w swojej karierze dyrektorki domu spokojnej starości „Patrycja” nie widziała tak zróżnicowanej wystawy babcinych tyłków, wypiętych na równej wysokości i podrygujących w rytm nieznannej jej żwawej melodyjki. Coś na kształt *Kalinka-malinka* albo kankana, te dwa utwory Joanna zawsze myliła. Już miała warknąć, by wtargnąć w ten paranoiczny, jak jej się zdawało, świat swoim tradycyjnym: „Co tu się, do cholery, wyprawia?!”, ale ugryzła się w język, bo przez kościste łokcie zgromadzonych starszych pań dostrzegła Pawła siedzącego pod oknem i klaszczącego wywijającej przed nim Matyldzie w różowej bluzce.

– No widzisz, sama widzisz, do czego doprowadzają osoby sterujące – westchnął Historyk.

– O czym ty do... – Urwała, bo nagle wszystko stało się jasne.

– ...do cholery, do ciężkiej Anielki, do jasnej ciasnej? Co dziś wybieramy? – wtrącił się Muzyk, lubujący się w melodyjnym brzmieniu powiedzonek codziennego użytku.

Historyk i Joanna zbyli go milczeniem. Jeden tylko prychnął. Druga wywróciła oczami, choć zrobiła to zupełnie nieświadomie, nie przykładając większej wagi do grymasu, bo cała jej uwaga wciąż krążyła wokół Pawła i zgromadzenia starszych pań.

– Zachowuję się jak... – Joanna westchnęła i poczuła gułę w gardle. – Jak wy. – Spojrzała na Historyka z Muzykiem, którzy odeszli dalej korytarzem. Historyk mocno gestykulował, jego kompan potulnie szedł obok i kiwał głową. Pewnie szykowali kolejny plan zdetronizowania Wnuka wszystkich babć. Tymczasem Mała Mi zapragnęła skulić się pod kołdrą w swoim pokoju, najlepiej pod nieobecność matki, i zasnąć snem zimowym, i nie czuć tego drżenia serca i sprzecznych emocji, dawno uśpionych.

Tupnęła nogą. Lewą. Potem użyła prawej w tym samym celu. I nagle sobie przypomniała o Hultaju otoczonym łysymi głowami i o Gieni, którą jakiś bandzior wsadzał do auta. Do jej auta.

– Och, ciociu! – usłyszała rozkoszny głos Pawła, który wyrażał aprobatę dla Matyldy kłaniającej się w pas swojej starczej widowni. Właśnie skończyła pokaz mody i udostępniła Pawła kolejnej zainteresowanej.

– No tak, no ciociu, no kurde blaszka! – warknęła Mała Mi i podreptała z powrotem do swojego gabinetu.



– Stachu! – Mała Mi nie przestawała warczeć, nawet po dłuższym czasie, gdy czekała na kolejne połączenie ze swoim woźnym po przejściach. – Ja nie wiem, co się tu do diaska dzieje, ale Genowefa może być w niebezpieczeństwie. Czy mam dzwonić na policję? W końcu Hultaj zniknął z podwórka!

– Nie dzwoń – powiedział cicho i się rozłączył.

– Aha! On coś wie! – Joanna poczuła kolejną falę złości, połączoną z frustracją, ale naraz sobie uświadomiła, że ostatnim razem, gdy Stachu „coś” wiedział, wszystko dobrze się skończyło, a policja wcale nie kwapiła się do pozytywnego rozwiązania sprawy. A sprawa była przecież nie byle jaka: zaginęły prochy. A teraz... Mała Mi postukała się w czoło i zaniósła się śmiechem. Przecież wystarczy zadzwonić do Gieni i wszystkiego się dowie. Na bank!

Wybrała numer. Po kilku długich sygnałach włączyła się poczta głosowa.

ROZDZIAŁ XII

*My hands are shaky and my knees are weak
I can't seem to stand on my own two feet*

Elvis Presley, *All Shook Up*

Genowefa niedomagała. Takiego określenia użyła, gdy zadzwoniła Maria i poprosiła o wylewne wyjaśnienia.

– Ach tak. – Marysia nie odpowiedziała nic więcej, po prostu się rozłączyła. Całe szczęście, że Stachu zgodził się odprowadzić Hultaja do „Patrycji”. Mała Mi nic by jej nie zrobiła, ale po co komu jakieś niepoprawne stosunki i relacje. Maria nie miała na to ochoty. Pragnęła tylko tego, by Gienia wreszcie przejrzała na oczy i zaniechała jakichkolwiek kontaktów z młodocianym faszystą.

– Niedomaga, popatrzcie no! – wypowiedziała tę kwestię z niekłamana irytacją, włożyła beret, chwyciła z wieszaka płaszcz i wyszła z domu. Kilkanaście minut później była na miejscu. Zanim wcisnęła dzwonek, oparła się dłonią o klamkę. Drzwi ustąpiły.

– Nie zamykasz na zamek – oznajmiła i zamarła. Przed nią

stała Gienia w swoich ulubionych ogrodniczkach, z pędzlem w zębach i paletą w dłoni. Drugą ręką drapała się po głowie. Gapiała się na Marysię, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

– A tobie co? – warknęła Marysia.

– Cycho – powiedziała Genowefa szeptem, nie wyjmując pędzla z ust. – Myszle.

– Oho! No kto to widział?! – Kolejne sarkastyczne słowa już się cisnęły Marii na usta, już ustawiały się w kolejce, gotowe eksplodować, lecz nagle sama Maria znieruchomiała.

– Co on tu robi? – wydukała szeptem, wskazując palcem śpiącego na kanapie Bogusia. Leżał na boku, twarzą odwrócony do ściany, posapywał nierówno, a jego obnażone ramiona, gdyż miał na sobie tylko spodnie, ukazywały w pełnej krasie haniebny tatuaż. – Gienia, zaraz go stąd wyrzucę na zbity pysk.

– Pohehaj – zaczęła Gienia, ale Maria jej przerwała.

– Na litość boską, wyjmij to drewno z ust!

Genowefa wykonała polecenie, wyjęła pędzel i zmoczyła go w kubeczku z wodą.

– Przerobię go na strusia.

– Kogo?

– Tatuaż – wyjaśniła Gienia i przycupnęła na krześle tuż obok kanapy, przystępując do pracy. Jej ruchy były delikatne. Zupełnie jakby nie dręczyły jej reumatyzm, powykęcane palce, sztywne nadgarstki. Dłonie ożywały. Przystawały przypominać ołowiane kończyny. W takich momentach Maria czuła zakłopotanie. Teraz też odwróciła wzrok, bojąc się, że swoim spojrzeniem wejdzie głęboko w intymny świat przyjaciółki, zarezerwowany tylko dla niej i jej twórczości. Uśmiechnęła się mimowolnie. Nie miała sumienia pozbawiać Gieni tej chwili prawdziwego życia. Przeszła do kuchni, zaparzyła dwie filiżanki herbaty i wróciła do pokoju.

– Weź mu zakop głowę – zaproponowała, stawiając przed Gienią parującą filizankę.

– Nie zamierzam go zabijać – odpowiedziała ze spokojem w głosie Genowefa.

– Nie mówię o Bogusiu, o tym porozmawiamy później. Chodzi o strusia – wyjaśniła Maria, wykrzywiając twarz z niedowierzania, że coś takiego przyszło Gieni do głowy. Siebie mogła o takie podejście do sprawy podejrzewać, ale żeby Genowefa? No, może kiedyś, w młodości, ale że było to dawno, a co za tym idzie nieprawda, to się nie liczyło tu i teraz.

– Zobacz – poprosiła Gienia, widząc, że Marysia kręci się po pokoju, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

– Nie, dopiero jak skończysz – odparła ta, studiując po raz tysięczny grzbiety książek ustawionych zupełnie bez ładu i składu na regale. – Kiedy wreszcie zrozumiesz, że Mickiewicz się kumplował z Puszkinem? – Maria sięgnęła po *Jeźdźca miedzianego* i wcisnęła go na półkę wyżej, tuż przy *Dziadach*. – Inaczej to nie ma sensu. Swoją drogą kiedy ostatni raz czytałaś któregoś z nich?

Gienia wzruszyła ramionami i po chwili odparła:

– Nigdy chyba. Patrz, gotowe.

Maria obejrzała rezultat. Daleko mu było do dzieła sztuki, ale woląta tego nie zauważać.

– Mam pewien plan – oznajmiła. – Nie budź chłopaka, niech sobie smacznie śpi, niech śpi. – Wyciągnęła telefon i wybrała numer. – Ulka, chodź do Gieni, natychmiast! – wydała polecenie, a po chwili dodała: – Nie szkodzi, napiszę ci usprawiedliwienie!

– Co ty kombinujesz? – Gienia westchnęła. Miała brudne ręce od farby. Szare, białe i czarne plamki pokrywały jej obie dłonie. Zawsze tak malowała. Ekspresyjnie. Ogrodniczkom też się zazwyczaj dostawało.

Ulka przyleciała jak na skrzydłach.

– To się chyba nazywa „uchachana”? – spytała Maria, wpatrując się w piegowatą bombę atomową po wybuchu.

– Aha – odparła Ulka, wchodząc do pokoju. Po drodze zgubiła kurtkę, czapkę i szalik. Buty zdjęła w przedpokoju, nie zatrzymując się przy tej czynności ani na ułamek sekundy. – Co robimy? – zatarła ręce, jakby szykowała się na apetyczną strawę, a potem kiwnęła w stronę Bogusia: – Ładny!

– Pożal się dziecko – westchnęła Maria.

– Struś ładny – Ulka spojrzała na staruszkę spode łba i zachichotała.

– Weź no, dziecko, telefon tego naszego kawalera, zrób zdjęcie dzieła sztuki i wrzuć tam, gdzie się wrzuca, nie pamiętam nigdy, jak się to nazywa, no ten, literacka facjata?

Genowefa prychnęła. Ulka na paluszkach podeszła do Bogusia i delikatnie wyjęła z tylnej kieszeni jego spodni sfatygowanego smartfona.

– Myślisz, że on używa takich wynalazków? – Gienia nie mogła się zdecydować, czy zareagować oburzeniem, czy wręcz przeciwnie.

– To, że ty nie używasz, nie znaczy, że młodsze pokolenie nie korzysta z dobrodziejstw internetu – fuknęła Marysia, a przyjaciółka zakryła czym prędzej twarz, zasłaniając ją rękawem, by solidnie, jak jej się wydawało, ziewnąć. Tyle tylko, że gest ten był za bardzo przerysowany, co nie uszło uwadze Marii. – Nie... – powiedziała, przeciągając zbitkę „jeeeeeee” i chwytając się pod boki. – Nie wierzę w ani jedno twoje udawane ziewnięcie – zakomunikowała. Była naprawdę zaskoczona.

– No co? – burknęła Genowefa. – Mam profil z żuczkami.

– Że co proszę? – Druga ze staruszek czuła, że straciła kontrolę nad rzeczywistością, a Genowefa z kolei panuje nad

nią jak mało kiedy.

– Zrobione! – oznajmiła Ulka, pokazując smartfona obu babciom.

– Co tam napisałaś? – Gienia odsuwała telefon od siebie; w tym samym czasie Maria go przysuwała, by lepiej zobaczyć. Dalekowzroczność i krótkowzroczność przyjaciółek wytrwale rywalizowały przez około minutę, wreszcie poddały się obie.

– „Zamieniam dno na piękno” – zachichotała Ulka.

– Brawo, mądra dziewczynka – pochwaliła Maria.

– Tak, jeszcze powiedz, że to po tobie – prychnęła Genowefa.

– O co ci chodzi, co?

– Sama nie wiem. Wtrącamy się w nie nasze sprawy.

– No co ty nie powiesz? A twój czynny, podkreślam: czynny, udział w marszu faszystów w dwudziestym pierwszym wieku dla dobra ojczyzny i malowanie strusia na gołym ramieniu nieznajomego faceta to nie jest wtrącanie się w nie swoje sprawy?

– Ja próbuję nawiązać z nim dialog! – zachnęła się Genowefa.

– A ty... – Urwała, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

– A ja przy okazji dobrze się bawię – Maria rzeczywiście wyglądała na wyraźnie rozbawioną. Trzymała w dłoni telefon Bogusia, a Ulka przewijała jej kolejne komentarze jego społecznościowych znajomych. Jak można było się łatwo domyślić, komentarze nieprzychylne, wręcz przeciwnie. – Ubaw, mówię ci, ale lepiej nie czytaj.

Genowefa wyrwała telefon i oddaliła go na wyciągnięcie swojej ręki. Gdyby mogła, wydłużyłaby sobie ramię, bo i tak za dobrze nie widziała. Potrzebowała większej odległości.

– *Selfie stick* by się przydał – oznajmiła Ulka z zadowoloną miną.

– Słucham? – Genowefa naprzemiennie mrużyła oczy i je

wybałuszyła, by cokolwiek zobaczyć pod postem Ulki, to znaczy Bogusia, ale Ulki.

– Jaki tam stik? – wtrąciła Maria. – Wystarczy pójść do sypialni po okulary do czytania.

– Ja pójdę – odezwał się Boguś, siadając na kanapie i przecierając zaspane oczy.

– Ależ nie ma po co! – Gienia schowała telefon do kieszeni. Niestety, dźwięki informujące o nadejściu kolejnych komentarzy nie działały na korzyść babć. – Lepiej zjedz pomidorową, zrobiłam specjalnie dla ciebie.

– Ma babcia branie – zaśmiał się Boguś, wskazując na kieszeń z telefonem. – Fajnie, że założyła babcia fejsa, co nie? Jakiś porządny kawaler chociaż pisze?

– Tak, tak – prychnęła Maria. – Całkiem spoko. – Słowo „spoko” wypowiedziała z nieskrywaną irytacją. – Ma dużo włosów i w głowie poukładane. Zna historię i wie, że narodowcy to faszyci!

– Mryśka! – zachnęła się Gienia.

– Ulka, dziękuję, wracaj do szkoły – syknęła druga staruszka, wkładając płaszcz.

– Na jedną lekcję się już nie oplaca. – Ulka najwyraźniej podjęła samodzielną decyzję.

– Bo wyrośniesz na takiego... – Maria skinęła w stronę Bogusia zajądającego się pomidorową.

– Co ty mówisz?! – zdziwiła się szczerze Ulka. – Nigdy bym się na łyso nie zrobiła.

Śmiech dziewczynki też miał piegi. Wesole, maleńkie, skrzące się. Rozlewał się po klatce schodowej, wreszcie ucichł wraz z trzaśnięciem wejściowych drzwi.

Maria postanowiła pójść w jej ślady. Co prawda o zbieganiu ze schodów lub przeskakiwaniu po kilka stopni nie było mowy, ale

zmusiła się do uśmiechu i nawet wyartykułowała głośne, niesione echem:

– Ha, ha, ha.

Nie chciała już myśleć o żadnym Bogusiu. Starczy, zmęczyła się. Skoro Gienia uważa, że trzyma rękę na pulsie, to niech się sama zajmuje swoim... pasierbem. Ona, Maria, nie będzie jej wiecznie wyciągać z tarapatów.

W tym momencie mocne postanowienie spaliło na panewce. Maria zatrzymała się na parterze. Bojowy chód zamieniła na powolne ciągnięcie nogi za nogą, wyszła na zewnątrz i się wzdrygnęła. Bynajmniej nie z zimna, choć pogoda nie rozpieszczała. Wspomnienie, jak to Genowefa wyciągnęła do niej młodej, porzuconej żony dłoń i zaoferowała dach nad głową, wywołało uśmiech. Taki prawdziwy, nie udawany. Wreszcie mogła się roześmiać. Z całego serca. Brakowało tylko jednego pięknego elementu, aby śmiech nie został stłumiony przez szloch. Alicji. No i też Steffi.

Chwilę później zadzwonił telefon.

– To nie twoja kasa. – Najpierw do Marii dotarła wściekłość rozmówcy, dopiero później fakt, że słowa były wypowiedane po angielsku, z mocno amerykańskim akcentem. To nie był żaden z Beatlesów ani Elvis dzwoniący zza grobu. Męski głos wibrował od nadmiaru emocji. Niestety nie rezonował z tymi pozytywnymi.

– Czy powiesz mi coś więcej, młody człowieku? – spytała Maria, płynnie przechodząc na język rozmówcy. Choć miała ogromną ochotę, by się rozłączyć, z jakiegoś powodu tego nie zrobiła.

– Jutro w południe przyniesiesz wszystko na dworzec centralny i zostawisz w schowku na bagaże. Będziesz sama, a my będziemy cię obserwować, babciu – usłyszała, lecz zamiast słuchać ciągu dalszego rodem z taniej produkcji sensacyjnej, wysyczała:

– Nie jestem twoją babcią, wnuczku. – I rozłączyła się, a następnie wyciszyła telefon.

Nie zważając na wibracje w kieszeni, kilkanaście minut później siedziała ze Stachem w Baśniowej. W takich sytuacjach trzeba było się ratować słonym karmelem i sorbetem truskawkowym.

Stachu nie jadł. W milczeniu patrzył na strapioną Marysię, uśmiechając się w brodę.

– Kiedy ty się wreszcie odważysz, co, Stachu? – spytała, oblizując się ze smakiem. Gardło zaczynało pobolewać, w końcu aura nie nastrajała do jedzenia lodów, ale Marii to specjalnie nie przeszkadzało.

– Ja? – zagaił, trochę się pesząc. Nie tracił jednak przy tym uroku osobistego.

– No a kto, ja? – prychnęła ze swoją własną i niepowtarzalną nutką sarkazmu Marysia.

– No pewnie, że ty.

– Dlaczego ja? – spytała zdziwiona. Bardziej tym, że sorbet już się skończył, bo na nim była mocniej skoncentrowana.

– A kto czai się jak czajnik i daje sprzeczne sygnały? – Stachu uniósł brwi. Krzaczaste i pięknie siwe.

– Ty, widzę, jesteś znawcą kobiecych dusz – syknęła Maria, bo słony karmel również zakończył swoją żywotność w słodkim wafelku.

Stachu westchnął, spojrział na Marysię i podszedł do kasy. Po chwili wrócił z powtórką z rozrywki i wręczył uradowanej towarzyszce wafelek z lodami.

– No, to możemy uznać, że dziś nasza pierwsza randka – powiedziała spokojnie.

– Aha – burknął Stachu. – A jutro nie odbierzesz ode mnie telefonu. Znam cię przecież.

– No nie mów! To mi coś przypomina, bynajmniej nie mnie.

– Mówisz o Pawle i Małej Mi? – Mężczyzna się zaśmiał. – Trochę tak, ale ty jesteś bardziej świadoma, oni się zachowują po szczeniacku. Ty z kolei jesteś w tym wszystkim wyrachowana.

– O mój Boże! – Maria wywróciła oczami.

– Alicja by ci teraz powiedziała co nieco o wzywaniu nadaremno. – Stachu pogroził jej palcem, udając powagę.

– A właśnie że będę wzywać. Właśnie że nadaremno. I coraz częściej. Za to, że mi zabrał Alkę. I nie tylko.

– Poważne tematy dziś poruszasz. – Stachu westchnął. – No dobra. A teraz dajesz.

– Tak szybko przechodzisz do rzeczy, na pierwszej randce; Stasińku, nie wypada! I do tego w miejscu publicznym? Tu są dzieci. – Marysia rozejrzała się po bajkowym wnętrzu kawiarenki. – No i ptaki. – Machnęła ręką nad głową. – Mechaniczne co prawda, ale są.

– No i komu te uniki są potrzebne? Z pewnością nie tobie.

– Uniki?

– Uciekasz od podzielenia się tym, co cię trapi, choć właśnie po to chciałaś się spotkać. Mryśka! Jedziesz! – Stachu gwizdnął, skupiając tym samym na sobie wzrok siedzących przy sąsiednich stolikach.

– Nie chcę o tym gadać.

– Chcesz.

– Nie, wolę się do ciebie przytulić, Stasińku. – Mówiła całkiem poważnie.

Ironia poszła precz. Uśmiezek Stacha również. Postanowili wyjść razem i razem wsiąść w tramwaj, by przejechać trzy przystanki do mieszkania Stacha. Tak też zrobili...

...a potem po raz pierwszy robili inne rzeczy, których bardzo chcieli, a których jednocześnie nie chcieli nazywać po imieniu, jakby sądzili, że niewypowiedane słowa miały dłuższy termin ważności. Może rzeczywiście tak było? Jej piersi o dziwo dziś nie musiały wcale sterczeć, żeby przyciągnąć jego uwagę. Spojrzenie, dotyk, wszystko jak trzeba. Jego blizny i wiotka skóra nie przegrywały z jędrnością minionych lat. Było dobrze i spokojnie. Choć czasem łapczywie, to jednak bez pośpiechu.

– No, to chyba wygraliśmy – zaśmiała się, siadając nago na fotelu i zapalając papierosa. To było marlboro, które od niepamiętnych czasów nosiła w torebce na specjalne okazje. Dziś ta okazja nadarzyła się po raz pierwszy. Czy Maria nadal chciała włożyć kowbojski kapelusz? Zastanowiła się chwilę nad tym i stwierdziła, że już tego nie potrzebuje. Uniosła dłoń i przeczesała chudymi palcami siwe włosy.

– Wygraliśmy? – Stachu leżał przykryty kołdrą.

– Mała Mi z Pawełkiem zapewne nawet się nie całowali! – Maria zachichotała i zaciągnęła się papierosem. Dym wypuściła szybko, gwałtownie, rozgoniła go ręką, a potem ubrała się i wyszła. Chciała do domu.

ROZDZIAŁ XIII

NYC, LATA 80.

*A well I bless my soul
What's wrong with me?*

Elvis Presley, *All Shook Up*

– Mówią, że to wszystko jej wina. Piszą, że wina leży po stronie tej dyrektorki. Ta kobieta została zwolniona. Nie powinna była nigdy zajmować tak wysokiego stanowiska. Emigranci zazwyczaj kończą w taki sposób. Nie da się temu zaprzeczyć.

Maria chwyciła się za głowę. Sama tego chciała, ale czy na pewno? Czy może próbowała chwycić się jakiegokolwiek brzytwy? Bo to, że tonęła, nie ulegało żadnej wątpliwości. Powyższe sformułowania znosiła dzielnie. Przedwczoraj, wczoraj też. A nawet dzisiaj rano i tuż po południu. Dziewczyny trajkotały jak najęte. No, może nie wszystkie. Niektóre z nich, mierząc spódnice i sukienki à la Alexis, tylko wtrącały jakieś słówko naprowadzające na temat, który je nadzwyczaj interesował. W końcu były w domu TEJ, której mąż zginął w laboratorium badawczym. Przez TAMTĄ, która miała czelność do TEGO domu przychodzić.

– Oni się przyjaźnili – nie wytrzymała Maria za siódmym razem. Mimo że po wypowiedzeniu tych słów zaległa cisza, wdowa nie poczuła ulgi. Wręcz przeciwnie, zapragnęła trajkotania o domysłach wyssanych z palca. Lecz więcej nie powiedziała nic. Ani ona, ani żadna z dziewcząt.

Pracowała bez wytchnienia przez sześć kolejnych dni. Wcinała w przerwie szarlotkę i bezę, które przynosiły jej klientki na poprawienie samopoczucia, choć wszystkie jak jeden mąż

powtarzały, że to oczywiście nie załagodzi bólu po stracie, no ale może choć na ułamek sekundy...

Maria zbierała ułamki sekund. Nawlekała je na nic wspomnień, którą zaczęła tkać niczym pajak na ganku pomiędzy drewnianą balustradą schodków a starą ościeżnicą. Pajaki od zawsze lubiła. Teraz stała się jednym z nich – kolekcjonerka nowych drobiazgów, jak smak szarlotki czy zapach pani Smoke. Jak szafirowy kolor oczu jednej z dziewcząt podczas przymiarki satynowej sukienki, nad którą Maria spędziła pięć nocy z rzędu. Jak pieczenie skóry karku, gdy zbyt długo siedziała na ganku z wykrojami kamizelki męskiej dla starszej pani lubiącej męski styl i białe koszule. Była wyjątkiem. Nie lubiła *Dynastii* ani zespołów rockowych, będących teraz *number one*. Jak błądy świt na Manhattanie albo zatłoczone metro w godzinach szczytu, gdy nie czuła się samotna.

Siódmego dnia Bóg odpoczywał. Siódmego dnia ona wstała wcześniej rano, umalowała usta i włożyła nową spódniczkę. Biała bluzka koszulowa pasowała idealnie, ale Maria na to nie zwracała szczególnej uwagi. Sandałki z odkrytymi palcami na płaskiej podeszwie nie piły, gazety otwarte na odpowiednich stronach ze wzmiankami o wybuchu w laboratorium gniotły się pod pachą.

Maria szła niespiesznie. Uśmiechała się do spotykanych przechodniów. Nie było ich wielu. Machała, gdy ktoś machał jej. Tego dnia zostawiła samochód przed domem. Pieszko myśli się inaczej. Pieszko się zupełnie nie myśli, pieszko się patrzy dookoła. Wcześniej nie wpadłaby na ten pomysł, ale zdjęcie w gazecie nie pozostawiało złudzeń. Widziała tę księgarnię. Miała fantazyjny szyld. Nawet Michałowi kiedyś o nim opowiadała, że przypomina jej „nasz Pałac Kultury”, na co on odparł, że jaki on nasz, przecież go Ruscy zbudowali. Kłóciła się z nim wtedy, że i owszem, ale wybudowali dla nas, więc jest nasz.

Przystanąła. Na ulicy było kilka domów, ale tylko na drzwiach jednego z nich wciąż, mimo upalnej pogody, wisiał stroik

bożonarodzeniowy. Plastikowy, obrzydliwy i przytłaczający, zwłaszcza o tej porze roku. Promienie słoneczne nie dodawały mu uroku, wręcz przeciwnie: podkreślały zgniły kolor zieleni pseudojodły. Drzwi wyglądały jak nagrobek, stary i zaniedbany. Maria westchnęła. Stała po przeciwnej stronie ulicy i przyjrzała się oknom. Drewniane, bezosobowe. Jak to możliwe? Nie tego się spodziewała. Szykowała się na blask, blichtr i dobre wrażenie. Przecież zbrodniarze zawsze takie robili. Dobre wrażenie.

Nie, nie myślała o niej w tych kategoriach. To skąd w takim razie takie porównania? Być może podświadomość dała się zwieść tym wszystkim plotkom, spekulacjom i pogaduszkom prowadzonym po kątach. Być może. Teraz jednak stała sama. Podszeptów nie było. Nie było też nikogo, kogo miała ochotę zobaczyć, złapać za rękę i krzyknąć prosto w twarz bezgłośnie: „Jak to się mogło stać?!”. Nie miała jednak odwagi wejść po trzech podniszczonych schodkach, by zapukać do drzwi. Do domu wracała z niczym, gdy zaczynało się ściemniać. Po upływie kolejnych sześciu dni nastał ten siódmy. A potem kolejny i kolejny.

Lało. To nic nadzwyczajnego. Zdarzało się w wielu krajach i kulturach. Co niektóre nawet używały tańców szamańskich do wywołania upragnionego deszczu. Udawało im się. Nowy Jork nie wymagał żadnych rytuałów. Działał instynktownie, czasem po omacku, ale pielęgnował letnią roślinność, zmęczoną upałami. Maria była zaś jak przesuszony krzew. Miała wrażenie, że jej życiodajne soki przestały krążyć w gałązkach, a przecież było lato, nie zamarzała pod śniegową pierzyną. Może reprezentowała sobą bardziej pustynny krajobraz, marzyła o oazie, nawet wmawiała sobie, że jest ona na wyciągnięcie jej ręki, trzeba tylko chcieć ową oazę dostrzec, a droga do niej nie będzie ani daleka, ani wyboista. Nie musiała być wcale usłana różami, ważne, by była dostrzegalna. I takie momenty przychodziły – rzadko.

Chłoneła deszcz. Nie zabrała ze sobą parasolki, choć gdy wychodziła z domu tego siódmego, kolejnego już dnia, kropiło, a niebo zaciągała szara kurtyna. Plik gazet pod pachą powiększył się o cztery nowe. Nie pamiętała z których dni. Temat ucichł. Nowojorczyków bardziej obchodziły zmiany na giełdzie. Stała pod oswojonym już, jak jej się wydawało, drzewem, wbijając w korę paznokcie. Próbowwała się do niego tulić, zgodnie z naukami Genowefy, jednak czuła wówczas, że się poddaje. Czemu lub komu? Nie umiała na to pytanie odpowiedzieć, a było ono z tych natrętnych, takich jak zapomniane słówko na końcu języka, które trzeba było niezwłocznie sobie przypomnieć, by zaznać odrobiny spokoju. Maria wiedziała, że spokoju nie zazna nawet wówczas, gdy znajdzie odpowiedź na jakiegokolwiek pytanie, a przecież poszukiwała odpowiedzi. Teraz stała, wciskając paznokcie w korę lipy, która była stara, a jedna z jej gałęzi doszczętnie sucha. Miała przewagę nad Marysią o całą resztę soczyście zielonych witek, cieszących się deszczem. Gazety były mokre. Papier rozrywał się pod wpływem wilgoci.

– Długo masz zamiar tu moknąć? Myślałam, że dziś zapukasz do drzwi.

Maria nie odwróciła głowy, w zasadzie nie drgnęła. Zaniósła się tylko szlochem. Jednym jedynym spazmem, który wyrwał się w deszcz.

– Albo daj mi w mordę, albo wejdź do środka. – Steffi wzięła ją pod rękę i poprowadziła do domu.

Panowała cisza, jeśli nie liczyć szurania, wycierania, otwierania szafy i wyjmowania z niej suchych ubrań. Nie było trajkotania, zagadywania, tłumaczenia, nie było żadnych słów. Bez nich świat wydał się Marii w tym obcym domu jakiś bardziej przyjazny; może chodziło o wyrozumiałość? Tylko czyją wobec kogo? Kolejne pytanie, na które brak odpowiedzi koił. Było słyhać jeszcze coś. Tu też zaległa pustka, ale taka niecałkowita. Niedefinitywna, trudna do opisanania. Ta była

plytka i wyniosła zarazem. Zdająca sobie sprawę, że łatwo ją zmaćić. I to zmaćienie od czasu do czasu następowało.

Marysia siedziała na kanapie. Miała na sobie dres obcej kobiety, była przykryta kocem o zapachu cudzego płynu do płukania tkanin wymieszanym z lekką wonią czegoś znajomego, lecz co to było? Kubek z herbatą parował w jej dłoniach. Gazety rozłożone na stole udawały, że schną. Steffi udawała, że nie ma nic do powiedzenia. Maria udawała, że nie chce niczego słyszeć. I tylko jedna istota nie udawała niczego.

– Jesteś piękna jak zmokła kura! – Głos był poważny, ale jednocześnie radosny. Tylko dzieci tak potrafią mówić. Tylko takie dzieci. Gloria siedziała za wnęką na rozłożonym czerwonym kocu. Dookoła porozrzucone miała duże zabawki. Miała też wykrzywioną twarz, a jej ciałem od czasu do czasu targały lekkie spazmy. Napinała się wówczas i wydawało się, że za chwilę wybuchnie. Jednak po chwili następowało rozluźnienie kończyn, twarzy – i wszystko wracało do normy, na momencik.

– To Gloria, moja córka – powiedziała Steffi. – Jest chora. Chyba na wszystko.

Machnęła ręką, jakby temat nie był wcale wart poruszenia.

– Co się stało? – Maria powąchała koc, którym się okrywała. Już wiedziała, że zapach, którego nie mogła zidentyfikować, był zapachem dziecka.

– Po porodzie powiedzieli, że jest zdrowa. Po dziesięciu dniach okazało się, że coś jest nie tak. Nie umiem nawet o tym mówić, szybciej i łatwiej było nauczyć się z tym żyć. Czasem ze mną rozmawia po swojemu. Czasem powie komuś coś miłego. Z reguły płacze albo krzyczy.

– A jej ojciec? – Maria nie mogła oderwać wzroku od dziewczynki.

– Uciekł. – Steffi robiła kawę. W jej ruchach były gracia,

dostojeństwo i spokój, o jaki Maria nigdy wcześniej by jej nie podejrzewała.

Krzyk rozległ się nagle. Maria z przerażeniem spojrzała w stronę dziecka. Steffi podeszła i przysunęła bliżej piłkę, która przeturlała się zbyt daleko.

– Wszystko dobrze, kochanie – powiedziała do dziewczynki. Wróciła do aneksu kuchennego i dodała: – Nie chodzi, ma też nieskoordynowane ruchy rąk.

Maria nie zadawała pytań. Steffi odpowiadała na te niewyartykułowane za każdym razem, gdy Gloria zachowywała się nie tak, jak powinno się zachowywać normalne dziecko. Mówiła ze spokojem, jakiego Maria nie знаła.

Pięć godzin później Gloria spała. Sześć godzin później spała też Maria. Na kanapie w salonie, otulona pachnącym dzieckiem kocem. Zасыpiając, powtarzała w myślach słowa Steffi. Nie mogła nic zrobić, mimo iż wiedziała. Nie mogła nic zrobić, nikogo zawiadomić, bo o nieprawidłowościach w laboratorium i ryzyku, na jakie narażał się Majkel z Polski, wiedziała góra, ale nic z tym nie robiła. A ona się bała postawić. Teraz boi się, że Marysia jej nigdy tego nie wybaczy. To, że sama sobie wybaczyć nie będzie potrafiła, było mniejszym problemem.



Nazajutrz świeciło słońce, choć było bardzo blade, jak twarze obu kobiet. Maria wyszła z domu i powędrowała na drugą stronę, pod lipę, założyła kowbojski kapelusz i zapaliła papierosa. Po chwili dołączyła Steffi. Na jej głowie również znajdował się kapelusz, z kieszeni koszuli w kratę, którą dziś miała na sobie, wystawała paczka marlboro. Chwyciła jednego między palce, ale nie zapaliła. Trzymała i patrzyła w zupełnie innym kierunku niż Maria. Jedna widziała przeszłość, ale nie

widziała przyszłości. Druga na odwrót, choć spojrzenia Marii i Steffi były bardzo zamazane, nierealne, mętne jak bagno z mulistym dnem po tym, jak co najmniej tuzin dzieciaków wbiegło do niego, szukając schłodzenia w upalne popołudnie. Same były kiedyś takimi dzieciakami. Marzyły tylko o tym, by dało się podwędzić śliwki robaczywki z sadu sąsiadki tak, by ta ich nie nakryła i nie naskarżyła rodzicom. Teraz to wszystko, co było, nie miało najmniejszego znaczenia. Czyż w takiej sytuacji mogło mieć znaczenie to, co dopiero miało nadejść?

ROZDZIAŁ XIV

*It's now or never
Come hold me tight*

Elvis Presley, *It's Now Or Never*

Komórka nie była jedynym elementem, który działał na nerwy. Najgorsze było to, że o ile wcześniejsze ignorowanie telefonów z pogrózkami przychodziło Marii z łatwością, o tyle z nasileniem się częstotliwości tychże przyszło znużenie, które z kolei ustąpiło miejsca dawno nieodczuwanemu niepokojowi. Stojąc przy oknie i śmiejąc się z własnego stopniowego upodobniania się do Czarnej Wandy, Maria zauważyła postać. Postać była płci męskiej i siedziała na ławce niedaleko kamienicy, z której Maria prowadziła obserwacje. Wydawało jej się, że widziała ją także, gdy wychodziła do „Patrycji” dziś rano. A zjawiała się tam (Maria, nie postać), by sprawdzić, jak sobie radzi wnuk Pawełek. Z Małą Mi, rzecz jasna. Do weryfikacji skłonił Marysię jej własny występki, którego się dopuściła wieczór wcześniej.

Stachu przywitał ją na podwórku domu spokojnej starości z łopata i grabiami w ręku. Na jego widok Marysia gwizdnęła z podziwem i pokiwała głową.

– Nie sądziłam, że to działa.

– Działa, działa – odezwał się starszy pan, śmiejąc się w brodę. Nie przerwał jednak sprzątanina zgniłych liści, zajmujących całe podwórko, i tylko dodał: – Chętnie powtórzę terapię wieczorem.

– O proszę, nagle przejawileś inicjatywę! Co się zmieniło, Stasięku? – Marysia rzuciła pytanie w eter i weszła do „Patrycji”.

Nie musiała wymyślać na poczekaniu powodu, który ją sprowadził w to miejsce. Przez dłuższy czas, mimo wędrowania głównym, zaludnionym o tej porze dnia korytarzem, pozostawała niezauważona. Gdy przechodziła obok pokoju Małej Mi, zwolniła. Pod drzwiami tkwił Historyk z Muzykiem. Obaj stali na baczność, udając, że rozglądają się po suficie.

– Szukacie pajaków? – spytała Maria, podchodząc bliżej.

– Szanowna pani niech lepiej nic nie mówi – uprzedził Muzyk, przykładając palec wskazujący do ust, a potem wskazał na Historyka i wykonał gest podcinania gardła.

– Mam się go bać? – upewniła się Marysia, spoglądając na drugiego staruszka, który w skupieniu udawał, że go tu nie ma.

– Niech słucha lepiej. – Muzyk wskazał drzwi do gabinetu Joanny.

– Podśłuchujecie! – zainteresowała się Marysia, nadstawiając uszu.

– Miała dziś wszystko wyjaśnić – zakomunikował wreszcie Historyk. – Szła korytarzem, machała rękoma i mamrotała: „Ja mu zaraz pokażę”. No niech pokaże, bo się rozbestwił, skubany jeden.

– Kto? – Marysia zdębiała.

– Kto, kto? – zaświergotał Historyk piskliwym głosem. – Wnuk, rzecz jasna.

– Czyj wnuk? – Marysia złapała się za serce, widząc oczami

wyobraźni małego chłopca, który przyszedł w odwiedziny do babci lub dziadka do domu spokojnej starości i zamiast siedzieć przy owej babci czy owym dziadku, rozczesywać jej włosy lub grać z nim w domino, wlaź do kuchni przed obiadem i napluł do wszystkich porcji cateringowego badziewia.

No i dobrze zrobił, pomyślała Marysia, ale nagle się ocknęła z tej jakże malowniczej wizji. Zza drzwi dobiegł ją głos Pawła.

– Aha, to ten wnuk – prychnęła z niedowierzaniem. – Czyli nic z tego – dodała pod nosem. – A jednak sobie nie radzi.

– Z czym? – zainteresował się Muzyk.

– Z Małą Mi – westchnęła Maria, oparła się o ścianę, skrzyżowała dłonie i czekała.

– Za to radzi sobie nad wyraz imponująco z pozostałymi paniami – zdradził Historyk.

– To dobrze. Chyba się cieszyacie, że dogaduje się z waszymi damami? W końcu mają okazję postroić się dla was. Wiem, co mówię, on ma tę smykałkę z pewnością po mnie. – Maria czuła dumę. Choć nie przekazywała mu swoich umiejętności krawieckich, cieszyła się, że ten zawód może przynosić radość nie tylko temu, kto go wykonuje, ale i osobom korzystającym z jego usług. To się liczyło. I wybawiało od własnych strachów i nieprzystosowania do świata. Od myślenia, że nic już w życiu nie może być takie jak dawniej.

– One stroją się dla nas? – Zdumienie Historyka odbijało się nie tylko na jego twarzy, ale i na całym ciele. Wyprostowany, z wypiętym torse, wydał się Marysi wyższy niż zazwyczaj, o co najmniej głowę. Rysy jego twarzy złagodniały, nie straszyla już też czupryna, nastroszona i potargana mimo braku wiatru. Dwie podłużne kreski przecinające czoło wyraźnie się zmniejszyły.

– No proszę, jaka metamorfoza! – Maria znów westchnęła. Też by tak chciała, by zmiana perspektywy przynosiła jej efekty

porównywalne do botoksu.

– Nie, nie muszę tego robić w świetlicy, oczywiście, że nie. Mam oddzielne wejście, tak, tam będę przyjmował klientki. – Wreszcie dało się usłyszeć temat rozmowy odbywającej się za drzwiami, co oznaczało modulację głosu rozmówców.

– Aha, ciekawe! – Wyrwana z kontekstu wypowiedź Małej Mi zdradzała jej rozgoryczenie.

– No przecież sama chciałaś, i ja to rozumiem: dopóki drogie babcie chciały przeróbek swoich ubrań, mogłem sobie siedzieć w świetlicy, ale teraz, jak zaczynają przychodzić ich córki, to już wiadomo, że czas na zmiany.

– Drogie babcie! – prychnął Historyk. – Słyszeliście to?

– Często tak wszystko zmieniasz? – drażyła Mała Mi, zbaczając z drogi na ścieżkę, która nagle zaczęła wydawać jej się kręta i niebezpieczna.

– O co ci chodzi? – spytał Paweł spokojnie.

Mała Mi nie odpowiadała, a przynajmniej towarzystwo zgromadzone na korytarzu nie zanotowało żadnego dźwięku.

– Może powinienem się wyprowadzić? – zagaił Paweł w dobrej wierze. Doprawdy nie sądził, że może tym wywołać tak wiele emocjonalnych, nie do końca pozytywnych uniesień.

– No, jeszcze czego! – dobiegło z gabinetu Małej Mi.

Tym razem Paweł zamilkł, a zza rogu korytarza zaczęły wyłaniać się patrycjuszki, głęboko poruszone tym, co działo się za drzwiami.

– Biedny wnuczek, może mu placuszki upieczemy? – wzdychały jedna do drugiej, nie zważając na zdziwione miny swoich kolegów.

– No, widzisz, co tu się dzieje? – Historyk zwrócił się do Marysi, której jako jedynej było do śmiechu, i to bardzo. – Placuszki mu upiec – przedrzeźniał zasłyszaną frazę, która tak

bardzo go poruszyła.

– Ty byś im pomógł z tymi placuszkami, co? Zastanów się, dobrze na tym wyjdiesz.

– Ja też bym chętnie skosztował placuszków, moje panie – zaszczębiotał Muzyk, nie tyle przyjmując dobre rady Marii, ile wyjawiając własną słabość do różnego rodzaju wypieków, zwłaszcza tych z tradycyjnej kuchni polskiej. – Mogą być z jabłkiem.

– Leć z nimi i udzielaj się przy swoich babciach – poleciła Maria Historykowi. – Niech wiedzą, że mogą na ciebie liczyć. Nic tu po mnie – westchnęła i odwróciwszy się na pięcie, powędrowała do domu.

I to właśnie w tej drodze do domu postać płci męskiej w koszuli w kratę mimochodem rzuciła jej się w oczy.

Stojąc przy oknie, również mimochodem Maria zerknęła na podwórkową ławkę z powyłamywanymi dechami, na której Jolka kochała Krzyśka albo na odwrót, a Legia Warszawa była panem. Odnotowała, że skończyły się czasy ulicznej prozy rytej na drewnianych szczebelkach ławek; odeszły w zapomnienie. Nawet zawód grafficiarza przeszedł dawno do lamusa, a szkoda, bo lubiła podziwiać twórczość ulicznych artystów, zwłaszcza na Żoliborzu. Stare kamienice i nowoczesne spojrzenie na świat, prezentowane przez działaczy „podziemia ulicy” – jak ich nazywała Marysia – dawały niekiedy bardzo spektakularne rezultaty.

Teraz postać płci męskiej z szeroką szczęką i oczami przysłoniętymi okularami przeciwslonecznymi spoczywała na ubogiej pod względem spuścizny kulturowej ławce, nudząc się niemilosiernie. Facet tkwił tu kolejną już godzinę, tego Maria była pewna. I gdy wyjęła komórkę, by wpisać sekretne „es o es”, postać w koszuli w kratę odebrała telefon, spojrzała na zegarek, podniosła się i skryła za sąsiednim budynkiem. Maria odetchnęła z ulgą. Schowała aparat do kieszeni, ubrała się

i wyszła z domu, zerknąwszy na kuchenkę gazową i żelazko, czy aby na pewno i tak dalej. Musiała wykorzystać chwilę nieuwagi obserwatora, by udać się do swojego azylu. O proszę, to w takich kategoriach rozpatruje teraz mieszkanie Stacha. Takie rzeczy! Maria ze zdumienia dostała czkawki, ale postanowiła nie robić sobie z tego powodu wyrzutów. Z powodu kategorii, rzecz jasna, a nie czkawki. Z tą drugą to można sobie łatwo poradzić. Wszystkim się zdarza, nawet maleństwu w łonie matki. Sama słyszała o tym nieraz, mimo że własnego potomstwa nie miała.

Wyszła z klatki i podreptała wzdłuż ściany kamienicy, pod oknami, zasłaniając się gołymi gałęziami bez liści, jakby mogły ją przed czymś ochronić. Gdyby nie jej żółty płaszcz, z pewnością bardziej wtopiłaby się w szarobury miejski krajobraz, a tak mogła jedynie udawać wielkiego kurczaka wielkanocnego na sterydach lub co najwyżej żonkila na niezłym nawozie, ale na jedno i drugie pora roku była zdecydowanie nie ta.

Na przystanek tramwajowy dobiegła zdyszana i gdy zamknęły się za nią drzwi pojazdu komunikacji miejskiej, odwróciła się w stronę domu, by znów ujrzeć między budynkami i posępnymi drzewami postać w koszuli w kratę. Co ciekawe, Maria uparła się widzieć tę kratę, choć tak na dobrą sprawę facet był w skórzanej kurtce założonej na właśnie tę koszulę, która wystawała przy kołnierzyku.

– Zwiąłam mu – ucieszyła się, nie zastanawiając się zupełnie nad dalszymi konsekwencjami. Ten człowiek najwyraźniej czegoś od niej chciał. A może jej się przywidziało? Telefony, które mogłyby ją wyprowadzić z równowagi, przestały się pojawiać. Może to wszystko jej się tylko zdawało?

– Stara i głupia – wycodziła. – Sensacji szuka. No, Wanda to dopiero by się uśmieła.



Gdy tramwaj z Marysią w środku mknął ulicą Broniewskiego, Genowefa zakładała płaszcz w nowo odmalowanym przedpokoju. To było dzieło Bogusia, który miał ostatnio więcej wolnego czasu z niewiadomych – jak sam stwierdził – przyczyn. I nie chodziło o brak zajęcia. Szło o spontaniczne zaniechanie działalności w kole nacjonalistów, do którego należał; ponoć z tego powodu przestał być zapraszany na spotkania. No on nie będzie się przecież narzucał. Ha! I tu Genowefa przybiłaby chętnie piątkę Marysi i właśnie miała zamiar to zrobić, jak tylko dotrze na jej wyraźne esoesowe wezwanie.

– Po co ty tam w ogóle chodzisz, Bogusiu? – spytała, gdy chłopak stał na drabince i zrywał taśmę malarską z jeszcze wilgotnych ścian.

– A miło tam jest, towarzystwa dużo.

– A korzystasz ty często z tej wirtualnej – Genowefa się zawahała – rzeczywistości?

– E tam, po co to komu? Rzadko. Tylko jak zwołują spotkania, to mnie wołają. Bo wiesz, babciu – samotności to mi wystarczy i w realu. – Westchnął, a Gienia poczuła, że narasta w niej coś na kształt litości. Chętnie by przytuliła młodzieńca, który zszedł na złą drogę, tylko dlatego, że czuł się samotny.

Teraz bardzo chciała opowiedzieć Marysi o swoim odkryciu, a jeszcze bardziej pragnęła zaprezentować swój nowy ciuch – płaszcz à la Maria: żółty i wyrazisty jak słońce, nabyty w second handzie za jedyne dziesięć osiemdziesiąt. Miał pooraną dziurami podszewkę, ale to nic, przecież Pawełek zrobi z nią porządek. A Marysia wreszcie będzie dumna z jej odrobiny ekstrawagancji, o której brak wciąż ją podejrzewała. I miała rację, ale o tym Gienia już jej nie wspomni. Wspomni za to o szaliku w kolorze fuksji, o jaskrawych zielonych ścianach w przedpokoju i czerwonym stole w salonie. I o Bogusiu, rzecz jasna, wspomni, że miała dobre przeczucia, a Maria dobry plan.

Hulajnoga mknęła ulicami starego Żoliborza, rozbryzgując

burą wodę w kałużach. Gienia cieszyła się jak małe dziecko, a to akurat potrafiła najlepiej. Choć to Alicja wiodła prym w niezakłamanej swobodzie radości, Gieni udało się dogonić przyjaciółkę, jeszcze zanim tamta odeszła. A po jej śmierci nawet Maria zaczęła dostrzegać, że radość jest ogromnym dobrodziejstwem i goi rany szybciej i skuteczniej niż czas.

Dziś Gienia postanowiła przechytryć Marysię, wywinać jej niezły numer. Otóż Boguś miał kiedyś rower, ale została po nim tylko blokada z kłódką. Rower sprzedał za grosze, które były mu wtedy bardzo potrzebne. Zarzekał się, że było to dawno i wcale nie wydał wszystkiego na narkotyki. Mamie pomagał z lekami. Genowefa westchnęła jakoś tak ciężko, że szybko zaczął ją zapewniać, iż tak właśnie było, a potem tylko machnął ręką i wyglądało na to, że się obraził. Tylko temat zmienił.

Genowefa zaparkowała hulajnogę przy niziutkim ogrodzeniu przy skwerku i przypięła ją swoim nowym nabytkiem.

– No i cudnie. Napiję się esoesowej wódeczki jak osoba nieprowadząca pojazdu mechanicznego, a Mryśce nic do tego! – chichotała jak małe dziecko. Ale by teraz opowiedziała o swoim pomysle Bogusiowi! Mimo iż wizja takiej rozmowy rozbawiła starszą panią, ta szybko skarciła się w duchu. Przecież to działanie wbrew Marysi i konspiracja z łobuzem, którego tamta nie znosi.

Gienia machnęła ręką, odganiając ugniatające jej spokój czarne myśli, i powędrowała do kamienicy. Nie słyszała szelestu żwiru po prawej. Być może dlatego, że był ubłocony i mniej chrzęszczał, ale wyczulone ucho z pewnością zanotowałoby pewne poruszenie. Można je było oczywiście zrzucić na karb wiatru, który tego dnia był porywisty, w końcu jesień, prawie zima, listopad się kłania. Szelest suchych liści, które zostały się na dębach, zamiast wzbudzać niepokój, uspokajał. Gienia czmychnęła. Tak, tak, jej reumatyzm poddał się sile napędowej jaskrawego płaszcza i chytrego umysłu właścicielki, pozwalając na zwawsze i mniej przewidywalne zachowania. Czmychnęła

zatem do klatki schodowej, wstukawszy w domofonie znany, od lat niezmienny kod. Włącznik światła znajdował się po lewej. Tam, gdzie zawsze zresztą. Machinalnie sięgnęła do brązowego plastikowego przycisku. Gdy rozległ się charakterystyczny dźwięk klikania, światło nie rozbłysło. Genowefa z początku nie bardzo się przejęła, ruszyła ku windzie, ale nagle znieruchomiała. Miała na głowie coś, co zasłaniało pole widzenia. A ręce zostały nagle skrępowane, i to wcale nie przez reumatoidalne schorzenia.

– Co je... – zaczęła, ale poczuła blokadę na ustach. Najwyraźniej ktoś jej je zatkał. Czowała palce dość dużej dłoni. – Ho, ho, ho... – Próbowała wydusić z siebie zdanie, słowo, cokolwiek, zupełnie nie spodziewając się, że sytuacja pozwoli wyłącznie na coś w stylu pozdrowienia ponurego Świętego Mikołaja.

– *Don't panic, grandma* – odezwał się męski głos. Był posępny, ale jednocześnie ostry, choć wcale nie brzmiał złowrogo ani jakoś tak nadzwyczaj strasznie. Jednak Gienia się przestraszyła. Na sekundkę, tak profilaktycznie. Bo przecież tak wypada w podobnych sytuacjach. Czytała o tym w kryminałach i w szaro-czerwonych wydaniach gazet detektywistycznych. I chyba dzięki nim zachowała zimną krew i posłusznie skierowała się tam, dokąd napastnik ją prowadził. A Marysia tak bardzo chciała wykorzenić z niej zwyczaj zaczytywania się tego rodzaju szmatławcami! Teraz to jej dopiero Gienia udowodni, że wie, co robi! No, chyba że nie doczeka już spotkania z Marysią...

Ta myśl ją nieco przygnębiła, ale tuż za nią przyszła kolejna. Była zwiastunem nadchodzącego buntu. Trzeba było tylko spokojnie poczekać, okazać posłuszeństwo, dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi, i wówczas pozwolić na bunt i wyzwolenie. Taki plan krystalizował się w głowie Genowefy, którą nieznanymi sprawcami pakował właśnie do samochodu.

Chwila! – Staruszka odnotowała właśnie coś zaskakującego

i w myślach zadała sobie pytanie: dlaczego ten gość odezwał się do niej po angielsku? Mało tu własnych zbirów, musiał się akurat przypałać jakiś obcokrajowiec?



Marysi było dojrzałe dobrze. Tak sobie myślała, wylegując się przed wyciszonym telewizorem. Co prawda najpierw skrytykowała jego rozmiar. Telewizora, żeby nie było niedomówień. Był za duży. Inne duże gabaryty były jak najbardziej do zaakceptowania, wręcz pożądane, no ale telewizor to już nie bardzo. Słowo „dojrzałe”, którym właśnie się delectowała w ciszy, przerywanej mało inwazyjnym posapywaniem Stacha, nagle zaczęło się dobrze kojarzyć. Z owocami w środku lata, z upalnym słońcem i morską bryzą. Z oliwą z oliwek i soczystym arbuzem. Marysia poczuła wzmagający się apetyt. Na wszystko, czego w swoim życiu doświadczyła. To było nowe doznanie, odkrycie zupełnie innej perspektywy, która przynosząc obrazy wspomnień, nie wykrzywiała jej twarzy w grymasie smutku wywołanym poczuciem straty. Albo winy. Kto wie, co gorsze. Zazwyczaj się uzupełniały. Dziś jednak coś się zmieniło.

Maria nie przepadała za zmianami. Akceptowała je w mniejszym lub większym stopniu, z naciskiem na ten pierwszy wariant, ale żeby lubić... Choć to ona po powrocie ze Stanów podsyłała Czarnej Wandzie literaturę przepelnioną duchowością i poradami, jak pracować nad sobą, to jednak przyświecający jej cel był zupełnie inny niż zmiana własnej perspektywy. Do niej doszło dziś. Tu, w mieszkaniu starszego pana, z którym pozwoliła sobie się związać jako stara babcia niemająca własnych wnuków. Czy pożyczony wnuk się liczył?

– Ależ ciociu! – mruknęła sama do siebie, przykrywając się kołdrą. – Chyba wpadłaś jak śliwka w kompot.

– Lubię kompot – wymamrotał przez sen Stachu i przewrócił się na drugi bok.

– Michał też lubił. I Gloria – westchnęła Maria, pozwalając sobie tym razem na uśmiech.

ROZDZIAŁ XV

NYC, LATA 80.

Tomorrow will be too late

It's now or never

Elvis Presley, *It's Now Or Never*

Nie wiedziała, czy chce o tym myśleć, ale zapomnieć z pewnością nie mogła. Umysł podpowiadał walkę, natomiast serce w dziwny sposób, co było do niego całkiem podobne, narzucało zupełnie inny tok myślenia.

– Ktoś musiał ponieść karę – wyznała cicho Steffi.

– Żeby coś rzucić opinii publicznej. – Maria westchnęła. Siedziała na kanapie wciąż w dresie Steffi, z rozczochranymi włosami, z nadzieją, że jak najszybciej stąd wyjdzie, z jednej strony, lecz z drugiej z ogromną chęcią przebywania w tym domu, z dala od swojego, z dala od całej reszty.

– Idź już sobie. – Steffi również westchnęła ciężko. Krzyk ustał dobry kwadrans temu. Nie dłużył się zupełnie jak te poprzednie kilkanaście lub kilkadziesiąt. Na początku Maria liczyła właśnie te kwadransy, zaczęła chyba po niespełna godzinie nieprzerwanego krzyku. Chciała wejść, zapytać, czy jakoś nie pomóc, ale nie miała odwagi. Nie mogła też wyjść, przyciągana niewidzialnym magnesem. – Idź, idź, błagam, idź. – Spokój Steffi wreszcie się ulotnił; krzyknęła raz, potem drugi, a potem poszła pod prysznic.

Marysia nie chciała wiedzieć, co dalej. Nie potrafiła nawet odgadnąć, gdzie się podziały jej własne myśli. Były, ale się zmyły, a ona nie miała sumienia ich szukać. Tak, tak. Sumienia nie miała. Znów była pusta, pozbawiona jakichkolwiek emocji,

a przecież szukała ujścia dla gniewu. Była pewna, że stercząc przed tym obcym domem, wreszcie eksploduje i wtedy zacznie się wszystko układać. Jak? A tak, byle jak. Nie chodziło tu o „jakoś”, chodziło o to, by w ogóle cokolwiek układać się zaczęło. Efekt był zgoła odmienny.

Patrzyła w dół, ale nie widziała własnych stóp. Dostrzegała jedynie żółty nowojorski kurz, pył, którym pokryło się miasto, tworząc barierę ochronną przed intruzami i przed swoimi, wszystkimi, którzy tymi uliczkami chadzali dzień w dzień, bujając w chmurach własnych myśli, nie zauważając pająka na pożółkłym krzewie po prawej, biedronki na zielonej barierce oddzielającej skrawek trawnika od przystanku autobusowego, domku dla lalek zrobionego z patyków i pustych pudełek po zapalkach, zostawionego przez jakieś dziecko wieczorem dnia poprzedniego, ani kolorowych szkiełek, pękniętej piłki blokującej ujście studzienki kanalizacyjnej. Te skarby na co dzień umykały. Dziś to właśnie Maria poświęcała ułamek swojego czasu na dostrzeżenie tych rzeczy, co to nikomu nic po nich. Zaczęła nagle się zastanawiać, jakie drugie życie mogłoby spotkać te wszystkie przedmioty i owady, gdyby tylko ktoś, ktokolwiek, chciałby im poświęcić odrobinę zainteresowania. Tylko po co? Po co?

Po co ktoś chciałby poświęcić szczyptę swojego czasu jej albo Steffi z jej chorą na niezidentyfikowane choroby genetyczne dziewczynką, która w wieku siedmiu lat zachowywała się albo jak nieposkromiony niemowlak z atakiem kolki jelitowej, albo jak niejeden starzec z domu opieki. Kto by miał ochotę, aby to dostrzec? Czy ona chciała dostrzegać? Czy nie miała innego wyboru?

Maria zawróciła. Pomogła biedronce trafić na trawnik, a potem wyjęła piłkę ze studzienki i umieściła ją na ławce.

– I to ma niby uratować świat? – prychnęła ironicznie, śmiejąc się z własnego zachowania.

Przyspieszyła kroku. Po kilkunastu metrach zaczęła biec.

I w tym momencie, nagle, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Taki szeroki, szczery, nieujarzmiony. Nie umiała go powstrzymać. Oczywiście, że spróbowała, jednak mięśnie zastygły w grymasie, o którym Maria przez pierwsze chwile myślała właśnie w tych kategoriach. To był grymas, znany z niepamiętnych czasów. Stopniowo, zbliżając się coraz bardziej do domu, z którego nie tak dawno wyszła, zmieniała jednak percepcję i wreszcie poczuła radość, którą zwiastował ów grymas, będący w tym momencie najpiękniejszym uśmiechem świata. Tak z pewnością określiliby go Michał. Tak, z pewnością!

Była zdyszana i spocona. Sukienka potrzebowała porządnego prania, a ona sama prysznic. Nie zawracała jednak sobie tym głowy, nawet gdy nieco zdziwiona Steffi podała jej dezodorant i gestem wskazała na łazienkę. Marysia skorzystała, a potem rozgościła się w kuchni, zrobiła dwie kawy, w końcu nasmażyła naleśników. Ze znalezieniem potrzebnych składników nie miała problemu. Nowojorskie kobiety najwyraźniej w niczym nie różnią się od polskich w organizacji kuchni.

Gloria pojękiwała. Wciąż była niespokojna.

– Niedługo będzie wymiotować, a potem pojedę z nią do szpitala, a gdy wyjdziemy, może przez miesiąc będzie wszystko w porządku – powiedziała Steffi pomiędzy kęsami naleśników z serem i truskawkami. Truskawki Maria zdobyła w sklepiku tuż za rogiem. Zdziwiła się na ich widok, a potem uświadomiła sobie, że przecież sezon w pełni. Przegapiła. Po raz pierwszy w życiu.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Maria.

– Niewydolność jelitowa, schorzenie żołądka. Najpierw są bóle, tak się właśnie zaczynają, takim płaczem, który słyszałaś w nocy. – Steffi na chwilę ucichła. Przymknęła powieki, a na jej twarzy pojawiły się rumieńce. – Mogłabym ich zjeść tonę.

– Ha, nie próbowałaś jeszcze z mlekiem zagęszczonym.

– Z czym?

– Przyjedziesz kiedyś do Polski, to zobaczysz. Choć o ile wiem, to rosyjskie zageęszczone jest lepsze.

– Zupełnie nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, ale jeśli będziesz mnie częstować takimi specjałami częściej, to mogę zrezygnować nawet z Mrs. Smoke.

Gloria zaczęła kwilić. Maria z niepokojem spojrzała w kierunku wózka inwalidzkiego, na którym dziewczynka siedziała dłuższy czas. Steffi westchnęła, ale dojadła naleśnika, popiła kawą i wstała z miejsca.

– Torbę do szpitala mam w bagażniku. Zawsze ją wożę ze sobą.

– Jak ty to wszystko...? – Maria urwała. Podrapała się po głowie. Zebrała naczynia, zaniosiła je do kuchni i zaczęła szybko sprzątać. A potem długo patrzyła na delikatne, tylko od czasu do czasu zdradzające zmęczenie i zniecierpliwienie ruchy Steffi. A potem przyglądała się im coraz częściej. W szpitalu, w parku, na ulicy, w szkole, w domu. I to właśnie w domu było najtrudniej.

– Miałam opiekunkę. Zwolniła się, gdy zobaczyła materiał w gazecie – oznajmiła Steffi ni z tego, ni z owego, gdy Marysia kolejny już raz przyszła do jej domu i bez zbędnych ceregieli skierowała swoje kroki do łazienki, mijając wszystkie pokoje i zbierając rozrzucone brudy. Wstawiła pranie, włożyła gumowe rękawice i zaczęła szorować cudzy, niezbyt czysty sedes.

– O Michale?

– O mnie, że to moja wina – odparła Steffi spokojnie. – Michał był tylko imigrantem z Europy Wschodniej. Nikt, ani jedna gazeta, ani jeden dziennikarz nie zajaknął się o jego talencie. O tym, co stworzył dla naszego kraju. A przecież pracował nad bronią najnowszej generacji.

Maria zamarła. Nic nie wiedziała. Nie mogła nic wiedzieć i nie ciągnęła męża za język.

– Zdziwiona? Powinnaś mieć o tym jakieś pojęcie – rzuciła Steffi.

– Nie. Nie powinnam. Nie chcę. – Maria przetarła nadgarstkiem czoło. Spróbowała zdmuchnąć pasmo włosów, które opadło na twarz i przykleiło się do skroni, ale te próby zakończyły się niepowodzeniem. Steffi podeszła i odsunęła jej kosmyk z twarzy i włożyła go za jej ucho.

– Jak chcesz – powiedziała, odwróciła się, ale wciąż nie odchodziła.

Maria poczuła mrowienie w podbrzuszu. Ciarki przeszły jej po plecach. Odwróciła się gwałtownie, odkręciła wodę w kranie i zaczęła energicznie szorować zlew.

– Nie stać mnie na niczyją pomoc – odezwała się Steffi.

– Nie jestem tu, byś mi płaciła – zachnęła się Maria.

– Wiem, wiem, nie to miałam na myśli. – Steffi machnęła ręką.

– Muszę zacząć pracować, muszę znów zacząć pracować. Tylko jak?

Marysia nie odwróciła się, nic nie powiedziała. Dalej szorowała zlew, ale w jej głowie kiełkował plan. Podobał się jej, uśmiechnęła się więc jeszcze szerzej, i choć ten uśmiech odbijał się w lustrze, Steffi go nie widziała.



– Dlaczego ona tu jest? – Jedna z dziewcząt nie wytrzymała i wyartykułowała pytanie, które chodziło po głowie wszystkim zebranym w kuchni Marysi. Od godziny panowała tu atmosfera dość zaskakująca. To nie była zwykła cisza. Raczej można by ją nazwać duszącą i prowokującą. To taka cisza, z której chce się wyjść jak z zamkniętego na cztery spusty mieszkania; problemem jest w takiej sytuacji brak klucza lub wytrycha,

który byłby bardzo pomocny. Takie mieszkanie można by było opuścić przez okno, pod warunkiem, że nie znajdowało się na jednym z ostatnich pięter wieżowca na Manhattanie. Pomimo iż mieszkanie Marysi od Manhattanu dzieliło co najmniej kilkanaście przecznic, pozamykane okna wydawały się zabite dechami.

Choć cisza dudniła w uszach, żadna z zebranych jak dotąd nie wypowiedziała słowa. Prócz Marii oczywiście, ale jej kwestie ograniczały się do komunikatów krawieckich:

– Obróć się, tu zwięzimy, spinam szpilką, wyprostuj się, chyba za krótko, nie uważasz?

Gdy pytanie padało z jej ust, rozmówczynie – choć w tej sytuacji to określenie mało odwzorowywało rzeczywistość – tylko kiwała głową, i to niemrawo, zerkając co chwila w bok. Pozostałe dziewczęta również zerkwały w bok, ten sam bok; konkretniej mówiąc, w kierunku kanapy, na której siedziała Steffi. Miała założoną nogę na nogę, a na sobie spodnie, które dziewczęta wcześniej widziały na Marysi. Tylko kolor był inny. Jasna szarość z łososiowym paskiem szokowały. Steffi się gapiała. Perfidnie i nachalnie. Szeroko otwarte oczy wlepiała w dłonie Marysi, które zwinnie lawirowały pomiędzy miarką, igłą, szpilkami, nożyczkami i płachtami materiałów, z których powstawały – jak twierdziły dziewczęta – dzieła sztuki.

To wszystko było nie do wytrzymania. Dziewczęta nastawiały się na pogaduszki. Całe popołudnie damskich ploteczek przy kawce, a nawet może i czymś mocniejszym, i to u Marysi, która wreszcie zaczęła dla nich szyc, było lepszym pomysłem niż siedzenie u Dorothy pod suszarką, czy u Emi na paznokciach. Tymczasem rzeczywistość bardzo mocno je zaskoczyła. A najbardziej niezwykle w tym wszystkim było to, że kompletnie nie rozumiały, co się tak właściwie stało.

Gdy padło wreszcie pytanie dźgające ciszę niczym mieczem samuraja, oczy wszystkich zwróciły się ku Marii. Ta z kolei nie zaniechała swoich czynności. Nie spojrziała nawet na tę, z której

ust to pytanie padło, bo równie dobrze mogłoby zostać zadane przez każdą inną lub wszystkie naraz.

– Uczy się – odparła, wsuwając delikatnie szpilkę do ust i na nowo układając falbanę na dole spódnicy Samantha. Po chwili milczenia, która dziewczętom z pewnością przynosiła tortury, Maria uśmiechnęła się, wyjęła szpilkę z ust, spięła falbanę i dodała: – No i ładnie! Teraz to wyglądasz naprawdę o niebo lepiej od Alexis. Słowo daję! A niedługo Steffi wyczaruje dla was takie kreacje, że nie będziecie chciały ich zdejmować na noc. Myślimy nad linią koszulek nocnych, co wy na to? Może przetestujecie ze swoimi mężami którąś? – Maria rozkręciła się na dobre. Steffi ze zdumienia uniosła brwi, a pozostałe dziewczęta po chwili szoku nagle zaczęły szczebiotać jedna przez drugą, roznosząc ciszę w drobny mak.

Szczebiot bardzo szybko ustąpił miejsca gwarowi z prawdziwego zdarzenia. Marię rozboleła głowa, ale to nie było ważne. Liczyło się to, że dziewczęta zaczęły podchodzić do Steffi i pytać ją o zdanie w wyborze fasonu, koloru, materiału, a ta, wciąż w osłupieniu, przez moment pożałowała, że sprawa nabrała takiego obrotu. Ściana wyznaczająca strefę komfortu runęła jak domek z kart, a usilne mentalne próby budowania nowej spaliły na panewce.

– Dziewczęta! – zlitowała się Maria, widząc, że Steffi gotowa jest w każdej chwili poderwać się z miejsca i uciec jak najdalej stąd. – A może by tak szarlotkę?

Hasło „szarlotka” zabrzmiało jak zniewaga. Przynajmniej na początku. Jaka szarlotka bez pani Smoke? Pytające spojrzenia dziewcząt najpierw wprawiły Marię w osłupienie, a dopiero po chwili sprowokowały gromki śmiech.

– Nie chcecie, to nie, ale ja widzę, że na podjazd wjechało auto waniliowej Mrs. Smoke. – Klasnęła w dłonie, cmoknęła powietrze i podreptała otworzyć drzwi.

Aromat wanilii wszedł pierwszy, dopiero za nim w drzwiach

stała pani Smoke z wielkim kartonowym pudłem. Uniosła je lekko i zakomunikowała:

– Dziś wersja na specjalne okazje! Najtłustsza z możliwych. I niech któraś odmówi!

Brzmiała groźnie i rozkosznie jednocześnie. Maria nie знаła wielu osób, które potrafią łączyć tak skrajne wrażenia. Zdecydowanie nowojorska wirtuozka smakołyków miała największe kompetencje w tej dziedzinie. Maria jej zazdrościła, choć wiedziała, że nie powinna. Obecność tylu klientek pod jej dachem świadczyła o tym, że sama potrafiła wiele, ale teraz nie to było najważniejsze. Miała cel, który powinien sprawić, że zapomni, i wówczas będzie mogła wrócić do domu. Do Polski.

Zdarzały się dni, w których o swoim celu zapominała.

– Dlaczego ty to robisz? – Waniliowa Smoke stała w drzwiach Marysi ponownie tego samego dnia, a raczej późnym wieczorem.

Maria skinęła głową, by kobieta weszła do środka. Ta jednak skrzyżowała ręce na piersi i wciąż tkwiła na progu. Maria westchnęła. A potem nagle wypaliła:

– Mówiła, że moje naleśniki tak bardzo jej smakują, że mogłaby zrezygnować z twojej szarlotki.

Na twarzy pani Smoke odmalowało się zdziwienie, którego poziom rósł z sekundy na sekundę, a potem nagle pojawił się na niej uśmiech.

– Ma poczucie humoru, to trzeba jej przyznać. No dobra, widzę, że wiesz, co robisz. – Poklepała Marysię po plecach, odwróciła się i wciąż nie przestając się śmiać wniebogłosy i kręcąc z niedowierzaniem głową, ruszyła na podjazd, w kierunku zaparkowanego auta.

Marysia wyjęła paczkę marlboro, sięgnęła po wiszący przy drzwiach kowbojski kapelusz i wyszła na ganek. Wieczór był spokojny. Z łatwością dostrzegła Wielki Wóz, a potem zamknęła

oczy i zanuciła:

– „Oh, my love, my darling. I've hungered for your touch.
A long, lonely time...” – Urwała, a cisza śpiewała dalej pieśń
ulicy i wiatru.

ROZDZIAŁ XVI

*When I first saw you
With your smile so tender
My heart was captured
My soul surrendered*

Elvis Presley, *It's Now Or Never*

Joanna westchnęła. Podniosła rękę i już miała zapukać, ale postanowiła, że zaczerpnie powietrza jeszcze raz. A potem nagle się zakrztusiła – i nie dlatego, że drzwi niespodziewanie się otworzyły. Powodem były nogi do nieba. Dosłownie. Taka wysokość dla Małej Mi zdecydowanie mieściła się w kategoriach poza zasięgiem wzroku. Dłoń ściśnięta w pięstkę, przygotowana do lekkich uderzeń w drzwi, wciąż wisiała w powietrzu na wysokości pępka kogoś, kto ten pępek demonstrował.

– Co też pani? – prychnęła ta z nogami i pępkiem, zgrabnie ominęła Joannę i zastukała obcasami po drewnianej podłodze korytarza „Patrycji”. Joanna przetarła oczy, wciąż wpatrując się w oddalający się tył niebiańskich nóg. Pępka już nie widziała, ale zamiast niego miała co podziwiać. Gdyby tylko chciała, ale nie. Było zupełnie na odwrót. Mimo iż nie mogła odwrócić

wzroku od tego – no, trzeba to przyznać – cudu natury.

– Coś nie tak? – Do uszu Małej Mi dobiegł spokojny głos.

Joanna zamknęła oczy, a dopiero potem wreszcie odwróciła głowę od pustego już korytarza. Już miała odpowiedzieć, że wszystko w jak najlepszym porządku, oczywiście chciała to powiedzieć odpowiednim tonem, z właściwie wyważoną nutką sarkazmu i cisnącą się na usta szczyptą jadu, ale nie zdążyła.

– Wszystko w jak najlepszym porządku, aż cała drzę z podniecenia, tak dobrze pasuje!

Joanna dotknęła szyi. Najpierw poczuła duszności, a potem usłyszała dudnienie własnego serca. Galopowało, a jej myśli razem z nim. Zupełnie w niewłaściwym kierunku. Zmierzały do samozagłady, czuła to. A najgorsze, że nie potrafiła temu przeciwdziałać. Zapragnęła poddać się narastającej furii i już miała wkroczyć do akcji, gdy ten sam kobiecy głos odezwał się ponownie.

– Ale on jest milutki!

Chichot. Joanna słyszała chichot. Pawła i kogoś, kto zapewne również miał nogi do nieba i pępek na wierzchu, a może nawet i całe cycki, oba dwa! Tego było już za wiele. Co ona sobie w ogóle myślała? A właśnie że nic nie myślała i z pewnością myśleć nie będzie. Odwróci się na pięcie, trzaśnie drzwiami i pójdzie sobie, a potem zapomni o wszystkich wnukach tego świata. Zamknie się w swoim biurze i zacznie wreszcie wieść normalne życie. Urzędnicze, potulne, przepełnione telefonami, na które będzie odpowiadać: „Tak jest, szefie”... albo będzie się użerać z patrycjuszami, których życie prywatne wydawało jej się zdecydowanie bardziej ekscytujące niż jej własne. I tak ma być! Gdyby miała pewność, że nikt jej nie usłyszy, z chęcią krzyknęłaby ile sił w płucach, że właśnie tak, do cholery, ma być!

Wielkie zamiary spaliły na panewce. Najpierw Mała Mi zobaczyła oczy. Te oczy, których w tej chwili widzieć zupełnie

nie chciała. To przed nimi pragnęła zamknąć się na cztery spusty, by w ciszy i spokoju udawać, że wcale nie żałuje, że Paweł zjawiał się tu, a wraz z nim stawiały się na baczność w jej sercu jakieś wielkie, niespełnione nadzieje. Nie zdążyła jednak tego uczynić i na ucieczkę było już za późno.

– Eee – powiedziała, siląc się na elokwencję.

– Aha – odpowiedział Paweł. A potem nagle jego usta znalazły się na jej; smakował kawą i szarlotką bez cynamonu. Najwyraźniej Stachu wrócił do pełni sił. Wczoraj zamiatał podwórze z liści, a dziś... A dziś Joanna go jeszcze nie widziała, a przecież z samego rana miała iść i go zapytać, jak się czuje. Teraz zamiast delektować się szorstkimi, lekko spierzchniętymi ustami, gapiła się na nos Pawła tuż przed swoimi oczami i myślała o Stachu oraz jego szarlotce. Dopiero po chwili poddała się, ale znów po kolejnej sekundzie odepchnęła Pawła i odwróciła się, by odejść czym prędzej, nawet biegiem, w nosie mając reputację... lecz dłoń Pawła spoczęła na jej ramieniu tak delikatnie i tak stanowczo zarazem, że Mała Mi stanęła, jakby ją ktoś zamurował, by wydukać:

– Co milutkiego ona miała, że jej pasowało?

– Robisz podkówkę – powiedział spokojnie Paweł, lekko się uśmiechając.

– Co takiego? – To ona miała zbić go z tropu, nie on ją. Wyszło jednak na odwrót.

– Twoja buzia wygląda jak minka niemowlaka, który szykuje się do płaczu – wyjaśnił i podniósł dłoń, by dotknąć jej ust. Miał na to tak wielką ochotę, że sam się sobie dziwił. Jednak postanowił nie rozmyślać nad tymi pragnieniami, by nie stchórzyć po raz kolejny. W zasadzie to trochę siebie nie poznawał.

– Twoje niedoczekanie – warknęła i zrobiła unik. Jego dłoń zastygła w powietrzu.

– Pawełku, niech pan popatrzy – usłyszeli donośny kobiecy głos.

– No, niech pan idzie i popatrzy, Pawełku! – Śmiech Małej Mi był wyniosły. Gdyby wybrzmiał dłużej, Paweł z pewnością dopatrzyłby się w nim nuty rozczarowania, ale Joanna odwróciła się na pięcie i spokojnym krokiem powędrowała do siebie.

– No Asiu... – zaczął Paweł, lecz nie dane mu było dokończyć.

– Panie Pawełku, a kuku! – Dama nie przestawała zachwycać się swoją nową kreacją, co z jednej strony cieszyło Pawła i mu rzecz jasna schlebiało, z drugiej jednak bardzo chętnie wskazałby klientce, gdzie są drzwi. Zamiast tego wszedł do mieszkania i ruszył do stojącej przy wielkim lustrze kobiety. Podeszedł blisko, zapiął suwak na jej plecach i powiedział:

– Trochę zmniejszymy dekolt, dobrze?

– No dobrze, dobrze, zdaję się na pana – zachichotała, jakby powiedziała coś zabawnego. – Babunia zaaprobuje.

Babunia wszystko zaaprobuje, byle tylko wnuczka częściej ją odwiedzała, pomyślał Paweł, ale na głos powiedział:

– No i cieszymy się, że babuni się spodoba.



Mała Mi wyszła na podwórze. Było ciemno, wietrznie i bardzo, ale to bardzo niewyraźnie.

– Dlaczego tu siedzisz i beczysz na dodatek? – spytała Matylda.

– A ty? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Joanna, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że zachowuje się nie tylko nieprofesjonalnie, ale i skandalicznie.

– Ja nie beczę – odpowiedziała Matylda. – Medytuję.

– W taki ziąb? – zachnęła się Mała Mi.

– Przynajmniej mi sople lodu nie zawisną pod nosem i pod dolnymi powiekami – odparła Matylda i dopiero teraz Joanna zauważyła, że joginka siedzi w pozycji medytacyjnej ze złączonymi palcami i dłońmi opartymi na kolanach. Dyrektorka ośrodka wytarła nos chusteczką znaną w kieszeni.

– Serio, nie przeziębisz się? – W głosie Małej Mi pobrzmiwała troska. Matylda zerknęła na nią z uwagą i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, lekko się garbiąc.

– No! Asiu! Dość już tego dobrego! No, opowiadaj!

– Uwzięliście się na tę „Asię” czy jak?! Nie ma czego opowiadać. Stacha szukam – odparła Joanna, rozglądając się w nadziei, że mimo późnej pory jednak gdzieś zastanie swojego woźnego.

– Na biurku – odezwała się Matylda.

– Na jakim biurku? – Joanna coraz mniej rozumiała tego dnia. Czas do domu, do łóżka. Na myśl o meblu sypialnianym uniosła palce do ust, dotknęła ich delikatnie, mając nadzieję, że znów poczuje zapach Pawła. Tak się jednak nie stało.

– Na twoim biurku. – Matylda wyciągnęła telefon i oświetlając twarz elektroniczną poświatą, skupiła się na urządzeniu.

– Dlaczego Stachu jest na moim biurku? – spytała Joanna i nagle poderwała się na równe nogi. Biegnąc do gabinetu, krzyknęła: – Znów się źle poczuł?!

Wyjaśnień Matyldy już nie słuchała. Wielkimi susami dobiegła do siebie, zapaliła światło i znieruchomiała. Na biurku zamiast woźnego stał talerz z ogromnym kawałkiem szarlotki. Bez cynamonu, rzecz jasna. Obok karteczka z uśmiechniętym ludzikiem i podpisem: „Na osłodę”.

– Skąd on wiedział? – zadała pytanie samej sobie, ale nie

raczyła odpowiedzieć. Szarlotka smakowała. Jak zawsze.

Gdy usłyszała delikatne pukanie do drzwi, krzyknęła z pełnymi ustami:

– Ne fefkadzać!



Na tak brzmiący komunikat, wypowiedziany imponującym tonem, Paweł nie miał odwagi zareagować w inny sposób: po prostu się odwrócił i podreptał do siebie. Z uśmiechem na twarzy. To było najważniejsze.



Żoliborz tonął w jesiennej poświacie księżyca. I to dosłownie. Takie wrażenie miała Maria, wracając od Stacha, skąd znów wymknęła się po angielsku. Nie przywykła do takiego savoir-vivre'u w niczym wykonaniu, nawet własnym. Nie umiała jednak inaczej. Księżyc odbijał się w zgniłych liściach leżących na żoliborskich alejkach, przez co pokryty nimi asfalt wyglądał jak obślizgła wielka ropucha. Maria stawiała kroki pewnie i energicznie. Skąd czerpała siłę o tej porze dnia? Późno, ciemno, sennie, trochę niespokojnie. Endorfiny widać i w tym wieku mogą działać cuda.

Marysia zapięła pod szyją swój żółty płaszcz. Poprawiła beret i wyjęła błyszczak z torebki.

– Za Alicję – powiedziała do kiwających się nad nią drzew i pomalowała usta, wykrzywiając je w nieregularne „O”, zupełnie jak to miała w zwyczaju zmarła przyjaciółka.

Strata – pomyślała Marysia – słowo klucz, dla wielu niezrozumiałe zupełnie. Uciekamy. Oto, co robimy. Przed stratą.

Zostawiamy ją w tyle, biegnąc sprintem gdziekolwiek bądź. Wychodzi z tego bieg przez płotki. Uciekamy, robiąc raban lub cichaczem, ale nigdy nie wymykamy się niezauważeni. To raczej domena straty. Jest tak przebiegła w te klocki, że zauważamy jej zniknięcie dużo, dużo później, trwoniąc ten czas, w którym trwaliśmy w nieświadomości i iluzji.

Maria dreptała żwawo, zapominając o całym bożym świecie. Jedyne, co odnotowała w myślach, to to, że odkąd nie było z nimi Alicji, ich najmłodszej stażem przyjaciółki, której losy również były związane przez pewien czas z niejakim Henrykiem, zaprzestały wznosić swoje wieloletnie toasty „za cebule”. Ta tradycja umarła wraz z odejściem Alicji i było w tym coś niepokojącego. Trzymały się z Gienią razem, jak zawsze i jak nigdy jednocześnie, ale ich wspólna epoka odeszła bezpowrotnie, a wszelkie próby rekonstrukcji mogły spalić na panewce. Próba wyobrażenia sobie, jak wznoszą ten toast tylko we dwie, zakończyła się pojawieniem się dość śmiałego pod względem wytworzonych zmarszczek grymasu na twarzy, który nie chciał zejść przez kilka chwil.

Nagle Maria stanęła. Jak wryta. Jej spojrzenie też się wryło – w hulajnogę przypiętą byle jak starą blokadą rowerową do niewielkiej bariery, odgradzającej pseudotrawnik od wydeptanej ścieżki. Marysia przyjrzała się pojazdowi, z którym Genowefa przecież nie miała zwyczaju się rozstawać. Ile to razy dostawała od Marysi opieprz, że zabłocone kółka hulajduszy ładują na jej dywanie, bo właścicielka pojazdu uwielbiała mieć go zawsze przy sobie, nawet w salonie mieszkania przyjaciółki. Nie mogło być mowy o pomyłce. To hulajdusza Gieńki.

Maria wyciągnęła telefon. Szybko zdziwiła się po raz drugi, gdy po uruchomieniu ekranu dostrzegła, że esemes o treści „SOS” został wysłany do Genowefy kilka godzin temu.

– Szlag! – syknęła. Ale skoro Genowefa nie wydzwaniała i zostawiła hulajnogę w tym miejscu, dwa kroki od jej kamienicy, to zapewne siedzi sobie u niej i podjada czekoladki

z barku.

Marysia uśmiechnęła się na samą myśl o tym, co zastanie w domu, i ruszyła nieco szybciej w jego kierunku. Zerknęła na okna. Światło nie było zapalone, ale to nie dało Marysi do myślenia. Genowefa mogła równie dobrze przysnąć. A może znalazła w barku niedokończoną butelkę żubrówki, upiła się i poszła sobie precz, zostawiając, zgodnie z zaleceniami Marysi, hulajnogę zaparkowaną, by nie prowadzić w stanie wskazującym na spożycie. Staruszka zachichotała. Po Gieni można było się spodziewać wszystkiego, zwłaszcza na stare lata. Sam przykład wielkiej przyjaźni z tym całym Bogusiem tylko potwierdzał to założenie.

Nagle Maria stanęła. Zerknęła w prawo, na ławkę stojącą w oddali. Na ławkę, na której jeszcze nie tak dawno przesiadywał człowiek w koszuli w kratę, rozglądający się po okolicy. Ławka była pusta. To, że miała powyłamywane dechy i odrapaną farbę, nie miało najmniejszego znaczenia. Nawet nie rzucało się w oczy, ponieważ ten wygląd podwórkowego mebla nie zmieniał się latami. Zastanawiające było jedno. Dlaczego tego gościa tu nie ma?

– Wariatka – burknęła Maria sama do siebie i przewróciła oczami. Z jakiego powodu spodziewała się w taki ziąb i o tej porze, a dochodziła dwudziesta druga, zastać nieznanego faceta na ławce przy zdezelowanej piaskownicy, skąd zamiast zapachu dziecięcej skóry dobiegała intensywna woń kociego moczu? – Zmarzył chłopina w tej skórzanej kurteczce i poszedł sobie do domu, do dzieci, do żony, daj mu, Mryśka, spokój.

Gadanie ze sobą wychodziło Marii coraz lepiej. Pokręciła z niedowierzaniem głową i weszła do klatki. Gdy stanęła przed mieszkaniem, pewnie nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Te jednak nie ustąpiły. Rozejrzała się, schyliła do wycieraczki. Klucz leżał na swoim miejscu, wetknięty od spodu w wewnętrzną warstwę plecionki. Gdy proponowała Gieni, by ta trzymała klucz do jej mieszkania na swojej smyczy z kluczami,

staruszka tylko pokręciła głową i oznajmiła z całą stanowczością, że zgubi go już pierwszego dnia. To było całkiem możliwe. Własne klucze posiewała notorycznie.

Przekroczenie progu domu nie przyniosło żadnych konkretnych odpowiedzi. A pytań w międzyczasie namnożyło się całe mnóstwo. Pierwsze z nich, dudniące coraz hałaśliwiej w Marysinej głowie, brzmiało: dlaczego do licha, ta hulajnoga jest pod drzewem? Kolejne, które nasunęło się momentalnie: dlaczego cukierki nie zniknęły z barku? Pozostałych Marysia nie dostrzegała. Pytań oczywiście. No bo po co one komu, skoro na te dwa kluczowe nie potrafiła odpowiedzieć?

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Gieni. A potem zaczęła się martwić, gdyż abonent był czasowo niedostępny.



Paweł nie spał. Wiercił się na łóżku w małym mieszkanku, w którym książki Anastazji przemieszane teraz były z wykrojami i skrawkami materiałów, wśród których ostatnio królowały jedwab i filc. To dość niespotykane połączenie, ale w tym miejscu wszystko było możliwe. Filcowa miała być bluza dla Matyldy, jedwabna zaś bluzka koszulowa dla jej wnuczki. Przedpłata wciskana do kieszeni Pawła, gdy kręcił nosem i mówił, że wszystko po fakcie, skrzętnie chowana była do słoiczka po ogórkach kwaszonych ze sklepiku na rogu. Biznesmen pełną gębą, nie ma co – Paweł roześmiał się i usiadł na łóżku. I ja mam jej coś takiego zaproponować? Pani dyrektor? Fala przygnębienia zalała go całego, i to jakoś tak nagle, bez uprzedzenia. Nawet nie zdążył wciągnąć odpowiedniej ilości powietrza, by wstrzymać oddech i się nie zachłysnąć. Zachłysnął się więc i spochmurniał. Co on sobie wyobraża? Że pocałuje, przytuli i już? Boże, jak to się robi?

Paweł nie wiedział. Czuł się jak młody gnojek z gimnazjum, ze

spoconymi łapami, startujący do bardziej doświadczonej dziewczyny. Może jego córka by mu coś doradziła? – ta myśl najpierw przyniosła nadzieję, ale zaraz później strach, że Anastazja mogłaby coś wiedzieć na TEN temat! Pokręcił nerwowo głową.

Nagle usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Tych prowadzących nie na podwórko, lecz na korytarz „Patrycji”. To mogła być tylko ona! Jednym susem przemierzył odległość paru metrów dzielącą go od łóżka do wyjścia i szeroko otworzył drzwi z tak samo szerokim uśmiechem na twarzy. A potem szybko zamarł w bezruchu. Uśmiech zdawał się zrobić to samo.

– No, tego... – wydukał Muzyk i łypnął na stojącego obok z dumnie uniesioną głową Historyka. Mieli na sobie piżamy, a na nie narzucili koce. Gdyby mieli lat siedem i pół, a nie ponad siedemdziesiąt pięć, Paweł mógłby odnieść wrażenie, że bawiące się w superbohaterów dzieci właśnie wyruszyły na tajną misję. Tymczasem należało sądzić, że podobieństwo do tego typu zachowania było mylne, aczkolwiek trzeba by było odznaczać się ułańską fantazją, by widzieć całą tę sytuację inaczej.

– Tego? – Bose stopy czuły kojący chłód drewnianej podłogi. Lekki przeciąg rozpanoszył się w mieszkaniu przy otwartych drzwiach. Paweł zerknął na pusty korytarz. Nie było na nim nikogo, nawet jego ulubionego białego ducha.

– Tak... – Muzyk odchrząknął i podrapał się po głowie. – Tego – powtórzył.

– Raczyliśmy się tu stawić – zaczął nagle Historyk doniosłym głosem, a Paweł z przestachem zerknął na śpiącą Anastazję, wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

– Tak, widzę, ale w czym mogę pomóc o tej porze? – Dwa ostatnie słówka wypowiedział z naciskiem, nie zrobiło to jednak na nikim wrażenia.

– W tajemnicy! – zakomunikował Historyk, a Paweł

pospiesznie pokiwał głową na znak aprobaty i zrozumienia, choć ani jedno, ani drugie na chwilę obecną nie wchodziło w grę.

– Jesteś ich oczkiem w głowie – zaczął Muzyk, nucąc z lekka, i zbliżył się do Pawła.

– Słucham? – Paweł odruchowo cofnął się o krok. Dalej nie mógł. Klamka wbijała się w plecy.

– Naszych patrycjuszek – zaintonował Muzyk.

– Ja im szyję ubrania. – Paweł niewiele rozumiał, ale postanowił, że dzielnie wytrwa w tej komicznej sytuacji.

– Tak. A my niczego im nie szyjemy, a przecież to my troszczymy się o nie, gdy mają migreny lub biegunki – odparł Historyk.

Paweł skrzywił się nieco na słowo, które padło jako ostatnie, i już miał zaprotestować przed wysłuchaniem kolejnych, ale wtrącił się Muzyk:

– Doprawdy? – Uniósł brew i to uniesienie nawet w tym marnym nocnym świetle wyglądało na spektakularne, tym bardziej że wraz z brwią składającą się z gęstej kępki siwizny uniósł się cały pomarszczony płat skóry czoła. Druga brew została w pozycji niezmienionej.

Jak oni to robią? – zdziwił się Paweł. Nawet uniósł dłoń i spróbował za jej pomocą zmusić własną brew do wyrażenia zdumienia. Gdyby miał przed sobą lustro, może lepiej wypadłaby mu ocena jego zdolności. Tymczasem malujące się na twarzach patrycjuszy powątpiewanie kazało sądzić, że nie odniósł sukcesu w tej dziedzinie.

– Ja biegunki owszem, tak, ale tylko jej. – Paweł skinął na drzwi do mieszkania, w którym spała Anastazja.

– No właśnie. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku – podsumował Muzyk ku niezadowoleniu Historyka. Jechanie na tym samym wózku z wnukiem nie wchodziło w grę! Chociaż

z drugiej strony, jak mógł im pomóc, nie wsiadając do tego samego pojazdu?

– Niech wnuk coś zrobi! – rozkazał Historyk, a jego trzęsący się palec wskazujący powędrował w górę.

– Ale co? – spytał Paweł, czując ziało. Miał ochotę również czmychnąć pod pelerynkę z koca lub kołdry, by po pierwsze nieco się ogrzać, a po drugie by dorównać staruszkom stopniem zaangażowania w sprawę. A gdyby przykrył również głowę, mógłby nadal stać spokojnie w miejscu, nie zważając na spadające mu na głowę krople, przynajmniej przez jakąś chwilę.
– O rany! – wykrzyknął, odskakując w bok. – Pada!

– No, solidnie padało jakąś godzinę temu, ale już przestało. – Muzyk był wyraźnie naburmuszony z powodu tak marnej jesiennej aury. – Nawet na spacer nie ma jak pójść – dodał i zrobił piruet albo coś w tym stylu, chcąc dać do zrozumienia, że w głowie ciągle ma wiosnę, na przekór iście jesiennej metryce.

– Nie, nie, tu pada – Paweł zerknął na sufit.

Dach ewidentnie przeciekał. W kilku miejscach.



Joanna ziewnęła i dopiero potem otworzyła oczy.

– Nieźle, ziewam, zanim na dobre się obudziłam – zachichotała i zdziwiła się ponownie swojemu zachowaniu, czemu dała wyraz gwałtownym siadem na łóżku. Oczy w tym momencie już były otwarte najszerzej, jak to tylko jest możliwe.

– O co mi chodzi? – spytała na głos, patrząc na własne odbicie w lustrzanych drzwiach szafy stojącej naprzeciwko łóżka.

– Z kim rozmawiasz? – usłyszała zza drzwi. Zbyt blisko jak na przypadkowe usłyszenie jej wypowiedzi.

– Z Alicją po drugiej stronie lustra. – Joanna znów zachichotała, ale momentalnie pożałowała żartu i nonszalancji w głosie. Jak zawsze zresztą.

– Drwisz, kpisz z samego rana – burknęła jej matka, a oddalające się szuranie starych kłapek ucichło złowieszczo.

– Muszę jej kupić nowe kapcie – zreflektowała się Joanna, zachodząc jednocześnie w głowę, co w nią wstąpiło. Nie czuła irytacji ani zagubienia, a swojego dobrego nastroju nie mogła przypisać nawet pogodzie. Na wszelki wypadek zerknęła przez okno, aby się w pełni przekonać co do tej tezy. Deszcz siąpił niemrawo, gałęzie drzew machały, jak ukochany macha na pożegnanie.

– Coraz gorzej ze mną – mruknęła, reagując na własne skojarzenia, i stanęła na środku pokoju, przypominając sobie, jakie aśramy pokazywała jej Matylda. Wówczas celem uprawiania jogi było szukanie harmonii między ciałem a duszą, dziś uprawianie jogi było dla niej celem samym w sobie i ogromnym pragnieniem.

Gdy pozycja psa stawała się nie do zniesienia, zadzwonił telefon. Podniosła rękę, aby włączyć tryb głośnomówiący, i gdy już to zrobiła, runęła jak długa.

– Auć! – powiedziała dość głośno.

– Kap – usłyszała w odpowiedzi lekko zdezorientowanego Pawła.

– Cholera. – Dobry humor wcale nie przysł, to było tylko chwilowe małe zamieszanie.

– Kap, kap. – Paweł najwyraźniej się powtarzał.

– No wiem, leje za oknem, taki mamy klimat.

– Tak – westchnął.

– Chciałeś mnie o tym poinformować z samego rana, na wypadek gdyby moje okna zasłoniła wielka reklama albo wielka

czerwona flaga z podobizną Stalina? – palnęła. – Takie rzeczy to już dawno i nieprawda, chociaż teraz też by to było możliwe, tylko flaga nieco inna i podobizna również innego wielkiego małego człowieka.

– No tak. Asiu, przyjeźdź do „Patrycji” – poprosił Paweł.

Joanna spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma, miała jeszcze czas, nie powinno się nic rano dziać takiego szczególnego.

– Przyjadę jak zawsze, będę na posterunku za godzinę. Dopiero co byłam psem, muszę się umyć – wyjaśniła, nie wyjaśniając.

– Aha – mruknął Paweł, a Joanna z lekkim zdenerwowaniem pokręciła głową.

– Co robisz? – spytała, jakby miała ku tej wiedzy pełne prawo; w zasadzie to jej matka kierowała do niej to samo pytanie identycznie irytującym tonem. To nie było miłe, Joanna o tym doskonale pamiętała.

– Siedzę sobie pod parasolką. – Paweł znów westchnął, a Joanna odnotowała, że rozmowny to on dziś nie jest.



Gdy po godzinie wchodziła przez bramę na teren domu spokojnej starości, wciąż padało. Pawła nigdzie nie było, ani żadnej parasolki.

– Może to ksywa jakiejś lafiryndy? – przeszło przez myśl Joannie, a niemiłe gorąco rozlało się po jej brzuchu. – Fuj – odrzekła, prowadząc dialog z samą sobą, i poszła prosto do mieszkanek na poddaszu. Na korytarzu zastygła w bezruchu. Przed nią na małym stolku siedział Paweł, obok zaś, na takich samych stołeczkach przyniesionych z kuchni, po lewej i prawej towarzyszyli mu Muzyk i Historyk. Wszyscy trzej trzymali nad

głowami parasole, na które padał deszcz. Na całej długości korytarza były rozstawione garnki i wiadra do połowy pełne deszczówki.

– Co tu się dzieje? – Joanna momentalnie wskoczyła w rolę Małej Mi.

– Deszczowa piosenka – oznajmił Muzyk i czknał wymownie, a Joanna nie omieszkała zauważyć piersiówki sterczącej z kieszeni jego piżamy, na którą miał zarzucony koc.

Dyrektorka ośrodka nie wierzyła własnym oczom. Nie chodziło o siedzące pod parasolkami trio składające się z jej podopiecznych pod wpływem i Pawła, ale o sito zamiast dachu naprawianego na wiosnę, czyli chwilę temu.

– Góra nie da więcej funduszy – wymamrotała w zamyśleniu, wciąż rozglądając się i szacując stan techniczny zadaszania. Mała Mi momentalnie przeistoczyła się w Joannę, a raczej małąką Asię, której mina wyglądała tak, jakby miała za chwilę wygiąć się w podkówkę będącą zwiastunem wielkiego płaczu. Paweł potarł oczy ze zdumienia i już miał ruszyć ku niej, stojącej z opuszczonymi w bezradności rękoma, ale w porę się zmitygował, że z jednej i drugiej strony jest trzymany pod ramiona przez starszych panów dwóch. Zakleszczony w samym środku, otworzył usta, by choć werbalnie dodać otuchy Joannie, lecz w tym momencie poczuł łaskotanie pod pachą i zamiast słów z jego ust wydobył się śmiech.

– Co cię tak bawi? – Mała Mi wróciła.

– Nie, nic, chciałem powiedzieć, że coś wymyślimy – wydukał zmieszany, zerkając na wystający z kieszeni Historyka długopis zakończony puchatą szczoteczką. Dopiero teraz sobie przypomniał, że ten długopis Ulka z Anastazją dały seniorowi w prezencie po wykładzie na temat Troi.

– Masz rację, to rzeczywiście zabawne – mruknęła Joanna, odwróciła się na pięcie i poszła do gabinetu.

Czar prysł, a z nim również dobry humor. Na nieszczęście Joanna zaraziła się *Deszczową piosenką* i nuciła ją pod nosem, co nie współgrało ze zmartwieniem, zdenerwowaniem i bezradnością, które odczuwała, a nawet – idąc tropem nawyków – pielęgnowała.

Drzwi się otworzyły. Skrzypnęły i Joannie tradycyjnie wyrwało się:

– Szybko!

Paweł wsunął się do środka jak torpeda i zamknął gwałtownie za sobą drzwi. Podbiegł w trymiga do biurka dyrektorki i stanął niemal na baczność. Joanna powoli podniosła na niego wzrok.

– Spocznij? – powiedziała powoli, akcentując znak zapytania na końcu.

– Tak jest! – Stał spięty, ale też podekscytowany.

– Miałam na myśli, że drzwi trzeba otwierać szybko, inaczej skrzypią. – Joanna się roześmiała.

– Rozumiem. – Paweł zaczerwienił się jak nastolatek przed pierwszą randką. Nadal nie rozumiał, jak to się działo, że ta mała istota z wielkimi zielonymi oczami wprawiała go w tak skrajne stany emocjonalne.

– Widziałam, że się zakumplowałeś z dziadkami – zagaiła, nie przestając się uśmiechać. Trio pod parasolkami wyglądało komicznie.

Paweł machnął ręką.

– Zorganizujemy pokaz mody – oznajmił, a oczy Joanny rozszerzyły się do rozmiarów wręcz niemożliwych. – *Wow*, ja tak nie potrafię.

– Jak? – Joanna nie wydobyła się z osłupienia. Trwający dzień wydawał się niekończącym się pasmem absurdów. Gdyby wiedziała, że wszystko jeszcze przed nią, być może zachowałaby odrobinę siły, aby właściwie zareagować na kolejne rewelacje.

Tymczasem skupiła się na Pawle.

– No, tymi oczami tak nie potrafię – wyjaśnił. – Dziwić się aż tak spektakularnie.

– Jak chcesz zorganizować pokaz mody i dlaczego mi o tym mówisz? – dopytywała Joanna. – I dlaczego właściwie użyłeś liczby mnogiej?

Nagle na chwilę zamarła. Nie, nie chciała tego słuchać. O żadnej lafiryndzie, dla której Paweł szyje sukienki, spódniczki czy inne bluzeczki. O żadnej z nogami do szyi i cyckami pod brodę.

– Właściwie to nic nie mów – powiedziała, ale Paweł wszedł jej w słowo i z ekscytacją oznajmił:

– Babcie będą na wybiegu! Możemy to zrobić w świetlicy albo w innym miejscu. Dziadkowie pomogą w przygotowaniach. Rozerwą się, poczują się ważni, babcie ich docenią, a same staną się modelkami; będziemy sprzedawać ubrania i zbierzemy kasę na dach! – wypalił jednym tchem.

– Słucham? – Joanna nie dowierzała. Jej patrycjuszki i pokaz mody? – Babcie? Nie te... z nogami do nieba? – spytała, szybko odwracając wzrok.

– Do jakiego nieba? – Paweł niezbyt udolnie udawał brak zrozumienia. Znów się zaczerwienił i szybko dodał: – Będę potrzebował wsparcia Marii i Genowefy. Już wszystko przemyślałem, całą kolekcję. Nazwę ją „Warszawski element”. – Zamilkł na moment, ponieważ Joanna prychnęła.

– Rozumiem, że zainspirowali cię Muzyk z Historykiem po spożyciu tego i owego z piersiówki.

– No, niezupełnie. To znaczy, w zasadzie tak – przyznał Paweł. – Ale, ale, to będzie dobry punkt wyjścia!

Joanna zauważyła, że Paweł cieszył się jak dziecko. Wyglądał uroczco, a przecież modelkami miały być babcie, a nie ich wnuczki.

– Może to i dobry pomysł, ale dach przecieka już, a żeby zorganizować pokaz, trzeba czasu... Przecież musisz coś uszyć!

– W słowach Joanny brakowało entuzjazmu.

– Dlatego za chwilę pogadam z ciotkami.

– Z ciotkami?

– No, z ciocią Marysią i Gienią. Jedna szyje, druga maluje. Mam plan. A Stachu powiedział, że jego kumpel powiedział, że jego żona organizuje różne wydarzenia dla mieszkańców Żoliborza w jakimś domu kultury. – Mrugnął porozumiewawczo do Joanny i szybkim krokiem wyszedł z jej gabinetu, jakby nagle przypomniał sobie o czymś niecierpiącym zwłoki.

– Wariat – mruknęła Joanna, a w jej brzuchu kolejny motyl zatrzepotał wielkimi skrzydłami.



Paweł tymczasem notował. Stojąc przy ścianie, z zeszykiem trzymanym zazwyczaj w kieszeni spodni, z ołówkiem wyciągniętym zza ucha. Jak podłotek mamrotał pod nosem, zapisując kolejne słowa. Czy kiedykolwiek komuś je pokaże? To nie miało żadnego znaczenia. „Chciałbym zostać wtajemniczony w zieleń twoich wielkich oczu...” – napisał, ale po chwili skreślił zapisane słowa i westchnął.

ROZDZIAŁ XVII

When no-one else can understand me

When everything I do is wrong

Elvis Presley, *The Wonder Of You*

Joanna najpierw siarczyście zakłęła, a dopiero później wdepnęła w psią kupę. Zupełnie nie rozumiała, z jakiej racji dała się namówić na ten wyjątkowy spacer. Plac zabaw z zardzewiałą od wieków huśtawką tonął w mroku i jesiennej plusze okraszonej psimi odchodami. Przydałby się śnieg, pomyślała, do zakrycia żoliborskiego paskudztwa, którego nie mogła znieść. Za całą resztę kochała tę dzielnicę, choć to nie ona zdecydowała, że właśnie tu będzie żyć. Zrobili to za nią rodzice albo zrządzenie losu. Nie miała odwagi poświęcić więcej czasu na rozważania, co by było gdyby, zresztą i po co? Jediną alternatywą przez ułamek sekundy było mieszkanko, które teraz zajmował Paweł z córką, zatem dzielnicy by nie zmieniła, nawet gdyby w odpowiednim czasie podjęła decyzję. Joanna z natury nie lubiła podejmować żadnych decyzji. Gdy to robiła, zazwyczaj ich żałowała. Tak jak teraz, gdy wciąż stojąc w psiej kupie jednym butem, drugi wycierała o zgniły strzępek trawy i zastanawiała

się, co właściwie tutaj robi i po jaką cholerę dała się na to namówić.

– Takie rzeczy się omija, moja droga. – Marię najpierw usłyszała, dopiero później zobaczyła.

– Czy tu nie może być normalnego oświelenia? – burknęła Mała Mi.

– Ależ może, tylko zazwyczaj w zestawie znajduje się okoliczny opryszek z procą w dłoni – westchnęła staruszka.

– Mówisz o zamierzchłych czasach. Kiedy ostatni raz widziałaś kogoś z procą?

– A widziałam nawet z łukiem, na Henkla, w podwórku.

– Co ty nie powiesz. I ile miał lat ten opryszek?

– No ten akurat był z koleżanką – odparła Maria, jakby to wszystko miało wyjaśniać.

– No i? – Joanna szczerze się wciągnęła w rozmowę.

– No i mieli po jakieś dziesięć, więc do opryszków im jeszcze daleko, chociaż jak przypomnę sobie... a, mniejsza z tym. Sprawa jest. – Nagle Maria zaczęła brzmieć konspiracyjnie.

– Aha, a myślałam, że na piknik mnie wyciągasz. – Joanna zapięła kurtkę pod samą szyją i wyciągnęła z kieszeni czapkę. – Swoją drogą, gdzie Gienia? Byłam pewna, że na hasło „es o es” przymknie na swoim hulajrumaku przed tobą.

Maria przez chwilę utrzymywała ciszę. Próbowwała wypatrzeć odpowiednie drzewo, by zarzucić na jego pień swoje ramiona i kazać to samo zrobić Joannie. Tego by sobie z pewnością życzyła Genowefa. Tylko które drzewo było na uspokojenie skołatanych nerwów? Tego Maria nie mogła sobie przypomnieć; uświadomiła sobie za to ze wstrętem, że myśli o swojej przyjaciółce, jakby tej już z nimi miało nigdy nie być.

– Głupia krowa! – warknęła dość głośno, wprowadzając tym samym Małą Mi w nie lada konsternację.

– Poczekaj, mówisz o mnie czy o Gieni? – zapytała tak na wszelki wypadek, choć zupełnie nie wiedziała, co by miała ze zdobytą wiedzą zrobić.

– O sobie – przyznała Marysia. Usiadła na mokrej, zardzewiałej huśtawce i odepchnęła się nogami od błotnistego podłoża. Huśtawka wydała z siebie skrzypiący jęk, a Joanna mogłaby iść o zakład, że dźwięk ten wyrwał się z piersi Marysi.

Spojrzała na staruszkę podejrzliwie i odruchowo naciągnęła czapkę na uszy.

– Mów – poleciała, stanęła obok i zaczęła delikatnie poruszać huśtawką w przód i w tył.

To były zaledwie dwa zdania. Być może i złożone, ale w zasadzie nieprzekonywające. Hulajnoga w parku i brak gościa w koszuli w kratę na ławce na skwerku. Mała Mi, nie zważając na ziab, przycupnęła na jedynej desce okalającej piaskownicę, która od dawna służyła bezdomnym kotom za wielką kuwetę.

– Gienia jest w niebezpieczeństwie! – przeraziła się. Temu przerażeniu towarzyszyło ogromne zdziwienie Marysi.

– A to ciekawe...

– Co takiego? – Joanna spojrzała na swoje buty, z obrzydzeniem stwierdzając, że jedna podeszwa wciąż jest wymazana psią kupą.

– Że też tak myślisz – wyjaśniła Maria. – Dlaczego? – spytała i zeszła z huśtawki. Jej ruchy przypominały polującą lisicę tuż przy kurniku. Joanna nie chciała być kura, zwłaszcza upolowaną przez staruszkę.

– Nie masz przypadkiem... – Wcale nie próbowała nieudolnie zmienić tematu, ale Maria właśnie tak to odebrała. Jej spojrzenie mówiło samo za siebie. Nie odzywając się ani słowem, pochyliła się na chwilę nad torebką i wyjęła z niej piersiówkę. Odkręciła buteleczkę w matrioszki i podała Małej Mi.

– Mam – powiedziała. – Łyknij i mów.

Maria stanęła wyprostowana przed Joanną i wyczekująco założyła ręce na piersi.

– No to... za cebulę! – palnęła Joanna, wprawiając Marysię w osłupienie. Kto jak kto, ale żeby Mała Mi?

– No, moja droga, tym toastem właśnie wpakowałaś się w niezłe szambo, to znaczy dołączyłaś do naszego klanu – zachichotała staruszka, ale potem szybko odebrała piersiówkę, pociągnęła łyk i poleciła: – Mów wreszcie!

Joanna przełknęła ślinę.

– Widziałam łysego gościa, który na marszu narodowców wepchnął Gienię do auta. W telewizji pokazywali. – Dyrektorka ośrodka czuła narastającą kluchę w gardle. – Mryśka, nic z tym nie zrobiłam.

Marysia się roześmiała.

– No, Asiu! Też mi rewelacja! Zwłaszcza że wepchnął ją do samochodu należącego do „Patrycji”!

– Nie było widać napisu ani numerów – usprawiedliwiła się Joanna, a potem zmrużyła oczy i spojrzała na staruszkę spode łba. – A ty skąd wiesz? Nie mów, że rozpoznałaś wóz!

– No, trudno by było nie wiedzieć, w jakim aucie się siedzi – odparła tamta lekko i zwyczajnie, jakby ta informacja nie była ważna.

– Co takiego? – Mała Mi wstała i podeszła bliżej. Gdyby była z Marysią tego samego wzrostu, jej nos stykałby się z nosem starszej pani. Jednak Joanna była niższa. Zadarła więc nos i z dołu patrzyła „z góry”.

– Nie powiedział ci? – Maria roześmiała się. – Myślałam, że Stachu wszystko wyśpiewa.

– Stachu... – Joanna pokiwała głową, jakby imię woźnego było rozwiązaniem.

– Nie no, on w to nie był zamieszany, nie mógł przecież, dochodził do siebie.

– Kto zaiwaniał wóz? – Ton Małej Mi był z gatunku tych nieznoszących sprzeciwu.

– Ja – odparła Marysia z lekkim zawahaniem.

– I? – Joanna doskonale wiedziała, że ta historia ma jakieś drugie dno, i szczerze mówiąc, zaczynała się już w niej gubić.

– No i Czarna Wanda – grzecznie wyśpiewała Marysia. Przestała się uśmiechać, ponieważ nadszedł wreszcie czas nie tylko na pogaduszki czy myślenie, ale także na działanie. Tylko jakie?

– Po co tam pojechałyście?

– Gieńka była w niebezpieczeństwie. Polazła za tym swoim Bogusiem, by go nawracać.

– Jakim Bogusiem? – Joanna rozumiała coraz mniej.

– Tym łysym, co go widziałaś. Pomagał jej wsiąść do samochodu, żeby mogła się bezpiecznie wydostać z tego tłumu.

– Nic nie rozumiem. On jest łysy i...

– I na ramieniu ma swastykę, która jest strusiem – dodała Marysia.

– Co takiego? – Joanna pokręciła gwałtownie głową, chcąc, aby jej myśli uszeregowały się w jakąś bardziej logiczną całość. Tak się jednak nie stało. Głowa zaczynała ją boleć.

Marysia nie odpowiadała. Najwyraźniej stwierdziła, że wszystko jest jasne i nie ma co za dużo mleć ozorem. Joanna wciągnęła ze świstem powietrze i nagle oznajmiła:

– Zgubiłaś ciotkę!

– Co takiego? – oburzyła się Maria.

– Jego ciotkę. – Dyrektorka czuła złość i irytację. Historia lubiła się powtarzać i w tym momencie właśnie ta powtórka

z rozrywki miała miejsce. – Najpierw porwałaś jego babkę, a teraz zgubiłaś ciotkę!

– O, wypraszam sobie! – Maria wdrapywała się właśnie na zardzewiałą, wilgotną zjeżdżalnię, nie zważając na zupełnie nieodpowiedni ubiór. Czowała jednak, że jeden czy dwa zjazdy będą pomocne w usystematyzowaniu myśli. Nie były jednak.

– No tak. – Joanna podreptała za nią i również weszła po drabince na szczyt zjeżdżalni. Ułamek sekundy udało jej się poświęcić na refleksję na temat przemijania. Wcale nie w kontekście zagubionych staruszek, lecz dzieciństwa. Joanna bowiem uświadomiła sobie, że ostatni raz korzystała w przywilejów tej czy jakiegokolwiek innej zjeżdżalni w wieku sześciu lat i trzech miesięcy.

– No, to jesteśmy kwita – wymamrotała Maria.

– Co ty opowiadasz? – Joanna zjechała i pognała na drabinę, deptając staruszcze po piętach.

– No tak, ty zgubiłaś babkę, a ja ciotkę.

Rozmowa kobiet zaczynała stanowczo za bardzo przypominać wymianę zdań przedszkolaków. Być może sprzyjały temu okoliczności przyrody, ale najprawdopodobniej to poczucie bezradności grało tu pierwsze skrzypce.

– Co robimy? – spytała Mała Mi.

– Nie wiem, myślałam, że ty mi powiesz. Ty masz doświadczenie w poszukiwaniu zaginionych staruszek.

– Bredzisz, Mryśka. Zaginęły wówczas prochy, a nie żywa staruszka, poza tym to ty ją ukradłaś!

– No i co z tego. Ja ukradłam, ty szukałaś. Żywa czy martwa, co za różnica?

Marysia się przestraszyła. Przede wszystkim swoich słów i tego, że sytuacja naprawdę może być bardzo groźna.

– Byłaś u niej? – spytała Joanna, próbując wcielić się w rolę

swojej ulubionej ostatnimi czasy bohaterki literackiej. Polskich kryminalistów z reguły nie lubiła. Poza jedną serią. Chyłka i Zordon Mroza byli niczym jej najlepsi kumple. Działali szybko, myśleli konstruktywnie. Tak właśnie należało działać w tej chwili.

– Nie.

– Jak to nie?

– Bałam się.

– No to co my tu jeszcze robimy? – spytała Joanna, ruszając z placu zabaw. Wdepnięcie w psią minę tym razem nie wzbudziło w niej żadnych emocji.



Podróż nie trwała długo. Gienia, siedząca na tylnym siedzeniu z czapką naciągniętą na oczy i ręce związane za plecami, odczuwała ból w stawach. Jednak szybko przestała się nim przejmować, próbując policzyć, ile razy samochód zatrzymywał się na światłach. Po co jej to było? Te wyliczenia i tak by nie doprowadziły do żadnych konstruktywnych wniosków, gdyż nie wiedziała, przez ile skrzyżowań auto przemknęło na zielonym.

– Do diabła – powiedziała na głos. I wtedy usłyszała ją po raz pierwszy. Mówiła po polsku, ale z obco brzmiącym, mocnym akcentem.

– Kogo wysyłasz do diabła? – Nieznajoma siedziała na siedzeniu pasażera z przodu auta. Gienia stwierdziła na słuch, że głos należy do około czterdziestoletniej kobiety. Musiała być mózgiem całej operacji. Brzmiała władczo, ale spokojnie. Tylko o jaką operację mogło tu chodzić?

– A co, wybierasz się w te rejony? – Staruszka pomimo skrępowania i czapki na oczach, a także uwięzienia w obcym

samochodzie, miała czelność. Nie spodziewała się jej, tej czelności lub nawet bezczelności, ale postanowiła się na nią zdecydować już w ciemnej klatce schodowej w bloku Marysi, w momencie gdy poczuła, że ktoś zasłania jej od tyłu usta. Najpierw pomyślała, że to jakiś palant znudzony okradaniem emerytów metodą na wnuczka przeszedł do szybszych i skuteczniejszych sposobów, ale sprawca zamiast zabrać jej portfel, w którym *de facto* nie było za wiele, wykonał kilka innych czynności. Chciał jej nawet zakleić usta, ale z jakiegoś powodu zrezygnował. A Gienia ze zdumienia zapomniała, że wypadałoby zaprotestować, szarpnąć się, zacząć wyrywać, gryźć, kąsać, krzyczeć. Nie podjęła żadnego działania, lekko speszona i dość mocno zdenerwowana.

Nie, nie była przestraszona. Niepokoiła się jednak, ponieważ kompletnie nic nie rozumiała. Została porwana – na stare lata. Roześmiała się, uświadamiając sobie, że ktoś mógł wpaść na tak absurdalny pomysł.

– Ja nie. Ty tak. – Odpowiedź była oschła, podobnie jak sam głos. To przez papierosy, pomyślała Gienia i już miała zapytać, jakie ta kobieta ma w zwyczaju popalać, ale samochód się zatrzymał i staruszka została wyprowadzona, by po chwili z pomocą niezbyt delikatnych dużych rąk skierować się schodkami w dół do chłodnego pomieszczenia o niezbyt przyjemnym piwnicznym aromacie.

– Kawy bym się napiła – wymamrotała tak ni z tego, ni z owego. – Albo bym się przytuliła do drzewa. Najlepszy byłby dąb.

– Chłop jak dąb – podchwyciła rozmówczyni z auta. – Tak się tu mówi?

– No, jak tak, to mogę się przytulić do tego, o! – W tym momencie męskie dłonie ściągnęły z oczu Gieni czapkę. Na widok ich właściciela staruszka lekko się skrzywiła, postanawiając w duchu, że nawet z braku jakiegokolwiek drzewa przytulać się do tego osobnika nie będzie.

Nieznajomy omiół pomieszczenie wzrokiem, posadził Gienię na krześle stojącym na samym środku, a potem ściągnął jej z rąk sznurek, którym skrepował ją jeszcze na klatce schodowej.

– *No, thank you* – odezwał się porywacz gwałtownie nad jej uchem. Genowefa ani drgnęła. Zareagowała za to spontanicznym chichotem, ponieważ na trzymany z tyłu nadgarstkach poczuła łaskotanie. Porywacz splunął. Najwyraźniej nie podzielał dobrego humoru uprowadzonej i wyszedł z pomieszczenia. Za nim powędrowała kobieta. Była stylowa, szykowna nawet.

Światło nie napawało optymizmem, było przyćmione. Twarz porywaczki ginęła w mroku.

– Poczekaj! – krzyknęła Gienia. – Może by mi ktoś coś wyjaśnił? – spytała.

– Przyjdzie godzina – odpowiedziała kobieta i zamknęła za sobą drzwi. Na klucz.

– Chyba przykuśtyka... – zamyśliła się Gienia.

Gdy została sama, wciąż nie przestawała się uśmiechać.

– Durna baba! – powiedziała do samej siebie. – Zamknięta w jakiejś stęchłej piwnicy, siedzi i się chichra.

No cóż, owszem, mogła mieć sobie do zarzucenia nieprofesjonalne zachowanie w tak ekstremalnej sytuacji. Jednak łaskotanie nie ustępowało, a miękki puszek na skórze nadgarstków delikatnie łagodził ból reumatyczny. Gienia westchnęła. Ciekawe, o co tu właściwie chodzi. W zasadzie czuła bardziej podekscytowanie niż zagubienie. O przerażeniu na razie nie było w ogóle mowy.

– Ha! – prychnęła, rozglądając się. – Raczej nie będę książkowym przykładem uprowadzonej. – Zamyśliła się i nagle przyszła refleksja. A co, jeśli ją zabiją? Szybki rachunek sumienia ponownie wywołał uśmiech na starczej twarzy. – No

i co z tego? Może przyszedł na mnie czas. Byleby nie torturowali – zachnęła się. – Ale ja im na to nie pozwolę.

Na pytanie, w jaki sposób będzie się bronić, odpowiedzi nie znalazła, ale i szukać nie chciała, ponieważ właśnie zerknęła w bok i dostrzegła coś, co przykuło jej uwagę. Podniosła się – niespiesznie. Wcale nie dlatego, że jej zaciekawienie całą sytuacją zmalowało do zera. To odezwał się reumatyzm. Gienia stwierdziła zresztą, że na tym etapie nie może sobie pozwolić na guzdranie. Pokracznie podniosła się z krzeselka i powędrowała na tyły pomieszczenia. Biurko było zavalone paczkami. Panował na nim bałagan, ale taki, który z powodzeniem można by określić jako „artystyczny”. Obok mebla leżały puste pudełka z rozdziawionymi paszczami, gotowe pochłonąć towar do wysyłki. A tuż obok stała podświetlona czerwonym światłem ledowym gablotka. Wysoka, przeszklona, z różowymi zabawkami. Gienia od zawsze uwielbiała ten kolor, ale nawet teraz, w wieku zdecydowanie emerytalnym, nie pozwalała sobie na taką ekstrawagancję. Nawet flaming namalowany na jednym z kamieni był pomarańczowy w białe paski. Alicja – to co innego! Jej różowy błyszczak dodawał Gieni otuchy zawsze wtedy, gdy tego potrzebowała. Choć w zasadzie takich sytuacji nie było za wiele. Może to z powodu braku ekscytujących zdarzeń? Genowefa wpatrywała się w gablotkę, a raczej jej zawartość, i unosząc brwi ze zdumienia, coraz mocniej i bardziej uświadamiała sobie, jak nudne wiodła życie. Nie, absolutnie niczego nie żałuje. Uśmiechnęła się na samą myśl o początkach. Miała na myśli początek wszystkiego, który okazał się również końcem. Gdy zobaczyła wychudzoną i jakąś taką wyliniałą Marysię, którą Henryk, brat Gieni, prowadził za rękę do swojego już wówczas domu.

– No, Gieńka, ona będzie tu teraz zarządzać – oznajmił wojskowy odpowiednim tonem i wyszedł. A Gieńka prychnęła wówczas tak głośno, że biedna Maria skuliła się jeszcze bardziej, a potem pobiegła do toalety, z której Genowefa już się jej nie doczekała. Znudzona do granic możliwości taką nową

gosposią, siostra Henryka napiła się herbatki i poszła do siebie, zastanawiając się, jak można być taką szarą myszą. A teraz, no proszę! Kto w tym całym towarzystwie przywdział szary kolor, komu on służy?

Genowefa westchnęła. Może to kolorowanie szarych kamieni było właśnie wyjściem z własnej szarości, poszukiwaniem drogi do nowego życia. Wołaniem świadomości o opuszczenie utartego szlaku, zboczenie z wytyczonej ścieżki. Staruszka chętnie machnęłaby ręką na te wszystkie filozoficzne pytania rodem z książek Paula Coelha. Nie mogła jednak tego zrobić, ponieważ puszek wciąż okalał jej skrępowane nadgarstki. Był przyjemny w dotyku, ale zaczynało ją to wszystko denerwować.

Przyjrzała się wypukłym różowym ni to stożkom, ni to walcom o różnych zakończeniach. Stały dumnie jak jeden mąż, prężąc się w całej okazałości. Dopiero po chwili Genowefa pojęła, na co patrzy. Sztuczne penisy i wibratory były... piękne! To odkrycie wywołało rumieńce na twarzy starszej pani. Policzki płonęły jej żywym różem, tego Gienia była pewna. Nie mogła jednak przestać się gapić na tak piękne zabawki.

– Puszek! – uśmiechnęła się szeroko, zdając sobie wreszcie sprawę, co właściwie ma na nadgarstkach.

Zachichotała na głos. Gdyby Mryśka tu była, pewnie nie przestawałaby się śmiać. Ciekawe, jak to wszystko działa – to pytanie Genowefa zadała sobie w duchu, ale szybko się go przestraszyła. To był jedyny lęk, jaki odczuwała w zamkniętym pomieszczeniu, porwana przez jakichś łobuzów.

Gdy pomyślała o Marysi, naraz podeszła do biurka. Oprócz paczek wyraźnie przygotowanych do wysyłki dostrzegła na nim porozrzucane tubki, kulki przypominające jojo, długie, niezbyt grube plastikowe patyczki z lekkim wygięciem z jednej strony i czarne eleganckie pudełka z różowymi serduszkami. Już wiedziała, co ma robić. Był tylko jeden problem: potrzebowała rąk. Albo chociaż jednej, bez puszek! Nagle Gienia odwróciła się tyłem do biurka, z trudem ugięła nogi w kolanach i odrobinę

uniosła złączone ręce. Jej powyginane palce były jak haczyki. Zgarnęła pierwszą lepszą tubkę, odkręciła ją i trzymając w jednej dłoni, zarzuciła ją delikatnie w górę. Momentalnie poczuła na nadgarstku zimny żel, który rozlewał się po obu dłoniach, klejący, dość przyjemny. Gdy poczuła, że puszek okalający kajdanki jest wilgotny, podobnie jak jej dłonie, spróbowała uwolnić jedną.

Bingo! To było to! Z takim poślizgiem to by mogła zawsze i wszędzie, no ale nie z byle kim, rzecz jasna.

Gienia odwróciła się do biurka. „Lubrykant” – przeczytała na opakowaniu pustej tuby i ponownie oblała się rumieńcem. Dość tego zawstydzenia, trzeba działać – wydała polecenie sobie samej, chwyciła czarne pudełko z serduszkami i srebrnym napisem „Exclusive” i włożyła je do szarego kartonu. W szufladzie biurka odnalazła notes, wyrwała kartkę i napisała: „Jestem tu, z zabawkami. Porwał mnie jakiś zbir gadający po angielsku. Gienia”. Karteczkę wsunęła do czarnego pudełeczka, zamknęła karton i wpisała adres domu spokojnej starości „Patrycja”. Paczkę włożyła pod trzy kartony już przygotowane do wysyłki. W tym momencie usłyszała kroki. Pokuśtykała na krzesło. Usiadła i schowała ręce za sobą. Gdy drzwi się otworzyły, gapiała się na nie z wielkim uśmiechem od ucha do ucha. A raczej na osobę, która przez te drzwi weszła.

– Nie rozumiem – powiedziała tamta kobieta.

Teraz Genowefa postanowiła jej się porządnie przyjrzeć. Widziała w jakimś filmie, że w takich sytuacjach należy zapamiętać jak najwięcej znaków szczególnych oprawcy, żeby w razie możliwości skomunikowania się z Mryską przekazać jej co istotniejsze detale.

– Dlaczego się uszmechasz? – spytała nieznajoma, wyjaśniając, czego tak właściwie nie rozumie. Gienia pomyślała, że przydałaby jej się joga z Matyldą albo zabawa z Ulką, z pewnością przestałaby być taka drętwa jak polskie zgłoski wypowiedziane z amerykańskim akcentem. To był znak

szczególny. Ten akcent. Inne trudno było uchwycić w tym świetle.

– Mam szczękościsk – powiedziała Genowefa, jeszcze bardziej rozciągając usta na samą myśl o tym, jak to słowo będzie brzmiało, gdy wypowie je właścicielka amerykańskiego akcentu.

– Szszsz – spróbowała tamta, ale na szemrzeniu zakończyła, zapaliła światło i podeszła bliżej.

Genowefa zamrugła. Oczy ją zapiekły. Poczowała przemożną chęć ich zamknięcia, ale postanowiła dalej szukać znaków. Tych szczególnych. Kobieta miała długie blond włosy, długie sztuczne paznokcie pomalowane na różowo, wysokie szpilki i lekką nadwagę. Gienia skrzywiła się nieco, ale postanowiła nie oceniać i nie myśleć stereotypowo.

– Jaka pogoda w Stanach? – zagaiła, gdy znudziła się przedłużającymi się oględzinami.

– Naprawdę cię to interesuje? – usłyszała w odpowiedzi oschły ton z nutką dezorientacji.

– Nie, ale zazwyczaj jak nie ma o czym gadać, to gadamy o pogodzie. Taka polska tradycja.

– Siedz cicho – poleciła niezadowolona kobieta, po czym przechadzając się po pokoju, dodała: – Chcieliśmy to załatwić polubownie.

Gienia uniosła brwi.

– Dzwoniliśmy, ale nie reagowałaś na nasze polecenia. Teraz nie masz wyjścia. Gdzie są pieniądze?

– Mam już mówić czy nadal siedzieć cicho? – upewniła się Gienia.

– Mów – dała przyzwolenie porywaczka, wyraźnie zadowolona, że wreszcie porwana staruszka zaczyna zachowywać się, jak na porwaną przystało.

– W skarpecie – wypaliła Gienia, a na jej twarzy ponownie

zagościł uśmiech.

– *What?!* – Kobieta nie była zadowolona.

– No, zazwyczaj Polacy w moim wieku trzymają kasę w skarpecie. Tak się mówi. No błagam cię, nie wiesz? Ewentualnie w banku, nie w słoiku przecież. W słoiku to się zupełnie wozi od mamusi. Ja to nie wożę z racji wieku, wiesz, nie jestem z tego też tytułu słoikiem – zachichotała.

– Czy mogę prosić o konkretną odpowiedź? – Amerykanka wypowiedziała podręcznikowo skonstruowane zdanie, którego grzecznościowa forma tak nijak się miała do okoliczności, że Genowefa nie wytrzymała:

– Co tu się właściwie dzieje? A w ogóle to dobrze mówisz po polsku, tylko trochę nieobyta jesteś w potocznej mowie. – Staruszka podniosła się z krzesła i rozłożyła ręce, zdradzając brak kajdanek na jednym z nadgarstków.

– Jak ty to...? – Nieznajoma się rozejrzała, podeszła do biurka, zauważyła lubrykant i prychnęła. Najwyraźniej dla niej było nie do pomyślenia, że starsza pani mogła wpaść na taki pomysł.

– No weź już wykładaj kawę na ławę, bo się spieszę – ponagliła Gienia i zrobiła trzy kroki w kierunku drzwi. Nagle pojawił się w nich rosły mężczyzna w koszuli w kratę; stanął w pozycji ochroniarskiej. Nawet minę miał jak ci wszyscy z Leroy Merlin, Auchan czy innych sieci hipermarketów. Nieprzeniknione znużenie w połączeniu z marzeniami prawie sennymi.

– Będziesz jej pilnował. Tak długo, jak trzeba będzie. Nie dostaniesz jedzenia ani picia, dopóki nie oddasz spadek – zakomunikowała porywaczka, a Gienia naraz wszystko zrozumiała, ale zamiast szybko zainterweniować, popatrzyła na ochroniarza z troską.

– Przecież on się tu ze mną zanudzi na śmierć – oznajmiła i była gotowa podejść do mężczyzny i pogłaskać czule po policzku, ale w porę się opamiętała.

To nie Boguś – poinstruowała samą siebie. Ostrożnie!

– Na śmierć to ty tu czekasz – usłyszała w odpowiedzi.

– No, nie sądzę. Jak umrę, to jak znajdziecie mój spadek? – zagaiła Gienia.

– Jak umrzesz, to spadek przejdzie na mnie, prawowitą i jedyną spadkobierczynią. Na córkę swojej matki.

Trzeba było przyznać, że brzmiało to całkiem logicznie. Jednak Genowefa postanowiła nie dawać po sobie poznać lekkiego zakłopotania. Nie miała na to czasu. Teraz trzeba było odpowiedzieć sobie na bardzo ważne pytanie: jaką strategię obrać? Nie namyślała się długo.

– Jesteś córką swojej matki, powiadasz, a Steffi nic, tylko Gloria i Gloria, jakby nie było innych fajnych dzieci na świecie.

– Genowefa podjęła ryzykowną grę. Nie zwracając uwagi na konsekwencje, jakie mogły na nią spaść, zejść jak lawina, ale z drugiej strony i tak już była udupiona – i to, biorąc pod uwagę otoczenie, prawie dosłownie.

O masz! – nagle Genowefę oblał zimny pot. Tylko żeby nie przyszło im do głowy zabawiać się ze starą babą w *Pięćdziesiąt twarzy Greya!* – pomyślała i ukradkiem zerknęła na goryla w koszuli w kratę. Nie; Gienia ponownie nie mogła się powstrzymać przed zmarszczeniem nosa. To nie ten typ. Ten to nawet nie wie, o co z tym Grejem chodzi, ale za to ona... Staruszka przeniosła wzrok na nieco otyłą blond piękność i zateśniła za Małą Mi. Mryśka miała rację, Mi doskonale nadawała się dla Pawełka. Alicja byłaby przeszczęśliwa, widząc ich razem, pomimo życzliwej nienawiści, jaką żywiła do dyrektorki domu spokojnej starości. I w tym momencie porywaczka skutecznie wyrwała Gienię z zamyślenia.

– Gloria – prychnęła. – Niedorozwinięta dziewczucha zniszczyła mi życie. A potem wzięła i umarła. I to dobiło matkę.

– A tak to byś mogła korzystać z jej majątku, pewnie brałaś od

niej na waciki! – Genowefa pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Jej majątku? – oburzyła się blondynka z tipsami. – Ty chyba żartujesz!

– Mówi się „dobre sobie” albo „wolne żarty” – wtrąciła Gienia, podeszła do goryla i podniosła swoje dłonie do jego twarzy. – Zorganizujesz mi ręcznik? Cała się kleję od tych – wskazała na gablotkę – zabaweczek. – Pomachała mu lepką dłonią przed nosem i nie czekając na odpowiedź, pokuśtykała z powrotem na krzesło.

– To majątek mojego ojca.

– Nie wiem, nie znam się, zarobiona jestem. Słuchaj, a po co ci tyle kasy? Twój mąż nie jest w stanie cię utrzymać? – spytała, choć wcale jej to przecież nie interesowało.

Porywaczka spojrzała na goryla w koszuli.

– Serio? – Gienia nie dowierzała, czemu dała wyraz odpowiednią miną. – On? Mąż? – ściszyła konspiracyjnie głos i pokręciła głową na znak dezaprobaty.

– *Shut up!* – warknęła kobieta, wyraźnie tracąc cierpliwość.

– No to jak tak, to nic ci nie powiem. Sama chciałaś.

Genowefa usiadła. Wyciągnęła ręce przed siebie i wskazała brodą na nadgarstki i dyndające na jednym z nich różowe futerkowe kajdanki.

– No, zapinaj. I daj mi święty spokój.

Nagle staruszka wpadła na pewien pomysł.

Miała plan, pytanie tylko, jak go wprowadzić w życie?

ROZDZIAŁ XVIII

NYC, LATA 80.

You give me hope and consolation

You give me strength to carry on

Elvis Presley, *The Wonder Of You*

To było wtedy, gdy padał rześisty deszcz, a wiatr nie dawał sobie ani innym ani chwili wytchnienia. Gdy niebo chowało się za własną żelazną kurtyną, napawającą beznadzieją i gwarantującą wielogodzinne migreny. A noc rozpychała się za dnia, wytrącając z równowagi znajomą kolej rzeczy. Nie to było jednak nie do zniesienia. Cała ta kultura słowna, a raczej jej brak... I to w takim miejscu!

Maria wyszła z domu chętnie. Cały ranek i przedpołudnie zwięzała spódnicę Waniliowej, mało tego, że sporą z racji gabarytów właścicielki, to jeszcze z materiału, który rozłaził się w szwach, więc trzeba było wszystko robić ręcznie. Maszyna nie radziła sobie z twardą, praktycznie plastikową tkaniną, a Maria nie radziła sobie z maszyną. Gdy dzień wcześniej delikatnie zasugerowała wymianę spódnicy na coś, co by bardziej oddychało na ciele, napotkała kategoriyczny sprzeciw.

– Bo ci więcej nie przyniosę szarlotki – powiedziała Mrs. Smoke i brzmiała bardzo, ale to bardzo poważnie.

Teraz, kiedy deszcz bębnił o szyby samochodu, jechała do leśnej szkoły. Swoją nazwę placówka zawdzięczała pięknym okolicznościom przyrody. Aby się tam znaleźć, należało pokonać niemało mil. To było jedyne miejsce, w którym przed Steffi, a raczej Gloria, nie zatrzaśnięto drzwi. Maria miała podejrzenie, że te właśnie drzwi były dla nich otwarte przez czeki wystawiane

przez Steffi, ale z drugiej strony to było jedyne wyjście – zarówno Glorii z domu, jak i z sytuacji, w jakiej znalazła się Steffi po odejściu kolejnej opiekunki.

Gdy Marysia zaparkowała przed okazałym budynkiem szkoły, słyszała deszcz. Kiedy podchodziła do drzwi, trzymając nad głową mało skuteczny parasol, usłyszała coś więcej. I to więcej było równie niepokojące, co grzmoty w samym środku lasu. Maria rozejrzała się z lękiem. Nie wiedziała, skąd pochodzą odgłosy ani co sobą mogą reprezentować. Wysłyszała w nich jednak znajomą nutę przerażenia i bezsilności, mieszaną eksplozującą. Wybuch musiał nastąpić jakiś czas temu; teraz do uszu wszystkich, którzy sobie na to pozwolili, dobiegał skowyt tłącego się zapalnika. Maria weszła po schodach. Oparła dłoń na klamce, lecz drzwi okazały się zamknięte. Spojrzała na okna – pozamykane w samym środku lata; wiadomo – padało. Dom wyglądał na opuszczony. Wrażenie złudne, rzecz jasna, wmawiała sobie i całemu wszechświatu Maria, starając się dobić do środka.

Gdy przestała, przestało również padać. Nieznany, ale z jakiegoś powodu niepokojący skowyt również ucichł. Maria spojrzała na zegarek. Steffi wyraźnie mówiła, by być przed piątą po południu. Było za piętnaście. Maria usiadła na mokrych stopniach, złożyła parasol i wytarła dłońmi twarz.

– Mry – usłyszała. Podskoczyła na równe nogi i zbiegła ze schodów. Zajrzała pod nie i ze zdumieniem odkryła, że siedzi tam Gloria, z opuchniętymi od płaczu oczami, z mokrymi włosami i twarzą, w mokrych ubraniach bezwstydnie przylegających do rozwijającego się ciała dziewczynki, która nic nie rozumie.

– Dlaczego tu jesteś?! – Maria załkała, patrząc na ten widok.

Wyciągnęła ręce do dziewczynki, ta podjęła próbę wdrapania się na nią, niezgrabnie i nieporadnie, z pomocą Marii znalazła się w jej objęciach i pozwoliła zanieść do samochodu.

– Mry – powtarzała, sadowiąc się na tylnym siedzeniu, a jej głos był przerywany resztkami szlochu, który raz po raz lawiną spadał na nie obie.

– Już, już dobrze. Ogrzejesz się zaraz – mówiła Maria. Zdejmowała z Glorii mokrą sukienkę, kolanówki, buty, otulała ją kocem, który wozila w bagażniku.

Gdy ruszyła, nie myślała o tym, jak można było zostawić niepełnosprawne dziecko na zewnątrz w taką pogodę. Nie rozważała, czy był to rodzaj kary za nieposłuszeństwo lub brak współpracy przy łykaniu leków, czy terapia psychiatryczna.

– Oni są trochę kontrowersyjni – wspominała Steffi, gdy udało się umieścić córkę w tym ośrodku. Maria wówczas kiwała głową ze zrozumieniem, pochyłona nad szyciem, w myślach projektując kolejną zmianę dekoltu sukienki, którą zamówiła jedna z sąsiadek. – No, ale wiedzą, co robią – westchnęła Steffi. – Czasami tak trzeba.

– Tak, czasami tak trzeba – powtarzała Maria bez zastanowienia, ciesząc się, że koleżanka wreszcie odetchnie, zapomni o laboratorium, bardziej się przyłoży do szycia i stanie na nogach. A wtedy Maria będzie mogła wrócić do domu, którego nigdy nie powinna była opuszczać.

Deszcz ponownie zabębnił o szyby auta. Gdy wjeżdżały na obwodnicę, było ciemno, kiedy zaś zjechały do miasta, dom był już blisko, coraz bliżej, i właśnie wtedy, gdy Marysia przysięgała sobie w myślach po raz setny tego dnia, że nie pozwoli, by dzieci, niezależnie od stopnia niepełnosprawności, były traktowane w taki sposób, po prawej coś mignęło.

Pisk hamulców. Zbiegowisko. Wycie syren policyjnych, karetka. Migawki w jej głowie przypominały żarłoczne kruki nadlatujące znienacka, by szponami wydrzeć z niej ostatnie życiodajne soki. Gdy kilka godzin później ulica, wypełniona krzykiem i spowolnionymi ruchami służb, dorosłych, dzieci, szczekających psów, wreszcie się wyludniła, Maria wciąż

siedziała za kierownicą ze zbielełymi kłykciami mocno zaciśniętych na niej palców.

- Niech pani już jedzie.
- Dajcie jej coś na uspokojenie.
- Zostawcie ją.
- Zawieziemy panią.

Ona tylko kręciła głową, aż wreszcie zasunęła szybę, spojrzała we wsteczne lusterko na wciąż śpiącą, wykończoną Glorię i uruchomiła silnik. A potem zdusiła w sobie krzyk, wysiadła z samochodu, wyciągnęła Glorię opatuloną w koc i trzymając ją na rękach, ruszyła przed siebie.

Nie czuła zmęczenia. Nie czuła nic. Odwracała się raz po raz w nadziei niezobaczenia pękniętej czerwonej piłki, która wturlała się pod koła jej samochodu. Ani noszy, na których zabierano tamto dziecko. Ani twarzy policjanta, który z jakiegoś powodu puścił ją wolno, choć kajdanki cichutko pobrzękiwały przy jego pasku, gdy tylko zbliżał się do niej po kolejne zeznania.

- Zobaczyłam po prawej i zahamowałam. - Tylko tyle mówiła za każdym razem, a on kiwał głową, oglądał raz po raz wóz, sprawdzał stan trzeźwości, zaglądał do dokumentów.

Szepty, wszędobylskie szepty, biegły za nią, a ona próbowała przed nimi uciec. Na ulicach nie było nikogo... a może ktoś się jednak pojawiał, lecz Maria niczego i nikogo nie dostrzegała. Zatrzymała się kilka przecznic od domu Steffi. Spojrzała na zegarek; Steffi powinna się już dawno zaniepokoić. Budka telefoniczna, długie sygnały. Brak podniesionej słuchawki po drugiej stronie.

- Mry, mry, mry, mry - zamruczał pakunek, który Maria wciąż niestrudzenie niosła na rękach. Z zaskoczeniem spojrzała na rozanieloną twarz dziewczynki. Rzadki widok w tym przypadku wcale nie zadziałał kojąco.

– Mrysa – powiedziała Gloria. – Jesteś piękna.

Maria uroniła łzę, która spadła na nos dziewczynki. Ta zachichotała i chwyciła swoją brudną, klejącą się rączką nos Marysi. Tak dotarły do domu Steffi. Domu pustego i zamkniętego na cztery spusty.

Z tej nocy pamiętała tylko tyle, że ocknęła się na ganku, gdy usłyszała hamujący z piskiem opon wóz. Nie otworzyła oczu na dobre, ale wyraźnie usłyszała wysiadającą z niego Steffi. Nie, chwileczkę, ona nie wysiadała. Została z niego wyrzucona.

– *Fuck you!* – krzyczała głośno, raz po raz zanosząc się śmiechem. Zdjęła ze stopy but na obcasie i rzuciła go za odjeżdżającym autem. – *Fuck you!* – Wciąż nie mogła się uspokoić. – Uwierzysz, że jak go ugryzłam, to mnie wyrzucił?! – Była oburzona, a potem otworzyła drzwi i runęła na kanapę, nie zwracając sobie głowy niczym i nikim.

Kolejny dzień przyniósł odrętwienie. I nagłówki gazet. I waniliową panią Smoke, która z pakunkami słodkości bez pukania weszła do domu Steffi i rzuciła „New York Timesa” na kuchenny stół.

Steffi już trzymała drżącą dłonią swój egzemplarz, drugą nerwowo popalała marlboro. Strzepywała popiół prosto na podłogę. Kowbojski kapelusz leżał obok na krześle. Gloria spała z głową opartą na kolanach Marysi. Ta z kolei, we wczorajszym brudnym ubraniu, z podkrążonymi oczami, pozwalała papierosowi, aby wypalił się sam, oparty o brzeg popielniczki. Po raz pierwszy od tygodni nie zwracała sobie głowy kapeluszem.

– Teraz o tobie wypisują gazety – oznajmiła Mrs. Smoke, zupełnie nie spodziewając się reakcji. Wypadało po prostu wyartykułować coś, co by wytłumaczyło jej obecność właśnie teraz, właśnie w tym miejscu. Maria uniosła nieznacznie brwi. Zagładanie do gazet było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. – Ale ciebie to ona nie przebije. – Właścicielka cukierni

skierowała się do kuchni po talerzyki, nastawiła też czajnik na gazie, by zagotować wodę na herbatę, po chwili wróciła i kontynuowała: – Choć lokalna kronika kryminalna też brzmi dumnie.

Kobiety spojrzały na Mrs. Smoke. Jej obfite kształty falowały przy nawet najmniejszym ruchu. Zdawały się bezgłośnie powtarzać ruchem fałdek wszystkie słowa wypowiedane przez ich właścicielkę, być może chcąc w ten sposób nadać im szczególnego znaczenia.

– Gdzie ty wtedy byłaś? – spytała Waniliowa, stawiając na stole talerzyki i rozkładając szarlotkę, której aromat wypełnił całe pomieszczenie.

Marysia nie zareagowała. Steffi spojrzała na Mrs. Smoke i uświadomiła sobie, że to pytanie, które zawisło w gęstym powietrzu, zostało skierowane właśnie do niej.

Wstała, rzucając gazetę na podłogę. Podeszła do Marii, zgasila papierosa w popielniczce stojącej obok z wypalonym już papierosem Marysi, a potem z lekkim wahaniem usiadła przy stole i w milczeniu zaczęła jeść. Szarlotka smakowała wybornie. Ból głowy, z którym Steffi zmagala się z samego rana, słabł z każdym kęsem.

– Jesteś cudotwórczynią – wymamrotała z pełnymi ustami. – To najlepsze lekarstwo na kaca, mogłabym tak zawsze. – Steffi niebezpiecznie zaczynała trajkotać.

Maria nerwowo potarła skronie, przełożyła głowę Glorii na poduszkę i podeszła do stołu. Uwadze Mrs. Smoke nie uszły trzęsące się ciało, drżące kończyny, nogi jak z waty, na których Marysia trzymała się niepewnie.

Waniliowa chwyciła łyżeczkę i zgarniając nią kawałek ciasta, wsunęła ją Marii do ust. Marysia zaczęła jeść. Zapanowała cisza. Madagaskarka karmiła wciąż milczącą Marię, świdrując wzrokiem Steffi. Ta nie przestawała zajadać się smakołykami, nie spuszczając z kolei wzroku z Mrs. Smoke.

– Upiłam się – powiedziała wreszcie Steffi. – Zapomniałam o córce, zapomniałam o Marii, zapomniałam o wszystkich, o kim pamiętać powinnam. Myślałam o gnojku, który obmacywał mnie w barze, zastanawiałam się, czy wyglądam wystarczająco apetycznie, by zdarł ze mnie ubranie i aby później o mnie nie zapomniał. Nie chciałam pamiętać o niej. – Palec wskazujący powędrował w kierunku Glorii, która teraz siedziała na kanapie, klaszcząc i zanosząc się śmiechem, jakby właśnie ujrzała najwspanialszy występ komediowy, w którym rolę główną odgrywała jej matka.

– Masz do tego prawo – wydukała Marysia. – By nie chcieć pamiętać. – Spojrzała na Waniliową i obdarzyła ją nieśmiałym uśmiechem. Wyjęła z jej dłoni łyżeczkę i dodała: – Co tam jeszcze dla nas przyniosłaś? Jestem głodna jak wilk.

ROZDZIAŁ XIX

And when you smile the world is brighter

Elvis Presley, *The Wonder Of You*

– Nie wiesz, czemu ciocia nie odbiera? – Paweł włożył głowę przez na wpół otwarte drzwi gabinetu Joanny. – O, dostałaś paczkę! Coś ciekawego?

– Dużo pytań jak na ósmą trzydzieści siedem rano – wymamrotała Joanna, przyglądając się przesyłce, którą kurier właśnie dostarczył do rąk własnych. Uśmiechał się przy tym wyjątkowo lubieżnie i nawet pozwolił sobie na powolne oblizanie warg. Swoich oczywiście. Coś podobnego! Tak obleśnego widoku z samego rana Joanna się nie spodziewała. Teraz, stojąc z pochyloną głową nad pakunkiem, zastanawiała się, jak ma rozszyfrować nazwę firmy nadawcy: „Pink Love”. – Jaka ciotka? – spytała, rozglądając się za nożyczkami.

Wolała, żeby nie odpowiadał. Wiedziała, co za moment usłyszy. Wczorajsza wizyta w mieszkaniu Genowefy nie przyniosła żadnej odpowiedzi. Staruszki tam nie było, jej telefon milczał. Jednym słowem: „dupa”.

– No ciocia. – Paweł wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. – Pomóc otworzyć? – Wskazał na kartonik.

– No ciocia Maria czy no ciocia Gienia? – mruknęła, nie podnosząc wzroku.

– W zasadzie to obie. – Paweł przechylił głowę, by lepiej widzieć dane nadawcy, ale Joanna odwróciła szybko paczkę do góry dnem.

– Czy ja wyglądam na informację turystyczną? – spytała, szarpiąc się z kartonem.

– Nie, ale na dyrektorkę domu starców też nie wyglądasz – palnął Paweł z uśmiechem na twarzy, przekonany o swojej elokwencji. Zupełnie nie zwrócił uwagi na spojrzenie Joanny, które wyraźnie sugerowało, że coś poszło nie tak. Zamiast tego zabrał z rąk kobiety pakunek, zręcznym ruchem go otworzył i wydobył na światło dzienne interesujące pudełeczko. – Hmmm, ciekawe, serduszka. Może to jakaś walentynka? A dla kogo? Dla ciebie? Wiesz od kogo?

– Nie za wiele tych pytań? – Joanna nie rozumiała dwóch rzeczy. Pierwszej: skąd u Pawła taki dobry humor. Drugiej: od kogo i po co dostała to coś? Spojrzała na opakowanie. Adres się zgadzał, ale nazwiska adresata nie było.

Naraz zdała sobie sprawę z tego, co może zawierać przesyłka. Poczowała, że policzki jej płoną i już wyciągnęła ręce do Pawła, by odebrać mu pudełeczko z serduszkami i zapaść się z nim pod ziemię, ale on już wyjmował jego zawartość i podnosił, by obejrzeć ze wszystkich stron. Wyrwała mu ją z rąk.

– No! Asiu! To jest... – zamilkł. – To jest...

– Wibrator – oznajmiła z udawanym spokojem. Tak na dobrą sprawę nie czuła ani krzty! Tego spokoju, rzecz jasna. Za to wzburzone morze zdenerwowania i tona jakiegoś niepojętego strachu obejmowały całe jej ciało. Zupełnie jakby nie widziała nigdy na oczy takiego przyrządu. Chwila, w zasadzie nie ma co

się dziwić. Nie widziała przecież ani tym bardziej nie trzymała go w dłoni. W ogóle jakoś tak się złożyło, że przedmioty o podobnych kształtach trzymała w swoich dłoniach niezbyt często. Miała wobec tego prawo zarówno czuć niepokój, jak i pozwolić zażenowaniu wtargnąć do samego środka. Odczuwała je w okolicy pępka. A potem lekko zamrowiło ją w podbrzuszu. Odruchowo rzuciła wibrator do pudełka i szybko wytarła ręce o materiał koszulki, którą miała na sobie, choć chętnie by się jej pozbyła. Tu i teraz, rozsuwając uda na własnym biurku.

Mrowienie narastało. Paweł wciąż tu był, choć może jej się tylko tak zdawało. Zbyt daleko. Zbyt nienachalnie. Zbyt obco, a przecież wreszcie mógłby być już blisko, coraz bliżej. Joanna zamknęła oczy, potarła je dłońmi. A potem powiedziała:

– Nie zabieraj teraz głosu.

Paweł nie polemizował. Podeszedł bliżej, sięgnął ponownie po „to coś” i najpierw uniósł przedmiot, potem brwi, a potem otworzył usta, ale naraz sobie uświadomił, że miał się nie odzywać, więc udając ziewanie, odłożył przedmiot na biurko. Chwycił pudełeczko i rozsiadł się wygodnie na fotelu, zatapiając się w lekturze chińskich znaczków na opakowaniu w serduszka.

– Nic z tego nie rozumiem – oznajmiła wreszcie Joanna.

– No, ja też. Nie mogli dać po polsku? – przytaknął Paweł.

– Szukasz instrukcji obsługi?

– A nie chcesz? – Paweł postanowił wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za lawinę obelg pod własnym adresem. Obrócił pudełko i wtedy na jego kolana wypadła karteczka. – O, zobacz, znalazłem. Instrukcja obsługi po polsku: „Jestem tu, z zabawkami” – wyrecytował, a Joannie się wydało, że przeczytał to zdanie z zapartym tchem. – Widzisz? Piszą o jakichś innych zabawkach, ciekawe, całkiem ciekawe... – Paweł nie przestawał się uśmiechać. – „Porwał mnie jakiś zbir gadający po angielsku”. – Uniósł wzrok znad kartki i zagwizdał.

– Słuchaj, a może to taka opowieść na rozgrzewkę, coś w stylu pięćdziesiątej szóstej twarzy Greya? Żeby rozbudzić zmysły, no wiesz?

– Nie wiem, poza tym on nie miał aż tylu twarzy – warknęła Mała Mi, tracąc cierpliwość do paczki, Pawła i właściwego adresata tegoż gadżetu, którego miała dopiero zidentyfikować. Momentalnie podeszła bliżej, wyrwała karteczkę z rąk mężczyzny i zerknęła na nią przelotnie. Zmiała ją w kulkę i schowała do kieszeni.

W samą porę, pomyślała i przeraziła się jednocześnie, próbując nie dać nic po sobie poznać.

– No dobra, to gdzie jest ciocia Gienia? – wrócił do poprzedniego tematu Paweł, a nie widząc na twarzy Małej Mi żadnej reakcji, powtórzył pytanie: – Gienia? Gienia! – wykrzyknął.
– No ciocia!

– Czy ja wyglądam na twoją ciotkę?! – warknęła, drapiąc się po głowie. Świat zwariował. Jej na pewno. Co tu się właściwie działo ostatnio? Nie rozumiała, a nawet czuła lekkie znużenie brakiem tak znajomej pospolitej nudy. Nie tak dawno zdarzyło jej się na nią narzekać. Nie to, żeby tak otwarcie, na głos. Ale skrycie, odrobinę, tak ciut, ty-ci-tyci, owszem.

Jedyną reakcją na dochodzenie Pawła mogło być milczenie. Teraz najwłaściwsze, co mogła zrobić, to czym prędzej spotkać się z Marią, nawet jeśli to spotkanie miałoby się odbyć na zimnym, zardzewiałym placu zabaw.

Joanna włożyła płaszczyk, wrzuciła wibrator do torebki i bez słowa podeszła do drzwi.

– Dokąd idziesz? – spytał zdenerwowany Paweł.

– Wypróbować. – Joanna skinęła głową na pudełko z serduszkami i spróbowała się uśmiechnąć.

– No Asiu... A ciocia? – Głos Pawła zadrżał jak małemu dziecku na chwilę przed utratą nadziei na otrzymanie ciastka,

na którego widok ślinka nie pozwala się trzymać w ryzach.

– A tym się nie martw, mówię ci. No już, chodź, chodź, bo się spieszę.



Gdy Joanna znalazła się za drzwiami „Patrycji”, od razu zadzwoniła do Marysi.

– Halo – odezwała się ta, lekko zaspana.

– Es o es! – krzyknęła Joanna, zwracając na siebie uwagę mijających ją przechodniów.

– To tak nie działa, moja droga. – Staruszka najwyraźniej miała nastrój pouczająco-moralizatorski. – Musiałabyś napisać esemesa, a poza tym... – W tym momencie urwała. Chciała powiedzieć, że Małej Mi nie dotyczą tajne hasła i rytuały, które wiązały Gienię, Marię i Alicję, ale w porę odnotowała, że Alicji już nie ma, i to właśnie z Joanną widziała się wczoraj na potajemnej schadzce w sprawie iście problematycznej i kłopotliwej. – Gdzie? – spytała tylko.

– Gdziekolwiek. – Ton głosu Małej Mi kazał Marysi szybko skierować się do przedpokoju, wdziać żółty płaszcz i opuścić mieszkanie z telefonem w ręku.

– Dobra, będę tam! – oznajmiła i się rozłączyła.

Musiała przecież poszukać torebki, sprawdzić, czy ma w niej okulary, zamknąć drzwi na klucz i zejść po schodach; gadanie przez telefon w tym samym czasie nie wchodziło w grę.

– Gdziekolwiek – wymamrotała, wychodząc z klatki schodowej na szaro-burą aleję i rozglądając się dookoła. – Czyli tam – mruknęła do siebie samej i skierowała się na lewo. Po dwóch krokach stanęła i poszła w prawo. Po trzech takich próbach lawirowania w tę i we w tę przystanęła i wyciągnęła komórkę.

– Już tu jestem, nie musisz do mnie dzwonić.

Joanna stała tuż obok i próbowała złapać oddech.

– No wreszcie! – odezwała się Maria, jakby właśnie pokonała kawał drogi, a potem trwała w oczekiwaniu na Małą Mi nieskończenie długo.

– Do domu, natychmiast – zakomenderowała dyrektorka ośrodka, jakby Marysia była jej niegrzeczną córeczką, i wskazała nawet na drzwi. Staruszka miała już wspominać o tym, że palcem się nie pokazuje, ale zrezygnowała i powędrowała posłusznie na klatkę schodową kamienicy, nawet głowę pochyliła jak zbity pies. Joanna pomaszerowała za nią, chcąc czym prędzej podzielić się z Marysią tym, co chowała w torbie.

Gdy obie usiadły w kuchni przy oknie, Marysia spytała:

– No i?

– Dostałam przesyłkę, ale jestem pewna, że to ty jesteś jej adresatem – zaczęła Joanna i sięgnęła do torebki. Po chwili wielki różowy penis sterczał w jej dłoni niczym dorodny bukiet róż.

– Widzę, że nawet ją rozpakowałaś. A skąd przypuszczenie, że to... dla mnie? – Maria uniosła brwi i wyciągnęła dłoń w kierunku specyficznego prezentu, nie potrafiąc się zdecydować, czy powinna go w ogóle dotykać. – Wygląda całkiem... – Urwała, szukając właściwych słów. – Pokażnie. Taki dorodny, nie sądzisz? – przechyliła głowę w lewo, potem w prawo, a wreszcie spojrzała na Małą Mi. – Co ty bredzisz, kobieto?

– Czytaj! – Joanna czym prędzej podetknęła Marii pod nos karteczkę z wiadomością. Staruszka zatopiła się w lekturze; tak tę czynność można było nazwać. I zatopiła się na dobre, niczym Titanic, bezpowrotnie. – Hej! Hej! – Joanna chwyciła ją za ramię i nią potrząsnęła.

– Nie dotykaj mnie tym... fiutkiem! – oburzyła się Maria, wracając do rzeczywistości. – A w ogóle to jaki to ma związek z tym wynalazkiem?

– Gienia! Podpis na kartce! Gienia! Wysłała wiadomość, tak? – Joanna próbowała naprowadzić Marysię na właściwe tory, pokazując paluchem na imię staruszki, które widniało jako podpis tej dziwnej wiadomości dołączonej do gadżetu.

– No, na to wygląda – przyznała starsza kobieta, blednąc.

– Wysłała ją w pudełku z tym właśnie dziełem sztuki. – Sztuczny penis różowego koloru triumfalnie powędrował w górę.

– To do niej niepodobne, po prostu nie wierzę... – Maria przełknęła ślinę, jakby nabrała ochoty na jedzenie.

– Skup się, Mryśka! Albo walnij napaśtek, bo zaczynasz mi przypominać Gieńkę z jej talentem do niekumania pewnych spraw.

– Też odnosisz takie wrażenie? No cóż, ja zawsze podejrzewałam, że coś tam u niej nie do końca halo... – Palec wskazujący Marii powędrował ku skroni i obrócił się kilka razy w tę i we w tę.

– Mryśka! Jak karteczka Gieni znalazła się w pudełku z wibratorem? – Joanna nie dawała za wygraną. Wiedziała, że trzeba działać, i to jak najprędzej, zwłaszcza że wyglądało na to, że mają jakiś trop.

– O, to dobre pytanie jest! Właśnie, właśnie... – Maria się zamyśliła, spojrzała ponownie na kartkę. – Zbir gadający po angielsku – wyrecytowała. – Ale po co im Gieńka? Przecież to ja dostałam spadek od Steffi!

Maria pokręciła z niedowierzaniem głową, a Joanna złapała się za głowę, swoją oczywiście, nie Marysi, choć zapewne powinna zrobić odwrotnie.

– Jeśli Gieni grozi niebezpieczeństwo i faktycznie porwał ją jakiś anglosaski zbir, to mamy adres!

– Amerykański. Ale do Stanów to ja nie lecę! – odparła Marysia.

– A to coś nowego! A Elvis? – Joanna prychnęła i z dezaprobatą pokręciła głową.

Przeszła do szafek i zaczęła je po kolei otwierać. Pobieźny przegląd nie przyniósł zadowalającego rezultatu.

– W salonie, w barku – oznajmiła Maria, rozsiadając się przy kuchennym stole. – Weź też ciasteczka – poleciła.

Czuła się bezradna. Nie mogła uwierzyć, że facet w koszuli w kratę mógł porwać Genowefę. Co Gieńka miała z tym wspólnego? Na bank nie kojarzyli, że się przyjaźnią. Nie widzieli ich przecież razem. Co tu się dzieje? I ten wibrator, o matko jedyna!

– Wy faktycznie pijecie z naparstków. – Joanna przytargała zawartość barku do kuchni i również rozsiadła się wygodnie. Gdy Marysia przełknęła zawartość swojego kieliszka, a potem po raz drugi wzniosła toast „za cebulę”, Joanna postanowiła kontynuować: – Gienia wrzuciła kartkę do wibratora. Kurier przyniósł mi go dziś do „Patrycji”. To znaczy, że Gienia nadała paczkę.

– No, też ma pomysły! – Marysia uśmiechała się od ucha do ucha, zupełnie nieadekwatnie do sytuacji.

– Ona musi być w jakimś miejscu, w którym są dostępne takie rzeczy.

– I pewnie nieźle się bawi, stara krowa! – Marysia wychyliła kolejny naparstek i zachichotała. Wolała nie wyobrażać sobie starej przyjaciółki w otoczeniu gadżetów erotycznych, ale siła wyobraźni przeważała. Maria skrzywiła się na moment, a potem zaczęła się głośno śmiać.

– Halo! – Joanna w tym czasie wyciągnęła komórkę i wybrała numer. Paweł odebrał od razu.

– I jak wrażenia? – zagaił.

– Rozkosznie. Idź i sprawdź nadawcę – rozkazała – na moim biurku!

– Nadawca siedzi na biurku? To może mu powiem, żeby nie psuł mebla? – Paweł brzmiał poważnie.

– Karton jest na biurku – wyjaśniła Joanna, tracąc cierpliwość do otoczenia i siebie samej również.

– A po co ci? – spytał Paweł, wiedziony ciekawością.

– Chcę domówić kulki – warknęła Mała Mi, błagając go w duchu, by przestał zadawać pytania i zaczął robić, co mu każe.

– Jakie kulki? I co z ciotką?

Kolejne pytania były złym znakiem, ale szuranie kapci Pawła o drewnianą podłogę „Patrycji” wskazywało na to, że lada moment będzie w jej gabinecie i poda adres nadawcy intrygującej przesyłki.

– Co? – Paweł nie dawał za wygraną.

– Z Gienią? A dobrze się bawi, zapewniam cię. Całkiem jak Maria. O, słyszysz? – Joanna podetknęła telefon pod brodę Marysi, którą zalała kolejna fala śmiechu.

– A jest z wami? – zagaił Paweł, po czym przeczytał: – Jana Pawła, reszta nieczytelna, ale Warszawa.

– Numer? – zażądała Joanna.

– Nieczytelna pieczętka – Paweł obracał kartonik. – Jest z wami ciocia Gienia? Wszystko w porządku? Halo?

Joanna się rozłączyła.

– Mryśka! Musimy iść!



Kleiły jej się oczy. Próbowwała spać, ale w pozycji siedzącej z rękoma złączonymi z tyłu nie bardzo jej się to udawało. Sama nie wiedziała, czy ma się smucić. Chciała, naprawdę. Nawet próbowała zaintonować marsz żałobny, ale szybko zaczęła się śmiać. Przybierające na sile przy każdym odgłosie podekscytowanie budziło w Gieni niepokój, którego nie wywoływała cała ta sytuacja. Coś tu było nie tak, i to właśnie ta tajemnica była na tyle intrygująca, że starsza kobieta nie dowierzała z jednej strony i nie mogła się doczekać rozwoju wydarzeń z drugiej. Tymczasem porywacze mało się nią interesowali i właśnie to działało jej na nerwy.

– Musieliście obmyślić plan? – spytała, gdy tylko mężczyzna i kobieta weszli ponownie do pomieszczenia. Naprawdę się starała. Być miła. I ukryć znudzenie, ponieważ rozumiała, że mogło zadziałać na porywaczy w nieprzyjemny sposób. Mogło wywołać ich oburzenie, a po co mieli się denerwować. No zblądzili, owszem, ale któż z nas od zawsze szedł właściwą drogą?

– Wypuścimy cię, gdy oddasz kasę, Mario – powiedziała blondynka i wysunęła do przodu stopę, jakby przymierzała się do strzału z łuku, rzutu młotem czy innej czynności sportowej.

– Moja droga, ja ci oddam całą swoją emeryturę, z miłą chęcią, ale obawiam się, że nie będziesz z takiego majątku zadowolona. Mam na imię Genowefa, a Maria to stara krowa, która nie potrafi nawet porządnie tłuc talerzy.

Opryszek w koszuli w kratę nic nie rozumiał, oprócz tego, że porwana zdecydowanie za dużo papla. Podeszedł bliżej, uniósł pięści na wysokość klatki piersiowej, a kości jego palców nieprzyjemnie chrupnęły.

– O, to ty uważaj, mój drogi, bo się nabawisz reumatyzmu jak ja; zobacz, jak mi palce powykrzywiało. – Gienia próbowała zwrócić jego uwagę na swoje dłonie, lecz tylko bezskutecznie pobrząkiwała łańcuszkami od puchatych kajdanek.

Zbir wydawał się zniecierpliwiony. Wyglądało nawet na to, że jest gotowy podejść do Gieni i skrócić jej kark, ale Blondyna powstrzymała go gestem dłoni, nie wypowiadając przy tym ani słowa.

– Krowa? – zapytała nagle.

– Tak, takie zwierzę, co w Stanach myślą, że jest fioletowego koloru. – Genowefa się roześmiała, choć ból reumatyczny nie dawał jej spokoju. Rozprzestrzeniał się coraz bardziej i przybierał na sile.

– Nie jesteś Marią? – Rozmówczynie wreszcie pojęła, w czym rzecz.

– A czy wyglądam jak stara krowa? – prychnęła Gienia.

Tornado. Tak staruszka mogłaby określić to, co nastąpiło sekundę później. Mimo iż nie rozumiała toczących się jak śnieżna kula słów, całe zdarzenie ponownie wprawiło ją w dobry humor. Musi o tym koniecznie opowiedzieć Marysi. Jak wielki łobuz w kratkę stał się malutki wobec tej damy z tipsami. Ależ go załatwiła! Kobiety góra! Genowefa uśmiechała się od ucha do ucha, choć wiele by dała za to, by móc wymasować sobie nadgarstki albo przynajmniej ponownie ochlapać je jakimś zimnym, żelowym mazidłem do wiadomych celów.

– Uhu! – zawiwatowała. – Waleczna jesteś jak Merida, tylko kolor włosów się nie zgadza, ale to przecież nie o to chodzi. Nieźle go załatwiłaś, że aż sobie poszedł. Szkoda w sumie, taki to był pocieszny widok. Słuchaj, rozkuj mnie, bo mi nadgarstki wysiadają i mogę ci więcej nic nie powiedzieć, bo zemdleję czy coś, a chyba zależy ci na zwabieniu Marii; mogłabym się przydać. – Tym razem to Genowefie buzia się nie zamykała. A cała improwizacja najwyraźniej spodobała się Blondynie, ponieważ długo się nie namyślając, spełniła prośbę porwanej.

Gdy Gienia rozmasowywała koślawymi palcami nadgarstki, Amerykanka spojrzała na nią z rezerwą. Wyjęła z kieszeni telefon staruszki i przeszukała listę kontaktów. Przy nazwisku

Marii wcisnęła ikonkę z zieloną słuchawką.

– Gieńka, Jezus Maria, czyś ty oszalała! Gdzie ty się włóczysz i nie dajesz znaku życia? – Maria brzmiała dość interesująco i miała czkawkę.

– Jeśli nie oddasz kasy, to twoja przyjaciółka straci życie. Przedwcześnie, nie sądzisz? Za godzinę zadzwonię i ustalimy miejsce przekazania pieniędzy.

Blondyna się rozłączyła.

– Mówiłam, że jest starą krową! Mnie porwano, a ta się zabawia na całego. – Genowefa pokręciła teatralnie głową z niedowierzaniem.

Co prawda głos, który słyszała przez włączony głośnomówiący, był niebywale radosny, wręcz wskazywał na odpowiednie wstawiennictwo u jej królewskiej mości Cebuli, ale staruszka uznała, że jej naturalne zdumienie w tych okolicznościach nie wystarczy. Mogłam iść do filmówki – pomyślała po raz kolejny w swoim długim, lecz mało ekscytującym życiu i westchnęła, ponieważ wreszcie nadszedł ten moment, o którym wszyscy mówią: gdy przed śmiercią żałuje się nie tego, co się zrobiło, lecz tego, na co zabrakło w życiu odwagi.

– O nie! – jęknęła. – Ja umieram!

– Nie teraz, jeszcze jesteś nam potrzebna. Umrzesz jutro, okej?
– Blondyna brzmiała rzeczowo i stanowczo. Po tych słowach Gienia poczuła się znów całkowicie żywa i potrzebna.

Tak, to jeszcze nie ta chwila, nie ta – pomyślała i po raz kolejny pożałowała, że nie spróbowała nawet zbliżyć się do aktorstwa.



Nie miał dziś serca. Ani do żółtego szyfonu, ani nawet do

chabrowego jedwabiu, w którym Jadwiga wyglądała o co najmniej dwadzieścia lat młodziej. Miała frywolne uczesanie autorstwa Ulki, niezmiennie podziwiającej jej starczą czuprynę. Ale nawet radosny fioletowy sztruks, który przytargały dziewczynki, nie wywołał uśmiechu na twarzy Pawła. Czuł się za to nieswojo. I porzucony – przez wypracowany latami komfort, który odkąd wylądował na Okęciu, nie chciał się ani pojawić, ani tym bardziej zadomowić, by wytworzyć odpowiednią strefę, z której nie chciałoby się później wyściubiać nosa. Czy w takich chwilach można mówić o traceniu gruntu pod nogami? Czuł, że tylko to potrafi i tylko do tego jest stworzony. Do tracenia.

Genowefa nie odbierała albo miała wyłączony telefon. Maria zachowywała się nieco inaczej, choć z nią też bezpośredniego kontaktu nie było. Joanna za to... cóż mógł powiedzieć?! Nie powinien się niczemu dziwić. Gadżety jak gadżety, normalna rzecz. Można by było z pewnością urozmaicić sobie dzięki nim pożycie. To by było nawet ciekawe, pod jednym warunkiem: owo pożycie musiałyby zaistnieć. A na razie albo się czaili, albo umykali sobie nawzajem, co doprowadzało Pawła do szaleństwa, Nastazję z Ulką do chichotów, u patrycjuszki zaś wywoływało niedowierzanie.

Strata wpisywała się w jego życiorys.

– Nie myśl o tym wszystkim – usłyszał, gdy schylał się nad połą chabrowego jedwabiu, ze szpilką trzymaną w zaciśniętych ustach.

– Oym? – mruknął, spoglądając w górę. Momentalnie się rozejrzał. Gdyby właśnie przechodzili obok świetlicy Historyk i Muzyk, ich reakcja mogłaby być zbyt gwałtowna i burzliwa. Wyglądało bowiem tak, jakby Paweł zaglądał Jadwidze pod sukienkę.

– No jak to: o czym? – Jadwiga, jak widać, rozumiała go bez słów. – O tym wszystkim, co cię gnębi.

Paweł wyjął szpilkę z ust, wpiął ją w lejący się materiał, odszedł dwa kroki w tył i przyjrzał się spódnicy.

– To jest twoja długość – powiedział i spojrzał w piękne, mądre starcze oczy.

– Nie tym się martwisz, widzę przecież. – Jadwiga obróciła się przed lustrem. – Będę na pokazie prawdziwą boginią. Dzięki tobie – szepnęła Pawłowi na ucho. – I niech się te nasze chłopcy z zazdrości skichają.

– Ja już sam nie wiem, czym się martwię, czym powinienem się martwić, a co wyrzucić z głowy – zaśmiał się Paweł, lecz ten śmiech nie brzmiał optymistycznie.

– Wszystko! – westchnęła Jadwiga, obracając się kolejny raz tak, by spódnica uniosła się lekko nad linią kolan, tworząc fale. – Z głowy to akurat warto wszystko wyrzucić. I wtedy poczujesz to, co trzeba.

– Brzmi to całkiem miło.

– Miło się to wszystko wprowadza w życie. Uwierz mi. Wiem, co mówię.

– Nie wątpię, ale wciąż nie bardzo umiem. – Paweł się zawahał.

– Nie umiesz odpuścić i zdać się na los? – Jadwiga pokiwała głową ze zrozumieniem, a jej kolczyki wydały delikatny metaliczny brzęk.

– Chyba tak. Wydaje mi się, że wciąż coś tracę – wyznał Paweł. Sprzątał nerwowo ścinki materiału, wbijał porzrzucone igły w poduszeczkę w kształcie żabki, segregował nożyczki, krede krawiecką, wrzucał to wszystko do drewnianego kuferka.

Zagłuszyć emocje czynnościami. Byle jakimi. Potrzebnymi bądź nie. Tak się nauczył już wtedy, gdy musiał odejść ten nikomu niepotrzebny pies. Długo nie wiedział, że ich wspólny, jego i babci Alicji, pies przybłąda, pokochany ogromem miłości, która docelowo powinna być skierowana przez nich do siebie

nawzajem, nosił imię króla rocka. I miało to sens, ponieważ w pamięci malutkiego Pawełka, a potem dojrzałego Pawła, ten szczekający Elvis z kulawą nogą był wiecznie żywy, zupełnie jak charyzmatyczny wykonawca podbijający serca milionów. Pies obdarzony miłością wnuczka i babki zatopił się w wiecznym śnie, kończąc tym samym odnalezioną, lecz nierozgorzałą na dobre więź między obojgiem. Wtedy Paweł zaczął liczyć straty. Bilans nigdy nie chciał dawać innych rezultatów. Wszystko sprowadzało się do stanu ujemnego.

Wyciągnął z kieszeni komórkę. Wybrał numer. Najpierw jeden, potem drugi. Żaden nie odpowiadał. I jak tu odrzucić to, co podpowiada umysł? Jak zaufać przeznaczeniu? Czyż to nie ono właśnie ciągle stosuje wyliczankę, w której zawsze pada na Pawła? Nie, nie przyzwyczyił się do strat... Dlatego wciąż się obawiał. Pocierał ze zdenerwowaniem lekki zarost, na jaki sobie pozwolił, odkąd zamieszkał w tym miejscu. A teraz uśmiechnął się na wspomnienie urzędniczki, gdy spytała go o adres zamieszkania. „Dom Spokojnej Starości Patrycja” – odparł i długo nie mógł zrozumieć ani jej wzroku, ani kilkukrotnego upewniania się, czy podał prawidłową datę urodzenia.

Paweł nie chciał już tracić. Ani bliskich, ani dalekich, ani nawet na wadze. Wybrał numer Joanny i gdy tylko się odezwała pod drugiej stronie, powiedział:

– Bardzo cię proszę, uważaj na siebie. A poza tym chciałbym wreszcie z tobą porozmawiać. Nie przez telefon, bo to poważna sprawa, choć może wcale nie, ale przez telefon nie wypada. Wszystko dobrze, nie martw się, tylko uważaj i szybko się spotkajmy.



Te słowa były ważne i wyczekiwane, ale nie teraz, do cholery!
Tak, nawet ta „cholera” się przypałała, zupełnie niepasująca

do nastroju, który mógłby ovladnac Joanne i nawet powinien, ale nie, pozostal w cieniu. Jak zwykle zreszta. Cien byl dobry. Przewidywalny. Swoj. Wiele by dala, aby sie teraz w nim schowac, nasunac go jak kołdrec po sam czubek nosa, jednak w zupełnie innej sprawie. W tej dotyczacej innego telefonu, z ktorego plynely zupełnie inne slowa.

– Okup? – Joanna powtorzyła to slowo po raz osmy; nawet nie musiała liczyć, by to wiedziec, poniewaz Maria patrzyła na nią w niestrudzonym milczeniu i zaginala kolejno palce przy kazdym.

– Moze starczy? – spytala wreszcie i opuscila rece.

– Szybko, oddzwon, ze dajemy kase i Gienke ratujemy! – To bylo najprostsze rozwiazanie.

– Nie mogle, musze – Maria chwycila ciastko i wladowala je cale do ust. Robila tak zawsze, gdy znajdowala sie w klopotliwej sytuacji. Choc umiala sobie z tym radzic, dzis postanowila nawet nie probowac – gacnawloke – oznajmila, intensywnie ruszajac szczeka.

– Co? Musisz byc wywloka? – spytala Joanna i tez chciala siegnac po ciastko, ale zrezygnowala.

– Grac na zwloke. – Mina Marii demonstrowala wyraźne oburzenie.

– Nic z tego nie rozumiem. – Mala Mi potarla skronie. Wiedziala, ze teraz nie pomoze jej nawet Ketonal, ktorego zreszta nie miala, poniewaz postanowila przestac sie truc, prowadzic zdrowszy tryb zycia, wiecej sie ruszac i mniej zadawac sobie pytan egzystencjalnych. Jednak z tych postanowien dzis uda sie wcielić w zycie wyłacznie to pierwsze, ale tylko dlatego, ze przezornie wyjela z torebki recepte od internisty, ktory bardzo chcialby pomoc, ale „Wie pani, kto cierpi na migreny? Nie wie pani? No przeciez wyłacznie księżniczki”. Och, jak bardzo chciala mu przylozyc, najlepiej z torebki, tej swojej księżniczkowej, zaladowanej po brzegi

rzeczami najbardziej niezbędnymi w każdej sytuacji; a miała tam portfel, telefon, sandały – pomimo jesiennej, prawie zimowej pluchy – okulary przeciwsłoneczne, notes, trzynaście długopisów, żeby się nie okazało, że któryś wypisany i nie ma go czym zastąpić, trzy śrubki, młotek, okularki do pływania po ostatniej wizycie na basenie w zeszłym roku, na który wybrała się zupełnie przypadkowo, nasiona rzeżuchy, które kupiła przed Wielkanocą dwa lata temu. Do niedawna nosiła tam jeszcze żarówkę energooszczędną, ale się stłukła i wreszcie powędrowała do śmietnika.

– Czego tu nie rozumieć. Czas działać, ale ostrożnie. – Maria bała się wypowiedzieć to, o czym myślała.

– To nie są żarty, Mryśka – oznajmiła Mała Mi, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, że staruszka doskonale o tym wie.
– Musimy iść na policję.

– Nie sądzę, że to dobry pomysł.

– Dlaczego? Najprostszy możliwy. Zwłaszcza że trzeba ich powiadomić o Bogusiu, niech go szukają, przesłuchują, może maczał w tym palce.

– Niestety, chciałabym, żeby to on za to odpowiadał. Można by było go łatwo znaleźć i uwolnić Gienię, a tak...

– A tak mamy wibrator i numer telefonu – powiedziała Joanna.

– Do Gieni? Czy ty słyszysz, jak to się przedstawia?

Słyszała. I to doskonale. Wyobraziła sobie siebie na komendzie z wielkim różowym penisem w dłoni. Musiały radzić sobie same.

– A może na hulajnodze są odciski palców porywaczy? – Joanna próbowała złapać jakiś trop, ale na razie skutecznie złapała ciastko i najszybciej, jak potrafiła, włożyła je do ust, by nie pozwolić głowie na wydawanie sprzecznych komunikatów, tych o zdrowym trybie życia i temu podobnych.

– Zmytych przez deszcz i startych przeze mnie, gdy wycierałam ten wehikuł, by doprowadzić go do porządku i schować w wózkowni w Gieńki bloku?

Sytuacja wydawała się dość poważna. Mi pożarła ciastko, a potem sięgnęła po kolejne. Niech będzie, że bezwiednie. Ocknęła się z zamyślenia dopiero, gdy całe opakowanie zostało spalaszowane, a Maria popatrzyła na nią wzrokiem pełnym nienawiści.

– No, Asiu! Zeżarłaś wszystkie języki!

– To przez ciebie! – odparła Mi. – Nie powstrzymałaś mnie, choć mogłaś! Dlaczego mi to zrobiłaś? Teraz będę gruba!

– Co my robimy? – zachnęła się Marysia.

– Nie wiem. Chyba zaczyna nam odbijać z bezradności.

– Dlaczego nie działamy?

– Bo się boimy? – W odpowiedzi również padło pytanie, na które należałoby odpowiedzieć.

– Od kiedy to my się czegoś boimy? – To już była powódź. Pytań niewygodnych i frustrujących zarazem.

– Od kiedy pojawił się Paweł – padła jedyna odpowiedź, która zaskoczyła i starszą, i młodszą. Spojrzały po sobie, zerknęły na dzwoniące bez ustanku, lecz skutecznie ignorowane telefony komórkowe, podniosły się z miejsc, ubrały w milczeniu, szczelnie opatulając się grubymi warstwami płaszczy, naciągnęły czapki na uszy, zawinęły się szalikami i nadal nie roniąc słowa, wyszły z domu.



– Ile tego tu się namnożyło! – Stwierdzenie padło z ust Marii, która jak dotąd nawet nie wchodziła do środka, czekając na zewnątrz. Plucha jej najwyraźniej zupełnie nie przeszkadzała.

Ani wiatr, ani nawet auta, usilnie próbujące ją ochlapać. Mała Mi potrafiła chodzić w taki sposób, by się nie narażać na żadne mokre niespodzianki. Może to jej małe wzrost temu sprzyjał, a może wrodzona umiejętność lawirowania. Maria nawet chciała poobserwować, jak to się właściwie dzieje, ale na chęciach się skończyło, musiała bowiem sama uważać na samochody i rozbryzgującą się dookoła niej burą wodę z kałuż.

– Jesteś podekscytowana? – spytała Mała Mi, trafiając w sedno, ale nie wierząc, że to prawda. Była pewna, że zgorszona starsza pani, elegancko ubrana, raczej się brzydzi takowych instytucji.

– Przecież to jest super!

– Bo? – Joanna nie wiedziała, czego w odpowiedzi ma się spodziewać. Nawet ją ta opinia Marii zaciekała.

– Bo świat musi być piękny!

– Chyba odbiegasz od tematu.

– Wcale nie. Zobacz, ile szarości dookoła. A tu, w samym centrum stolicy, tyle radosnych sklepów z zabawkami.

– Z gadżetami erotycznymi.

– No, mówię przecież!

Maria gestykulowała. Żywo.

– Zimno ci? – spytała Joanna, wciąż nie wychodząc ze zdumienia.

– Nie, cieszę się po prostu.

– Naprawdę masz ku temu powody? – Mała Mi traciła grunt pod nogami. Jeszcze jedno słowo staruszki, a będzie musiała zrezygnować z poszukiwań Genowefy i zaprowadzić swoją towarzyszkę do psychiatry. Niemożliwe, by wódka pita z naparstków wciąż dawała o sobie znać.

– Kilka. Dobra, młoda, tak to my się bawić nie będziemy. – Maria opatulila się szelniej szalem, wyciągnęła telefon

z kieszeni i wybrała numer.

– Do kogo dzwonicz? – Joanna zamrugła nerwowo i przyłożyła dłonie do ust. Z przerażenia. Odpowiedzi na to pytanie nie potrzebowała.

– No to słuchajcie. Kasę mam, przywiozę za godzinę lub dwie, w zależności od korków, do... – Nie chciała się zastanawiać ani chwili, by nie stracić rezonu, rzuciła więc pierwsze, co przyszło jej do głowy: – Świątyni Opatrzności Bożej. I nie będę tam długo czekać, więc zachowajcie się profesjonalnie.

Gdy się rozłączyła, zerknęła na Joannę i uchwyciła jej pytające spojrzenie.

– Odwal się, nie wiem czemu akurat tam, pewnie Alicja mi podpowiedziała. Ona miewała takie pomysły, przecież wiesz. – Wskazała na komórkę towarzyszki. – Ile tu tego jest na tej ulicy? Za kwadrans zaczniemy sprawdzać jeszcze raz. Teoretycznie porywacze powinni wyruszyć po okup, a my w tym czasie znajdziemy ten sex shop, który będzie zamknięty. To będzie ten. Jakoś się tam włamiemy i ukradniemy Gieńkę.

– Mryśka! – Joanna zdobyła się wyłącznie na ten krótki, lecz przepełniony emocjami okrzyk.

– Do roboty, moja droga, do roboty – odrzekła Maria i powędrowała, wymachując rękoma, w drogę powrotną wzdłuż ulicy, tym razem trzymając się blisko budynków. Wymachy były przydatne. Z założenia miały rozgrzać, w praktyce jednak pomogły przebić się przez tłum przechodniów.

Joanna cicho dreptała za nią.



– Nic z tego nie rozumiem. Kolejny otwarty... – Marysia czuła znużenie.

– Chodź, wejdziemy do środka, ogrzejemy się trochę, pooglądasz sobie te swoje zabawki, co tak cię ekscytują. – Mała Mi weszła po schodkach i otworzyła drzwi do świata rozrywki dla dorosłych.

– A ciebie nie? Nie wierzę – prychnęła Maria i powędrowała za Joanną.

– Czym mogę służyć?

Sprzedawca miał głowę, ale nie miał szyi. Głowa ta była wielka, łysa i przechodziła w barki, równie wielkie i równie łyse, ogołoczone z rękawów, pomimo pory roku. Najwyraźniej panowała tu gorąca atmosfera, jak na takie miejsce przystało.

Joanna już miała się odezwać, ale człowiek bez szyi zerknął ponownie w kierunku drzwi i rozplywając się w uśmiechu, rzekł:

– Miła pani, ortopeda i gastrolog przyjmują kamienicę dalej.

Maria zerknęła do tyłu. Koleś mówił do niej. Joanna zaczęła się śmiać, a staruszka wyciągnęła szminkę, przejechała nią po spierzchniętych ustach, omijając z pamięci siateczkę zmarszczek w kącikach, i podeszła bliżej kontuaru.

– Ja, proszę pana, chciałabym kulki gejszy. – Nonszalancja, na którą sobie pozwoliła, sprawiła, że sprzedawca aż przysiadł. Przez dłuższy czas tylko mrugał i gdyby bicepsy na to pozwoliły, z pewnością przetarłby oczy ze zdumienia. – I masażer, ale jakiś taki ekscytujący, wie pan? – Maria zawiesiła głos. – Nie wie pan, a szkoda.

Rozejrzała się po gablotach. Niewiele rozumiała, ale to nie miało znaczenia. Bardziej niż zawartość witryn interesowało ją coś, co mogłoby je naprowadzić na trop jej przyjaciółki. Jak ona mogła do tego dopuścić? Wyrzuty sumienia wreszcie przedarły się przez spożyte wcześniej procenty, które choć w małych ilościach, to jednak skutecznie zablokowały poczucie winy. O, jak jej było dobrze po tej wódce! Czy w tym momencie powinna

się przestraszyć własnych myśli? Pewnie tak, ale postanowiła się nad tym zanadto nie rozwodzić.

Drzwi z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” wzbudziły jej zainteresowanie. Łypnęła na Małą Mi, która najwyraźniej już wcześniej je zlokalizowała i paplała jak najęta z osiłkiem bez szyi, a nawet z nim... flirtowała! Co za zachowanie! Z obcym facetem. Maria czuła się poruszona i wzburzona jednocześnie. Gdyby Pawełek to widział!

To co wtedy? – takie spojrzenie posłała Joanna Marysi, zerkając na nią z częstotliwością zdecydowanie wykraczającą poza normę. Maria nadal stała jak słup soli, gapiąc się to na zagadkowe drzwi na zaplecze, o ile zaplecza w takich miejscach mogą być zagadkowe, to na Małą Mi, która właśnie mierzyła maskę i pozwalała człowiekowi bez szyi opleść ją niezdarnie bicepsami, by zawiązać na kokardkę z tyłu tę nawet ładną część damskiej garderoby.

– Patrz, wzięłabym do niej taki oto pas – oznajmiła Mała Mi, odwracając się do Marii z pasem do pończoch i podchodząc bliżej, coraz bliżej, zdecydowanie za blisko, w dodatku kręcąc biodrami.

O matko, Mała Mi ma biodra! – przeszło przez myśl Marysi, która sztywniała na całym ciele z każdym oddechem Joanny, który opadał niczym delikatny płatek śniegu na rzęsy, delikatnie łaskocząc i topiąc się, znikając momentalnie. Pozostawił po sobie ulotne złudzenie rzeczywistości.

– Drzwi – szepnęła Joanna, oplotła dłonie z pasem do pończoch wokół szyi Marysi, by zaraz odtrącić ją, odwrócić się od niej i znów powabnie (jak jej się wydawało) skierować się w stronę uśmiechającego się od ucha do ucha sprzedawcy.

– Lubią się panie, co? – Wyszczrzył zęby.

– Ach, mój drogi, jak jej nie lubić? – wtrąciła wreszcie Maria i podeszła bliżej. – Kocico ty moja, przymierz koniecznie tamte buty; tylko one, maska i ty, pozbawiona fatalaszków, mrrrr

miau! – Maria wspięła się na wyżyny. Przynajmniej tak jej się zdawało. Na więcej nie mogła sobie pozwolić, nie teraz, nie z Joanną, nie w tym miejscu.

Teraz to młodsza z kobiet zaniemówiła, ale człowiek bez szyi już się odwracał i szukał odpowiedniego rozmiaru plastikowych bucików z otwartymi palcami i koturnami tak wysokimi, że spokojnie mogłyby służyć jako podest do nieba.

Maria tymczasem czmychnęła w inną stronę. Chwyła klamkę i zderzyła się z drzwiami nosem. Potarła go nerwowo, odwracając się do Joanny, której mina wskazywała na to, że jest jej nie tyle przykro z powodu kłopotów Marii, ile niekomfortowo z powodu stania na szczudłach, za jakie z pewnością uważała pantofelki z rzemieniami dookoła kostek, mające służyć jako niezły afrodyzjak dla... kogokolwiek. Mi czuła, że za chwilę nadejdzie jej kres, ponieważ straci grunt pod nogami, wywali się jak długa i będą ją zgarniać z sex shopu w czarnym worku zapiętym nad głową.

– Nie, buciki szpecą twoje miniaturowe nóżki. – Maria pospieszyła z odsieczą, choć mina człowieka bez szyi zdradzała zgoła odmienny punkt widzenia. Joanna wydała z siebie westchnienie ulgi i wpiła się paznokciami w stalowe mięśnie osiłka.

– Odwiązuj! – rozkazała. – Hrabinie się nie podoba! Pokażesz mi za to pejcz – wymamrotała, schylając się do jego ucha. Osilek zarżał, a Maria w tym czasie podeszła do kontuaru i zerknęła za ladę w poszukiwaniu kluczy na zaplecze. Lada była przeszklona, nawet z zewnątrz było widać, że niczego oprócz sztucznych penisów, kajdanek z puszką i bielizny erotycznej w środku nie było. Z boku jednak stała wąska szafka z dwiema szufladami. Maria przypadła do niej, wysunęła pierwszą, ale tylko się skrzywiła, ponieważ znalazła w niej stertę komiksów z Kaczorem Donaldem. Miała już zrezygnować z drugiej, czując się zdecydowanie bardzo nieswojo, ale jednak szarpnęła ją i wtedy czas się zatrzymał. Mimo iż żadnych kluczy

w niej nie było, wzrok Marysi przykuło co innego. Znajomy telefon. Taki sam, a nawet ten sam. Z malutkim szerszeniem – naklejką przyklejoną niedbale przez Gienię dawno temu do klapki na baterię.

Staruszka pobladła. Oblał ją zimny pot. Zatrzasnęła szufladkę z hukiem, ale osiłek zupełnie nie zwrócił na to uwagi, ponieważ Mała Mi zaniósła się kaszlem, by choć w jakiś sposób odwrócić jego uwagę od swojej towarzyszki.

– Co myślisz, żeby kupić zamiast bucików? – wymamrotała do jego ucha, które tak jak cała reszta jego ciała wyglądało na okraszone mięskami. – Czy ty pakujesz nawet uszy? – zdumiała się na serio. – Są takie, takie... sztywne! – wypaliła i tym razem to Maria zaczęła się krztusić. I bynajmniej nie musiała udawać.

Osiłek zarechotał. Marysia miała łzy w oczach. Ogarnęła ją bezradność, co na szczęście nie uszło uwadze Małej Mi, która jako tako jeszcze się trzymała w tych oparach absurdu. Maria strasznie zateęskniła za Gienią i za Alicją, do której nawet wystosowała odpowiednie modły. Krótkie, lecz treściwe, które brzmiały dokładnie tak: „Weźże coś zrób, kobieto!”. I wydawać by się mogło, że kobieta wzięła i coś zrobiła, ponieważ Joanna odtrąciła osiłka, który wciąż szamotał się z rzemieniami butów na poprawę potencji, stanęła przed nim w rozkroku i mrużąc oczy, powiedziała:

– Czy masz tu salę zabaw? – Skinęła głową na tajemnicze drzwi.

– Nie. – Sprzedawca się zarumienił, podniósł się i przeszedł za ladę. Usiadł i z rezygnacją oznajmił: – Tam jest tylko piwnica, niestety.

– Ooo!!! – Joanna wczuwała się w rolę coraz bardziej, co było dość dziwne. – Uwielbiam piwnice! Pokażesz mi?

– Tam jest tylko punkt wysyłkowy – wyjaśnił, rozkładając przepraszająco ręce, jakby w rzeczywistości bardzo zawiódł

oczekiwania klientki i teraz musiał się z tego tłumaczyć. – Nic tylko stempelki, kopertki, paczuszki.

– Jak ja lubię paczuszki i stempelki! – Mała Mi nie wychodziła z roli. Była przy tym na siebie bardzo zła. Za to, że doprowadziła do tej sytuacji. Gdyby tylko... Co prawda nie umiała sobie odpowiedzieć na pytanie: „Gdyby tylko co?”, ale i tak poczucie winy zalało ją po raz kolejny w tym wyjątkowym miejscu. Czuła, że się gubią, i nawet jeśli blada twarz Marii świadczyła o tym, że trafiły w dziesiątkę i właśnie tu, za tymi drzwiami, za które nieupoważnionym wstęp wzbroniony, znajdowała się Genowefa, to zupełnie nie tak powinno wyglądać dotarcie do niej i wyzwolenie jej.

– Ale ja nawet nie mam kluczy! – Sprzedawca bezradnie rozłożył ręce.

– A kto je ma? – ciągnęła nieporadnie Mała Mi, tymczasem Maria oblewała się purpurą.

– Otwórz te cholerne drzwi! – wtrąciła, pełna furii.

– O, widzę, że moja najdroższa jest już... gotowa... – Joanna plotła bzdury, lecz nie miało to teraz najmniejszego znaczenia. – Chodź, skarbie, już czas.

Chwyła Marię za delikatną, kruchą dłoń, która wciąż tkwiła w rękawiczce, i wyprowadziła ją z sex shopu, posyłając najszerszy z możliwych uśmiechów człowiekowi bez szyi.

– Co ty wyprawiasz? – spytała, gdy znalazły się na ulicy.

– Nie radzę sobie – wydukała staruszka.

– Zauważyłam – skwitowała Mała Mi, wciąż trzymając ją za rękę.

– Tam był jej telefon – wyszeptała Marysia konspiracyjnym tonem.

– Jesteś pewna? – Spojrzenie towarzyszki kazało Joannie nie czekać na żadne zapewnienia w tej kwestii. – Nie wzięli go ze

sobą? A jak chcieli się z nami kontaktować w sprawie kasy?

– Może zapomnieli? Zresztą przecież i tak już wcześniej do mnie wydzwaniali, więc numer mają. Jedno jest pewne: zaraz wrócą, bo nas tam nie ma.

Joanna spojrzała na zegarek.

– Korki są – odparła, kiwając z zadowoleniem głową. – Mamy jeszcze jakieś pół godziny.

– Co zrobisz w pół godziny?

– Nie wiem, może ten cały Boguś by nam pomógł? Masz do niego jakiś kontakt? – spytała Mi.

– Ja nie, ale wiem, gdzie leży telefon Gieni, na pewno ma tam jego numer.

– Czemu go nie wykradłaś? – syknęła Mała Mi, uświadamiając sobie, jak były blisko.

– Nie wiem, byłam zdumiona...

– Czym? Tym, że znalazłaś jej telefon? Przecież właśnie tego szukamy, jakiegoś śladu Gieni! – Joanna prychnęła na lewo i prawo swoim wściekłym niedowierzaniem.

– Nie – zaprzeczyła Maria. – Twoim zachowaniem. Wanda! – wrzasnęła nagle i wyciągnęła swoją komórkę.

Wybrała numer i podniosła palec wskazujący, by zawczasu uciszyć Joannę, która najwyraźniej już miała przygotowaną ciętą ripostę, z której jednak postanowiła nie skorzystać.

– Masz telefon do tego łysego Bogusia? – rzuciła do słuchawki. Odczekała chwilę, wywracając oczami, i skwitowała: – Joanna zrobi ci przelew, zaksięguje to jako wydatki reprezentacyjne. Boże, Wanda, dawaj ten numer, do cholery, a sama dzwoń do Stacha, niech szykuje armię zbawienia!

Gdy się rozłączyła, Mała Mi stała w pozycji wyczekującej, a jej uniesione brwi kazały Marii skomentować tę rozmowę w jakiś sensowny sposób. A że takowy nie istniał, staruszka poprosiła:

– Zaufaj mi, wiem, co robię.

– Tego się właśnie obawiam... – odpowiedziała Joanna i potarła zmarznięte dłonie.

ROZDZIAŁ XX

A little less conversation, a little more action please

Elvis Presley, *A Little Less Conversation*

Świetlica nie przypominała nudnej sali, w której zazwyczaj panowała sterylna cisza, przerywana raz na jakiś czas odgłosami wygranej w domino bądź zdradzającymi dolegliwości bólowe podopiecznych „Patrycji”. Tych drugich było zdecydowanie więcej. Nie tym razem jednak. Dziś szeleścił materiał, starsze panie wyciągały wysuszone pomadki i pokruszone cienie do powiek, które przynosiły im wnuki raz na sto lat, gdy wpadały tu z wizytą.

– Byłaś kiedyś taka piękna, babciu! – Takie komentarze stanowiły wyraz podziwu dla mówiącego, ale dla adresata niosły zupełnie inne przesłanie. Czas przeszły w tym miejscu nie był mile widziany, zaglądał mimo to zazwyczaj tuż po poranku, kiedy trudno było wstać z łóżka, a potem mówił z przekąsem „dobranoc”, nie pozostawiając pola do popisu czasowi przyszłemu, którego cieniutki głos rozpuszczał się w teraźniejszości.

Dziś jednak czas stanął w miejscu. Nie było potrzeby snucia leniwych lub – co gorsza – splądrowanych chorobą rozważań sentymentalnych. Dziś liczyło się działanie, akcja podejmowana przez wszystkich co do jednego; nawet zjawy stawiała się punktualnie o ósmej rano, choć nie bardzo wiedziała po co. Próbowwała zasięgnąć języka w lustrze, którego nie sposób było wyeliminować z przygotowań, ale i ono nie dało jednoznacznej odpowiedzi. Spodobała jej się za to słoneczna spódnica do połowy łydki, która – z zachwytem – została zdjęta z jej pięknej siostry. Wbiła się w nią, pozwoliła udekorować bluzkę chabrowym szydełkowym kołnierzykiem i dodać takie same mankiety i paradowała bez ładu i składu między pozostałymi patrycjuszami, którzy gromadzili się przed lustrem, gdy Małgośka obierała kurs w stronę okna, a gdy wracała, zasłaniali lustro kotarą.

Wrzawa przynosiła ukojenie. Nie było czasu na zbędne myśli kołatające po głowie. Myśli jak stado ptaków, nieznośne w swej potędze i prostocie zarazem. Ogrom chmury z pazurami i dziobami, która mogła równie dobrze opatulić miękkością upierzenia, ale i zadziobać do krwawych ran. Ten dualizm powalał, a Paweł był nim zmęczony. Dziś zatapiał się we własnej pracy, otwierając się na nowe doświadczenia. Starość, której miał dookoła w nadmiarze, przestała przytłaczać. Mało tego, stanowiła swoiste lepiszcze, spoiwo łączące okruszki w całość. A owa całość jawiła się jako obraz dający się zrozumieć, podziwiać, kontemplować nawet. Wcześniej, otoczony samymi okruchami, bezdusznymi detalami, czuł się jak w muzeum sztuki współczesnej. Absurdalne aranżacje bezimiennych części wszechświata nie budziły w nim żadnego uczucia, jedynie wstręt. A tego Paweł czuć nie chciał. Odrazą podszyta lękiem przed nieznanym nie napawała optymizmem, toteż dziś Paweł rozkwitał, otoczony piękną, spokojną, prostą do bólu starością. A starość zdawała się pięknieć z każdym kolorem przykładanym do twarzy, każdym szelestem materiału, każdym powiewem płachty tkaniny, której dotykała wiekowa dłoń. To był niezwykle

akt, przypominający kradzież. Ukradkowe spojrzenie dookoła, poprzedzające dotknięcie materiału, przyłożenie go sobie do ciała, niepewne zerknięcie w lustro z wielką nadzieją na dostrzeżenie tego czegoś, o czym się zupełnie nie pamiętało, na co miało się nadzieję w snach, pomimo faktu, że marzenia senne już się nie zrealizują. Tęsknota za młodością, za odrobiną szaleństwa, za głupotą w głowie i mniejszym bagażem doświadczeń.

Paweł rzucał się w wir pracy, a po chwili zatrzymywał się na czas krótszy lub dłuższy, z lubością podpatrując modelki. Czując się jak intruz, nie mógł oderwać oczu od roześmianych, choć melancholijnych spojrzeń, które określiliby tylko tak: „zachody słońca”. Bał się nawet, że znikną i nadejdzie noc. I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jego obawy się ziściły, lecz za oknem nadal tliła się poświata jesiennego dnia. Tyle tylko, że zniknęły staruszki; Historyka z Muzykiem też gdzieś wcięło. Zjawa tylko powłóczyła nogami, wciąż powtarzając: „Poszli spać, poszli spać”.

– Jak to spać? – Paweł spojrział na zegarek. Dochodziła pora obiadowa.

– Poszli spać – wydukała zjawa, przemierzając chyba po raz tysięczny swoją dzisiejszą trasę.



– Naprawdę nie możesz niczego zrobić z tymi grzejnikami? – Genowefa traciła cierpliwość. Na domiar złego karta wcale jej nie szła, i to któryś raz z rzędu. Niezły był, swoją drogą! Nie to co Mryśka, która wiecznie dawała jej fory. Ten tu niby nie wyglądał na kumatego, a jednak nie tylko bicepsy trenował, mózg najwyraźniej również. To się chwali, pomyślała Genowefa, rozpinając sweter. Po chwili całkiem zrzuciła go na podłogę.

– Niezły T-shirt – odezwał się człowiek bez szyi, za to z wielkimi barkami, i uśmiechnął się szeroko. – *Keep calm and listen to Elvis* – wydukał pozostawiającą bardzo wiele do życzenia angielszczyzną i spytał: – Kim jest Elvis?

Genowefa spojrzała na osiłka z niedowierzaniem.

– Serio nie wiesz? Czy tylko tak się zgrywasz? Króla nie znać, jak tak można?

– Naszego? A, już kojarzę, to jeden z tych... – Tu osilek się zamyślił, ale naraz wbił wskazujący paluch w niebo... przynajmniej tak się Gieni zdawało, bo uniósł go bardzo wysoko... i oznajmił z całą stanowczością: – To ten Waza! Tak, znam. Panował. Kiedyś.

– Nieźle – odparła, próbując trzymać język za zębami. Pamiętała, że zarówno ona, jak i Maria kilka miesięcy temu pomyliły króla rock and rolla z psem.

– No, miałem na historii. On chyba na banknotach nawet jest, co nie?

Genowefa westchnęła. Jakim cudem on tak dobrze gra w tysiąca? – przemknęło jej przez myśl, ale postanowiła nie szukać odpowiedzi na to pytanie. Wyłożyła kolejną kartę, a potem powachlowała się resztą utrzymaną w dłoni.

– No, gorąco – zauważył wreszcie człowiek bez szyi i zdjął bluzę. Idąc za przykładem starszej pani, rzucił ją również na podłogę, a potem rozpiął obcisłą koszulę, odsłaniając wydepilowany tors.

– Długo tu jeszcze będziemy siedzieć? – spytała Gienia. – Nie żebym się nie bawiła wyśmieniem, zaraz jak cię orżnę, to całkiem mi się humor poprawi, ale generalnie jaki jest plan gry?

– Pojechali po okup – wymamrotał bezwiednie osilek, gapiąc się wzymane karty i raz po raz uginając palce jednej dłoni. Coś tam mamrotał i przymykał oczy.

– Aha. – Gienia odnotowała, że przeciwnik musi właśnie

liczyć, co wyglądało bardzo zabawnie, ale dla niej jako gracza zabawne wcale nie było, bo oznaczało to, że zaraz zgarnie wszystkie karty i nici z jej meldunku, z którego tak bardzo się cieszyła. Z drugiej strony był to stan, w którym mogła od człowieka bez szyi wyciągnąć więcej informacji.

– A my jesteśmy na ulicy... – zaczęła i zawiesiła głos.

– Na Jana Pawła – wymamrotał, tym razem jeżdżąc paluchem po trzymanyh kartonikach, jakby pokazywał sam sobie, że tak, oto trzyma w dłoni fantastyczne karty, które mogą tym rozdaniem zakończyć całą rozgrywkę. Uśmiechnął się i wreszcie wypalił: – Dwieście dwadzieścia!

– Ło matko jedyna! – Gienia podrapała się po głowie. – No to graj, mój drogi, graj, jak wygrasz, to pewnie się pochwalisz na tym swoim facjatomym buku.

– Na czym? – spytał lekko zmieszany.

– No, na buku, tam gdzie wszyscy dają zdjęcia jedzenia, kotów albo stóp. Tego ostatniego to zupełnie nie rozumiem. Koty jeszcze, no jedzenie też, choć nie wiem po co; gdyby tam przepis obok na danie dawać, toby miało sens, ale powiedz mi, po co stopy? Że umyte? Tym się szczycimy? Weź wytłumacz.

Osilek położył na stole ostatnią kartę.

– A masz ty, oszukiwałeś! – warknęła Gienia, chwytając kartkę, na której zapisywali wyniki, i wachlując się nią przy twarzy. Potem rzuciła ją i podciągnęła koszulkę, zawiązując ją na supełek nad pępkiem. – Przepraszam za ten widok, ale tu jest sauna.

– Prawda! – Koszula powędrowała na podłogę, a Genowefa nie potrafiła ukryć podziwu. Zagwizdała z uznaniem, patrząc na bicepsy w pełnej okazałości i sześciopak na brzuchu. Tymczasem osilek wyjął komórkę i podał ją Gieni. – U mnie znajomi dodają zdjęcia z siłowni, zobacz. – Podeszedł do grzejnika, by po raz kolejny pomajstrować przy zaworze.

Gienia tylko na to czekała. Chwyliła komórkę, wpisała w wyszukiwarce „Boguś Walendziak” i przejrzała wyniki. Znalazła! Tego właściwego. Kliknęła na profil, potem wiadomość i napisała: „Pomocy! Gienia! Sex shop na Jana Pawła”. Gdy wysłała wiadomość, pobladła. Nie potrafiła wrócić do zdjęć, które miała oglądać.

– Ale, ale... – wydukała, próbując udawać zachwyt.

– Niezłe, co?! – Osilek się zbliżał.

– No! Słuchaj! – Cisnęła telefon na biurko. – Muszę się odegrać! – Chwyliła karty i zaczęła tasować. – Udało ci się przez przypadek, jestem tego pewna!

– Serio? No dobra, sama tego chciałaś, babciu, zmiażdżę cię jeszcze raz!



Czuli się młodo. Mało tego, jak młodzi bogowie. Arsenal został wcześniej starannie przygotowany przez Stacha i wepchnięty do samochodu należącego do „Patrycji”. Wcisnęli się do auta wszyscy bez wyjątku. Było ciasno, ale mieli to gdzieś. Dawali sobie pełne prawo do trzymania wszystkiego w tym jednym jedynym miejscu. Niektórzy po raz pierwszy w życiu, i czuli się z tym, co tu dużo ukrywać, znakomicie.

Stachu spojrział we wsteczne lustro. Tak uśmiechniętej ferajny starych ludzi nie widział od dawna.

– To nie zabawa. – Zdecydował się porozmawiać na poważnie z tą armią zbawienia, ale jego słowa zdawały się niknąć w odgłosach ekscytacji i entuzjastycznych planów rozgromienia przeciwnika. Cóż, to Historyka mieli za przywódcę, a Muzyka – zgodnie z przewidywaniami – za tego, który gorąco wtórował i nawoływał ze śpiewem do walki z nieprzyjacielem.

Zaparkowali na Nowolipiu, w zasadzie wjechali w podwórko, by nie wywoływać sensacji, wysiadając z auta z bronią w ręku. To był rozkaz Historyka, który tym razem kazał na siebie wołać „General”.

– Tak jest, panie generale. – Muzyk stawał na baczność za każdym razem, gdy wypowiadał te słowa, a Stachu miał coraz większe wątpliwości nie tylko w powodzenie misji, ale w jej jakąkolwiek zasadność. Wyjął nawet telefon, by zadzwonić do Marii i delikatnie zasugerować odwrót, ale było już za późno.

Armia zbawienia wkroczyła na terytorium wroga.

– Cicho sza! – usłyszeli syknięcie Marysi. Stała tuż za wesołym zgromadzeniem dziadków i babć, uzbrojonych po sztuczne zęby w kije od szczotek, grabi, nordic walkingu i rakiety tenisowe. Joanna usilnie starała się nie wypowiadać na temat arsenału wojowniczych dziadków ninja, ale wstrzymywanie się od komentarzy przychodziło jej z wielkim trudem. Spojrzała tylko na Stacha, który wzruszył ramionami, a Joanna zdała sobie sprawę, że woli taką broń, niż żeby staruszkowie zaopatrzyli się gdzieś po drodze w prawdziwe pistolety. Już widziała siebie w więzieniu za naruszenie bezpieczeństwa podopiecznych i przyznała w duchu, że niezależnie od tego, co staruszkowie trzymają w dłoniach, sama ich obecność w tym miejscu może, a nawet powinna doprowadzić do takiego właśnie scenariusza.

– Już za późno na odwrót – powiedział Stachu, odgadując jej myśli, i skinął dłonią w kierunku grupy patrycjuszy, którymi teraz kierowała Marysia. Brakowało jej jeszcze nakrycia głowy Napoleona, aby całkowicie upodobnić się do wodza. Gestykulowała, wydawała krótkie komendy i przechadzała się wzdłuż ustawionych w szeregu dziadków z kijami, z miną nieznoszącą sprzeciwu. Joanna wołała jej nie słuchać. Gdy wszyscy weszli do środka, spojrzała na zegarek, zaklęła pod nosem i spojrzała na Stacha, który również próbował wejść do sklepu.

– Zostań tu, przyprowadź samochód, czekaj na nas –

powtórzyła tonem Marysi, którego przecież nie słyszała, lecz powieliła go bezbłędnie, co z niedowierzaniem odnotował zbity z tropu Stachu.

– Tak jest, panie generale – wypalił, wtórując Muzykowi, i wrócił do auta. Nawet zasalutował, ale Mała Mi już tego nie widziała.



– Czy interesuje państwa coś konkretnego? – zapytał człowiek bez szyi, siedzący za ladą. Dostrzegł Marię w tłumie i się rozpromienił. – Przyprowadziła pani ziomków?

Maria tylko pokiwała głową i już miała się odezwać, ale Historyk przejął rolę dowódcy.

– Mamy swoje zabawki. – Uniósł grabie. – Spróbujemy rozwiązać parę tematów dyplomatycznie... – Zawiesił głos, a Mała Mi spojrzała na niego z niedowierzaniem. Uniosła brwi i odchrząknęła.

– Potrzebujemy wejść na zaplecze, do tej piwnicy. Natychmiast – powiedziała. – Jeśli umożliwisz nam to, nikomu nie stanie się żadna krzywda. W przeciwnym razie... – Zamilkła, szukając właściwych słów i rozglądając się po zadowolonych z siebie żołnierzach. Ich widok nie pomógł w prowadzeniu przekonujących negocjacji. Liczyła na cud albo na zagranie przewagą liczebną. Po krótkim wahaniu dokończyła: – W przeciwnym razie będziemy musieli tam wejść bez twojej pomocy.

Nastała cisza, którą Muzyk wykorzystał do demonstracyjnego pstryknięcia palcami obu dłoni, co w tych konkretnych okolicznościach zabrzmiało złowrogo i złowieszczo. Osilek spojrzał po twarzach zgromadzonych, potem przeniósł wzrok na drzwi.

– To taka zabawa, prawda? – zagaił. – Lubią panie takie gierki, widzę. No, nie będę tutaj z tym dyskutował, ale nie mam kluczy, nie mogę was wpuścić.

– Brak kluczy nie stanowi przeszkody – odezwała się Matylda. Miała na sobie czarne legginsy i bardzo gruby długi sweter. Podeszła do drzwi i wyjęła z włosów wsuwkę. – Joga, próbował pan kiedyś? – Spojrzała na kark karka i się skrzywiła. – Nie, nie próbował. Pan nie z tych, no cóż, może jeszcze nic straconego – rzekła z wyraźnym powątpiewaniem.

Osilek podrapał się po szyi, której nie miał, robiąc tym gestem na wszystkich nie lada wrażenie. Potem podszedł do Matyldy i delikatnie wyjął z jej dłoni wsuwkę.

– Nie robimy tu takich rzeczy, droga pani – odrzekł z galanterią, o jaką nikt ze zgromadzonych w tym miejscu by go nigdy nie podejrzewał.

– W takim razie będziemy musieli spróbować innych metod – odezwała się Maria i skinęła na Historyka. – Do ataku! – wypaliła i zamknęła z przerażeniem oczy.

Mała Mi najpierw zamarła w bezruchu, a potem zacisnęła powieki, idąc w ślady Marysi. Zupełnie nie zważała, że wypadaloby jednak wyruszyć do tego ataku razem ze swoimi podopiecznymi. Na szczęście ta refleksja nadeszła w mgnieniu oka i powieki znów powędrowały w górę, a całe ciało spięło się w gotowości bojowej. Jednak nie trzeba było interweniować. Historyk z Muzykiem bowiem wykręcili osiłkowi ręce do tyłu, a dwie patrycjuszki, sprawnie posługując się szeroką taśmą klejącą, skrępowały jego dłonie. Osilek siedział na swoim stołku, pod którym z gracją pełzała Matylda, wystawiając wszem wobec swój kościsty tyłek w legginsach. Właśnie skuwała kostki sprzedawcy kajdankami z puszką rozmiaru XXL.

– Gdzie ty je znalazłaś? – odezwała się Mała Mi, patrząc, jak wielkie, umięśnione dolne części nóg człowieka bez szyi

zgrabnie mieszczą się w kajdankach.

– A tu, pod ladą, pewnie nie schodzą najlepiej – odparła Matylda z triumfalnym uśmiechem. – A tu widzisz, jak znalazł!

– Uhuuuuuuuuu! – Człowiek bez szyi próbował zareagować, ale taśma klejąca na ustach skutecznie tę próbę uniemożliwiła.

Wyglądało na to, że misja zakończy się powodzeniem. Matylda ponownie majstrowała przy drzwiach, sprawnie kombinując ze wsuwką.

– Eureka! – krzyknęła piskliwie. W odpowiedzi rozległy się brawa zgromadzonych i ponowne „hukanie” osiłka, znów próbującego swych sił wokalnych. Było to albo wołanie o pomoc, albo żywy protest przeciwko wtargnięciu starszej kompanii do piwnicy.



– Matylda? – Genowefa właśnie miała zameldować „sto”, rzucając nonszalancko damę kier na stół, ale znajomy głos skutecznie jej przeszkodził. Poderwała się z miejsca i ruszyła w stronę drzwi.

– Niech się babcia nie rusza! – wydukał osiłek i wyminął starszą panią, stając jej na drodze.

– Ja ci dam się nie ruszać! – Genowefa uniosła stopę i chciała kopnąć osiłka między nogi. Trafiła w powietrze.

– Za krótkie nóżki! – zaśmiał się człowiek bez szyi, ale w tym momencie poczuł mocne uderzenie w stopę, więc skulił się i wydał z siebie przejmujący pisk. Gdyby nie okoliczności, Genowefie zrobiłoby się go żal.

– Matylda! – zawołała Gienia i nie zważając na reumatyzm, pognała schodkami do góry, wyteżając wzrok.

– Ani kroku dalej!

Gienia dostrzegła ją pierwsza, gdy tylko dotarła na górę i zajrzała za otwarte przez koleżankę-staruszkę drzwi. Już miała przygotować jakąś mądrość, ale trzymany w wyciągniętych dłoniach Blondyny pistolet, zupełnie nieznanego Gieni kalibru, wycelowany w skroń Marysi, skutecznie zamknął jej usta. Przeniosła wzrok na człowieka w koszuli w kratkę, który właśnie rozkuwał ekspedienta bez szyi, i westchnęła. Patrycjusze z gniewem, ale w milczeniu wpatrywali się w wycelowaną w Marię broń.

– Myślę, że możemy spokojnie o wszystkim porozmawiać – zaczęła Joanna, czując, że sytuacja bardzo, ale to bardzo wymknęła się spod kontroli.

– Nie ma o czym rozmawiać – burknęła Marysia. – Oni chcą kasę, ja im jej nie dam. I co, powybijają nas wszystkich? To dopiero będzie *news* w telewizji. Wanda się uśmieje, oglądając.

– *Shut up!* – krzyknęła Blondi, a Genowefie zaczęło się dwoić w oczach. Widziała bowiem dwóch osiłków bez szyi, identycznie ubranych, z takim samym łobuzerskim uśmiechem.

– Jest was dwóch? – spytała, nie dowierzając.

– Tak, a co? – odezwali się chórkami, wykonując te same czynności synchronicznie, jakby występowali na scenie w *You can dance*. Sprawnie zakuwali starszych państwa kajdankami z różowym puszkiem i prowadzili do piwnicy, gdzie postawili wszystkich pod ścianą.

Marysia wylądowała tam jako ostatnia.

– Widzę, że się tu całkiem nieźle bawiłaś – prychnęła, patrząc na stół z kartami i porozrzucone dookoła ubrania.

– Tak, całkiem było przyjemnie, zanim się nie zjawiliście – prychnęła w odpowiedzi Gienia.



Stachu wysiadł z samochodu i podbiegł do okien. Zaklął pod nosem, a raczej w brodę, ponieważ wszystkie witryny były zaklejone folią z cynamonowymi damami w skąpych uniformach pokojówek lub w czymś, co przypominało małe trójkątki umieszczone w newralgicznych miejscach. Zastanawiał się kiedyś, jak takie „ubranka” w ogóle się na tych paniach trzymają. Musiały mieć niezły klej, uznał, kierując się stolarskim doświadczeniem. Przez panienki z okienka nadrukowane na folii, przysłaniające całą witrynę, na rozeznanie się, co się działo w środku, nie było najmniejszych szans.

– Niech to! – wymamrotał, dostrzegając piwniczne okienka, do których dostęp był utrudniony.

– Co pan tam robi? – usłyszał stanowczy głos. Odwrócił się.

– Boguś?! A co ty tu robisz? – zapytał, poznając łysego mężczyznę z serwisu informacyjnego i relacji Marysi.

– Skąd pan wie, że to ja? I gdzie jest babcia? – Boguś wyjął zza pleców kij bejsbolowy i leciutko pomachał nim przed Stachem.

– Jaka babcia? – Stachu cofnął się o krok. Nieopatrznie stanął na obluzowanej cegle. Runął jak długi twarzą przy piwnicznym okienku.

– Gdzie jest moja babcia? – Boguś chwycił Stacha za płaszcz i podciągnął go do góry.

– Lepiej mnie puść i sam kucnij – Stachu wywracał oczami, by dać Bogusiowi znać, że coś zauważył w oknie. – Sam zobacz! – syknął mu w ucho. – Musimy działać ostrożnie.

Boguś puścił Stacha, nachylił się i jego oczy spotkały się ze zdezorientowanymi spojrzeniami całej ferajny staruszków stojących na baczność przy ścianie, ze złożonymi do tyłu rękoma.

– No babciu! – wymamrotał Boguś.

– No... ciociu? – wymamrotał inny męski głos.

Za Bogusiem i Stachem z opartymi o kolana dłońmi stał Paweł, gapiąc się w to samo okienko.

– Musimy działać – oznajmił Boguś.

– Co tu się właściwie dzieje? – zapytał Paweł.

– A ty co tu robisz? – chciał wiedzieć Stachu, lecz nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił: – Jest ich co najmniej troje, mają broń i polują na Gieńkę i Mryśkę. Nie możemy tak wtargnąć i zabrać staruszków i Joanny. Musimy coś wymyślić, i to szybko!

– Joanny? – Paweł rzucił się ponownie do okna. – Myślałem, że jednak żartuje z tymi zabawkami. Co prawda przyszedłem sprawdzić, czy nie kupić jej czegoś, ale... – Nagle Paweł zamilkł. Dotarło do niego bowiem to, co usłyszał od Stacha. – Jak to mają broń? Kto ma broń? Co tu, do cholery...? Dzwonię na policję! – Wyjął telefon, ale wielka dłoń Stacha przykryła komórkę, uniemożliwiając zatelefonowanie.

– Nie. – Starszy mężczyzna pokręcił głową. – Bo będzie miała nieprzyjemności.

– A tak to nie będzie miała?

– Mam pomysł! – Boguś się rozejrzał. – Idziemy.

– Jak to idziemy? A co z cicią i cicią, i Joanną, i babciami z dziadkami? – Paweł czuł się coraz bardziej zdezorientowany.

– Do auta! – wydał polecenie Stachu.

Gdy ruszyli, Boguś wyjął komórkę i zadzwonił.

– Czarny, musisz mi pomóc. Alarm bombowy na Jana Pawła.

– Boguś podał dokładny adres, po czym warknął do słuchawki:

– Teraz!



– Co tam robiłeś? – spytała Mała Mi, siedząc w swoim gabinecie, wpatrując się w monitor komputera i nie podnosząc zupełnie wzroku na przybysza, który bez pukania otworzył drzwi do jej królestwa.

– Chciałem kupić ci prezent – spokojnie powiedział Paweł.

– W sex shopie?

– No, wydawało mi się, że lubisz – zaryzykował.

– Aha, a tu się okazało, że twoje ciotki lubią.

– No – przytaknął, wchodząc do środka. – Ciocia... – zaczął, ale postanowił nie drażnić tematu. Zamiast tego podszedł do Joanny, nachylił się nad nią od tyłu i ją objął. – Najpierw zgubiłaś moją babkę, teraz zgubiłaś moją ciotkę, co dalej? – zaśmiał się.

– Może stracę dla ciebie głowę – wymamrotała, wtulając się w jego ramiona.

– No, Asiu! Doskonały plan – powiedział, składając na jej policzku pocałunek.

– Twoje niedoczekanie! – zaśmiała się Joanna. – Dlaczego nie jesteś na pokazie? Chodź!



Gdy weszli do auli w domu kultury, pokaz trwał na całego. Po wybiegu właśnie z gracją spacerowała Maria, a obok niej na hulajnodze pomykała Genowefa. Ubrania, w których prezentowały się świetnie, miały elementy czy aplikacje związane z Warszawą. Na połach marynarki Marysi widniał kształt Pałacu Kultury i Nauki, a mankiety luźnej białej bluzki koszulowej Gieni były wycięte w kształt Syrenki Warszawskiej.

– Niezły z ciebie element – wymamrotała Gienia, uśmiechając się do widowni.

– Co ty nie powiesz? Zorganizowałam akcję ratunkową! – odparła Marysia, machając do zebranych.

– Nie łatwiej było im oddać kasę? Nie chciałaś im za mnie zapłacić? – Gienia wciąż nie dowierzała.

– O tym porozmawiamy później; przyznaj, dobrze się bawiłaś. Policjanci się nieźle zdziwili, widząc roznegliżowaną babcię wśród innych sadosmaso staruszków w kajdankach.

– Głupia, stara wariatka! – syknęła Genowefa. – Mogłam umrzeć.

– Teraz też możesz, każdy może, cóż to za wyczyn! – Maria roześmiała się, aż zabolął ją brzuch. – Nieźle te ciuszki zrobił nasz wnuczek. – Zatrzymała się tuż przed publicznością, chwyciła ustawiony nieopodal mikrofon i zapowiedziała: – Drodzy państwo, Paweł i jego „Warszawski element”!

– Oj, ciociu! – Paweł się zawstydził. Miał ochotę zapaść się pod ziemię, ale aplauz zgromadzonych mieszkańców Żoliborza skutecznie przekonał go do dołączenia do staruszków na scenie domu kultury.

– Co ciociu? – zagaiła Maria.

– No... w zasadzie to wszystko dobrze.

– A pewnie, że tak – stwierdziła Gienia i uszczypnęła Pawła w policzki, tak jak stare ciotki mają w zwyczaju traktować małe dzieci. – *Sorry*, nie mogłam się powstrzymać!

Mała Mi wciąż stała z tyłu sali. Nie patrzyła na scenę. Jej wzrok błądził po starym paragonie, który wypadł Pawłowi z kieszeni. Podniosła odruchowo, jak dyrektorka placówki wychowawczej, by dawać przykład innym, by nie śmiecić wszem wobec.

Joanna czytała. I z każdym kolejnym słowem, napisanym w pośpiechu przez Pawła, stawała się Asią. Taką Asią, jakiej dotąd w sobie nie odnalazła.

KONIEC

WARSZAWA 2018



Wszystko, **czego potrzebujesz**
dla kota i psa w jednym miejscu!

Specjalnie dla Ciebie mamy
bon 20 zł na pierwsze zakupy.

Wystarczy, że założysz konto w sklepie FERA.PL
i wpiszesz kod **ASIAMAKOTA** podczas zakupów.

Dlaczego **warto** kupować na **FERA.PL**?

- **NAJSZERSZA OFERTA** PRODUKTÓW ZOOLOGICZNYCH NA RYNKU!
- **WSZYSTKIE ZAMÓWIENIA PÓWYŻEJ 95 ZŁ DOSTARCZAMY GRATIS!**
- **IM WIĘCEJ KUPUJESZ, TYM MNIEJ PŁACISZ. STAŁE RABATY DLA KLIENTÓW!**



*KOD WAŻNY DO 31.12.2019
PRZY ZAMÓWIENIU
ZA MINIMUM 100 ZŁ



WEJDŹ NA FERA.PL

SPIS TREŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

ROZDZIAŁ XIX

ROZDZIAŁ XX

Reklama